

OPOWIEŚĆ RODZINNA

Rozdział I

Justyn Bogusz wcisnął się w kąt słabo oświetlonego wagonu nocnego pociągu z Krakowa i puścił wodze myślom. Był w przedziale niemal sam, bo drugi pasażer wyciągnąwszy się, podrzemywał i nie zwracał uwagi na otoczenie. Choć monotony stukot wagonu do snu usposabiał, jemu spać się nie chciało. Zbyt wiele w ostatnim czasie przeżył wrażeń, zbyt wiele w tych dniach przełomowych cisnęło mu się na myśl w związku z ważnym w jego życiu dzisiejszym momentem zamkniętej przeszłości i nieznanej, otwierającej się przed nim przyszłości.

Bo oto przedwczoraj w murach prastarej Wszechnicy Jagiellońskiej uzyskał dyplom z ukończenia nauk rolniczych. Jego praca egzaminacyjna z dziedziny geologii uznana została za celującą i zakwalifikowana do druku przez Krakowską Akademię Umiejętności. Egzamin końcowy, został chlubnie przed Komisją, dawał mu moralne zadowolenie, że trzech lat, na studiach spędzonych nie przemarnował, zyskał podstawy naukowe do pracy na ojczystym zagonie, ukochanej matce niepotrzebnego ciężaru nie przysporzył.

O matce, o radości, jaką jej sprawi swoim powrotem i dyplomem, myślał z uczuciem serdecznego zadowolenia i przywiązania. To była dotąd najbliższa, najdroższa mu istota. Ojca stracił dzieckiem. Ona była jego i dwóch jego sióstr jedyną i całkowitą opiekunką, oddaną niepodzielnie wychowaniu dzieci i utrzymaniu dla nich pięknego kawałka ziemi, która jej się na spuściznie pozostała.

Od spraw aktualnych, zamykających tę pierwszą kartę jego życia, a tym samym usposabiających do pewnej syntezy, myśl Justyna pobiegła wstecz, ku latom dziecięcym i szkolnym.

Ojca zaledwie przypomina sobie. Słyszał tylko zawsze o jego nadzwyczajnej religijności i świętobliwości. Nie tylko najbliżsi, ale obcy czcili go i szanowali za jego niezwykłą zacność, prawość charakteru i wysoce chrześcijańskie uczucia. Z osobistych wrażeń Justyn pamięta, jak będąc czteroletnim dzieckiem dostał od ojca własnym bacikiem w skórę za zamierzenie się na starszą siostrę polanem, co jednak, jako słuszny wymiar kary, nie pozostawiło w nim wspomnienia żalu i nie osłabiło przywiązania do ojca. Pamięta jego chorobę, śmierć i rozpacz matki, wreszcie pogrzeb, na którym prowadzony za rączkę przez nianię, mówił: „Nianiu, nie płacz, bo i ja będę płakał”.

A potem przyszły wielkie zmiany. W dwa lata po śmierci ojca kończyła się dzierzawa niedużego, ale dochodowego folwarku w jędrzejowskim. Matka Justyna przeniosła się do własnego majątku Brzozów w sandomierskim, który – będąc adoptowaną przez swoich bezdzietnych stryjostwa, sędziostwa Ferdynandostwa Łaskich – odziedziczyła po nich jeszcze za ich życia drogą zapisu rejentalnego. Pamięta tę długo, kilkidziesiąciowiorstową podróż,

odbywaną wówczas z braku kolei końmi, męczącą i nudną, ale dla niego interesującą, bo dającą wiele nowych dla sześciolatniego dziecka wrażeń i obserwacji.

Trzyletni okres, do 9-go roku życia, spędził Justyn w Brzozowie na początku nauki z siostrami – o 4 lata starszą od niego Pią i o 12 lat starszą Fełę, na kształcących z nimi rozmowach, na figlach i zabawach. Wielki czterokonny bat, krzesła w jadalnym pokoju, odgrywające rolę konia, kuc, z którego kiedyś zleciał, odwiedzanie rówieśników w sąsiedztwie, pierwsza „miłość” do czteroletniej sąsiadki – wypełniały te jego „szczenięce” lata.

Matka Justyna, kobieta wielkiego serca i anielskiej dobroci, dająca dzieciom w ogóle bardzo staranne wychowanie, czuwała nad wszelkimi przejawami ich charakteru; szczególnie nacisk kładła zaś w tych pierwszych latach dzieciństwa syna na dwa momenty. Pierwszy – to, aby najmłodszego jedynka, chowanego przez same kobiety, nie rozpieścić i nie uczynić z niego, jak to w tych razach najczęściej bywa, „maminego synka”, niedołęznego życiowo i pozbawionego wszelakich cech męskiego hartu i inicjatywy; drugi, – aby dać mu od małego dziecka gruntowne podstawy głębokiego religijnego wychowania, które by mu starczyły na całe dalsze życie i stały się tarczą i oparciem w różnych jego nieuniknionych trudach i przeciwnościach.

Duch brzozowskiego domu był zawsze, odkąd Justyn go zapamięta, podniosły, społeczny, patriotyczny i religijny. Córki obie kształciły się w klasztorze Niepokalanek w Galicji. Wszelkie praktyki religijne spełniano karnie i ochotnie. Posty obserwowano ściśle. Co niedziela i święto furman Jędrzej zajeżdżał starą kareta, zaprzęzoną w czwórkę koni, aby wieść liczne grono starszych i dzieci do pobliskiego kościoła parafialnego? Najsilniejsze, jak Justyn pamięta, 28-stopniowe mrozy nie stanowiły przeszkody do spełnienia tego obowiązku.

Dzieci, o ile były w domu, wdrażane były do pracy obywatelskiej. Ponieważ to były czasy wiekowej niewoli rosyjskiej, w której szkół żadnych na wsi nie było – odkąd tylko zaczynały się dłuższe jesienne i zimowe wieczory, schodziły się do domu dzieci służby folwarcznej i niektórych gospodarzy wiejskich i co dzień, przez parę godzin odbywała się nauka czytania, w której mały Justyn, i jego siostry, o ile przyjeżdżały na święta Bożego Narodzenia do domu, czynny brały udział. Czasem skubano ze starych kawałków płótna „szarpie” dla szpitali. Czasem znowu, gdy liczne wówczas trzymane dziewczki kuchenne darły pierze, matka Justyna, lub jej córki, czytały im, bądź opowiadały różne ciekawe a umoralniające historie.

W tej atmosferze, wysoce chrześcijańskiej, formowały się pojęcia i dobre przyzwyczajenia dzieci. W matce widziały one niewyczerpany przykład poświęcenia i ofiarności. Największą przyjemność sprawiało jej, gdy mogła coś dla kogoś zrobić, komuś jakąś większą lub mniejszą wyrządzić przysługę. Nawet ludzie zupełnie obcy nie byli spod tego dobroczynnego prawa wyłączeni. Dla wsi i służby folwarcznej była szczerze oddaną lekarką i opiekunką.

Praca jej i obowiązkowość była również nadzwyczajna. Justyn pamięta, jak w największe mrozy wystawała co dzień w lodowatej spizarni, wydając kucharzowi na obiad i kolację. Ilość masła czy słoniny była wyznaczana dla każdej potrawy z osobna. W domu panował ład, dostatek, ale jednocześnie wielka oszczędność; nic się nie mogło zmarnować. Bielizna wszystkich domowników była osobiście przez panią domu po każdym praniu oglądana i reperowana. Każda rzecz w domu miała zawsze swoje miejsce.

Mały i stary dworek brzozowski bywał zwykle, a zwłaszcza w lecie, przepelniony. Poza stale mieszkającą w nim wówczas babką, były właścicielką Brzozowa, i siostrami, które na wakacje i święta przyjeżdżały z klasztoru, bywały zawsze przez całe lata wuj Justyna, ożeniony z rodzoną siostrą jego matki, b. generał w wojsku rosyjskim, Mikołaj Klarner, który – będąc patriotycznie nastawiony, wystąpił w roku 1863 z wojska i jako emeryt, a zamiłowany ogrodnik, przyjeżdżał z Warszawy na wieś na dłuższy wypoczynek, cały dzień spędzając w ogrodzie brzozowskim.

Przyjeżdżała też często na dłużej babka Justyna ze strony matki, wdowa po mężu wielkiej nauki, senatorze, rzeczywistym radcy stanu i dyrektorze Komisji Sprawiedliwości, Karolu Łaskim. Te dwie, wiekowe już wówczas bratowe – pani senatorowa i pani sędzina, nie bardzo z sobą sympatyzowały, ale dobroć, słodycz i takt pani domu, w porę zawsze zażegnywał ewentualne rozdźwięki i nieporozumienia.

Poza tym często przyjeżdżało na dłużej do Brzozowa wiele osób z rodziny bliższej i dalszej. Czuły się one w nim zawsze bardzo dobrze. Dzieci domowe, stykając się z nimi, ośmiały się i wyrabiały towarzysko. Do języka francuskiego Justyn miał od 6-ciu lat życia rodowitą Francuzkę.

X

Kiedy skończył lat 9, w życiu jego nastąpiła duża zmiana. Wuj Klarner zaproponował matce, że ponieważ przychodzi na niego wiek szkolny, a naukę lepiej rozpoczynać wcześniej niż później, zabierze go z sobą do Warszawy, umieści w swoim mieszkaniu, da mu, tak on, jak dorastająca jego córka Olesia, potrzebną opiekę i odda do gimnazjum IV-go na Placu Trzech Krzyży, naturalnie rosyjskiego z ducha i języka, ale nie polakożerczego, jak niektóre inne, i grupującego przeważnie dzieci i młodzież polską, wypadł pomyślnie i mały Justyś, jako uczeń wstępnej klasy, przyoblekł się z dumą w długie, czarne spodnie, granatowy mundur ze srebrnymi guzikami i takąż czapkę sztywną ze stojącymi bokami oraz białymi wypustkami. Do szkoły miał niedaleko, bo wuj Klarner mieszkał przy ulicy Żurawiej we własnym, trzypiętrowym wówczas domu na pierwszym piętrze. Justyś miał oddany oddzielny pokój, trochę szczupły i ciemny, ale własny. Wuj i jego siostra cioteczna byli dla niego bardzo dobrzy. Leżała wprawdzie, jak widział, na szafie u wuja przygotowana od wypadku różga, ale nigdy nie zaszła potrzeba jej zaaplikowania.

Przez pięć lat chodził Justyś do gimnazjum w Warszawie, otrzymując z roku na rok promocję do następnej klasy. Dopiero w ostatnim roku opuścił się w nauce, po pierwsze

dlatego, że w tym przejściowym wieku chłopcy zazwyczaj gorzej pracują, po drugie – w związku z otwarciem przez wuja dla córki szerszego domu, przyjmowaniem licznych gości, zabawami tanecznymi, wreszcie zamążpójście Olesi. Potem wuj dom zwinął i będąc już w podeszłym wieku i sam, nie mógł zapewnić 14-letniemu chłopcu należytej opieki. Matka Justyna postanowiła przenieść go do tej samej 4-tej klasy do gimnazjum w Kielcach, gdzie miała dużo krewnych i znajomych. Kielce były przy tym znacznie bliżej od Brzozowa, niż Warszawa i posiadały już wówczas nową kolej, zwaną Iwangrodzko - Dąbrowską, którą w trzy godziny można była dojechać, z przesiadaniem w Skarżysku, do stacji Brzozowa – Ostrowca.

X

Rozmyślenia Justyna przerwał ostry zgrzyt hamulców. Pociąg zatrzymał się na jakiejś większej stacji. Towarzysz jego wysiadł, a że wśród głębokiej nocy nikt inny do pociągu się nie spieszył, Justyn pozostał sam i, nawiązując do przerwanych wspomnień, pogrążył się znów w zadumie.

W Kielcach matka umieściła Justyna na znanej stacji prof. Rybickiego. Stało na niej aż 15-tu chłopców różnego wieku od najmłodszych do maturzystów, którym się już wasy sypać zaczęły.

Zanim jednak zdołał się Justyn ulokować na swojej nowej siedzibie, przysłała na niego osobliwa w tak młodym wieku choroba – rozedma płuc. Zupełnie nie mógł oddychać. Dusił się, jak stary astmatyk. Stryjostwo Stefanostwo Boguszowie zatrzymali go do czasu wyzdrowienia u siebie. Dzięki trafnemu leczeniu, duszności w ich ciężkim stadium dało się niedługo opanować, tak że mógł Justyn przejechać na stację, ale ślady tej choroby w postaci częściej lub rzadziej powtarzających się duszności, zwłaszcza przy zmianie miejsca, długo jeszcze dawały mu się we znaki. Dopiero dwukrotny wyjazd na kilka tygodni do Zakopanego zło radykalnie, przynajmniej na długie lata, usunął.

Czy to przez ambicję, żeby w nowej szkole nie przedstawić się z ujemnej strony, czy z racji, że wymagania w szkołach warszawskich są na ogół większe aniżeli na prowincji, Justyn w gimnazjum kieleckim stanął od razu dobrze i na tym poziomie utrzymał się do samej matury. Żeby ulżyć matce, w wyższych klasach dawał nawet korepetycje. Bardzo mu pochlebiło, gdy prof. Rybecki, nauczyciel języków starożytnych, zaproponował mu udzielenie lekcji łaciny swojej córce.

Na stacji Justyn, z natury łagodny i spokojny, ze wszystkimi kolegami miał stosunek dobry, największą jednak sympatię czuł do kolegi z tej samej klasy, zbliżonego do niego charakteru i usposobieniem, Wiktora Łaniewskiego, z którym też całe pięć lat swego pobytu w Kielcach spał i odrabiał lekcje w jednym pokoju.

Justyn spojrzął w okno wagonu, a widząc, że noc jeszcze ciemna, usiana niezliczonymi gwiazdami, ogarniał dalej myślą swoje młodzieńcze lata.

Tym razem pobiegła ona w stronę kochanych bardzo przez niego siostr. Starsza, Fela, dawno już skończyła pensję w klasztorze, ale i młodsza, Pia, w czasie jego lat szkolnych też wróciła do domu z podobnie chlubnym, jak i starsza, świadectwem. Obie były teraz w domu, w Brzozowie, pomagając matce w gospodarstwie, ogrodzie i różnych porządkach domowych. Kiedy Justyn przyjeżdżał na wakacje, Fela podjęła trud uczenia go historii polskiej. Opracowała na podstawie obszernie traktowanych wykładów w klasztorze (w ówczesnej Galicji, w przeciwieństwie do pozostającej pod zaborem rosyjskim, b. Kongresówki, nauka historii polskiej nie była zabroniona) szczegółowy kurs i codziennie systematycznie, stawiając duże i serio wymagania, przechodziła go z bratem. Choć czasem i łzą bolesną trzeba było niedostateczne przygotowanie do lekcji okupić, dziś Justyn widzi i docenia, ile tej siostrze w tym względzie ma do zawdzięczenia.

Obie siostry miały uzdolnienia artystyczne i poetyckie. Fela ślicznie rysowała i malowała akwarelą i na porcelanie. Jej talent poetycki był naw skroś liryczny, czym się różniła od młodszej, Pii, w której utworach, także bardzo udatnych, przeważała myśl społeczna i patriotyczna.

Feli nie sądzono było długo cieszyć się życiem. W dwudziestym kilku zaledwie jego latach zmarła panną w Brzozowie, pozostawiając w sercach najbliższych, między innymi Justyna, pozostającego wtedy w gimnazjum kieleckim, żal szczery i serdeczny. Na pogrzeb nawet przyjechać nie mógł.

W jakiś czas potem przyszedł u Pii okres wyraźnego wzmożenia twórczości pisarskiej. Pisywała dużo wierszem i prozą, czasem dla młodzieży. Jej doskonała książeczka p.t. „Wirginia”, opowiadanie z pierwszych wieków chrześcijaństwa, była zalecona do druku na konkursie „Przyjaciela Dzieci” i drukowana nakładem redakcji tegoż pisma. Ale drukowała w ogóle nie dużo, tym bardziej, że wychodziły w grę względy cenzuralne, a jej wiele wierszy miało właśnie treść patriotyczną i obywatelską.

Na czoło jej twórczości z tego czasu wybiły się, zdaniem Justyna, trzy długie wiersze o głębszej treści, które, jeżeli nawet czasem z punktu widzenia wysokiej poezji mogły zdradzać jakieś drobne braki w formie, łatwo dające się położyć na karb niedostatecznego jeszcze wyrobienia młodej, 20- letniej pisarki, to poziomem obywatelskiej myśli stały istotnie wysoko. Krążyły też w odpisach ręcznych po bliższej i dalszej okolicy i z entuzjazmem bywały na zebraniach deklamowane przez zwolenników jej talentu. Maszyn do pisania, ani powielaczy wówczas jeszcze nie znano.

Justyn umiał je również na pamięć, i teraz mu też żywo stanęły w pamięci.

Pierwszy, pod tytułem „Chwila obecna”, była wiernie odtworzonym obrazem nieszczęsnego życia Polski pod zaborem rosyjskim i w gorących słowach nawoływał do wytrwania, wyrabiania w sobie cnót obywatelskich i niezłomnej wiary w zmartwychwstanie Ojczyzny. Zalecenia poetki nie były pustymi, pięknie brzmiącymi frazesami, ale zupełnie

realnymi i pełnymi prawdy życiowej wskazaniem, jak w tych ciężkich warunkach Polakom postępować należy. Wiersz kończył się w sposób następujący:

Myśmy biedni, wiecie czego?
Bo w nas samych źródło złego,
W nas chęć do działania skora,
Gdy wodze zbudzą zapały,
Więc biegniemy, choć nie pora.
Ale na czyn ciągły, stały,
W którym umysł się mozoli,
Na czyn każdego dnia roku,
Na walkę na każdym kroku
Nam, biednym, już braknie woli!

Nam – nie płakać i czas tracić!
To dla tych, co mają zginąć.
Nam się w wolę, w czyn bogacić
I odważnie w życie płynąć.
A wśród ucisku, katuszy,
Jeżeli zechcemy sami
Gorąco i z głębi duszy
Zostaniemy Polakami.

Tego prętem nie wypali
Nam nawet milion moskali!
Upadną w perzynę trony,
Budowane na podłości,
Królowa Polskiej Korony
Wymodli nam dzień wolności!

Nie upłynęło lat trzydzieści, gdy prorocze słowa poetki, pisane w dobie największego ucisku, stały się realną rzeczywistością.

Drugi z tych trzech dłuższych wierszy, p.t. „Do polskiej młodzieży”, napisany był pod wrażeniem obaw nurtujących w sercach polskich, aby planowana w podziemnej Warszawie na 100-letnią rocznicę Konstytucji 3-go Maja manifestacja młodzieży nie wywołała jeszcze gorszych represji ze strony władz rosyjskich. Starając się oddziaływać uspokajająco na młode umysły, poetka tak swój wiersz zakończy:

Tak, nam potrzeba w was, o młodzieży,
Rozumu, co prąd jasności szerzy,
Trzeba koniecznie wyższości ducha,
Co ogniem ponad ucisk wybucha,
Wzlatuje ponad zwątpienie.

Trzeba energii i wielkiej siły,
Bo nas rachunek czeka zawiły,
Ciężkie kłopoty i ciężkie troski,
Co wytrącają z rąk naszych wioski,
Byt, niezależność, istnienie...

O, nie zawiedźcie ufności naszej,
Niech was potęga darmo nie straszy,
Niech wasze czyny, niech wasze dzieła
Świadczą wymownie, że „Nie zginęła!”
Choć przebrzmiała rozdźwięk moździerzy!

Pracujcie cicho, ale wytrwale.
Niech się rozbiją wrogie nam fale
O hart serc waszych, jak o opoki,
I choć upadek nasz tak głęboki,
Ufajcie ciągle, młodzieży!

Trzeci wiersz p.t. „Przeciętna”, podobnie jak tamte dwa, w apostołskiego nawoływania utrzymany tonie, zwraca się do młodej kobiety polskiej, aby w tak ciężkiej dobie, jaką Polska przeżywa, nie była pustą lalką, czekającą na męża, ale oddaną cichej zbożnej pracy, świadomą swej odpowiedzialności dziejowej obywatelką.

.....

Ta cicha praca – to niewiast pole.
Niech każda kocha, niech działa z męstwem,
Niechaj wzbogaca w czyn i hart wolę,
A Bóg nagrodzi trudy zwycięstwem.
Zamiast czas tracić szukając męża,
Niech wyższych celów poszuka w życiu,
Słabość, zwątpienie niech przezwycięża,
A wiele zdoła zdziałać w ukryciu.
Wówczas nie będzie istotą wietrzną,
Co, jak liść suchy, z wichrem ulata,
Będzie kochaną i pożyteczną,

A gdy aniołek szczęścia różowy
Rzuci jej nagle i niespodzianie
Na białe czoło wianek mirtowy,
A na skarb w życiu wielkie kochanie
Ona nie dziecko, lecz dzielna łaszka
Zrozumie święte swe powołanie,
Pojmie, że życie to nie igraszka,
Że świętym, wielkim, Polki zadanie.
A kiedy wstąpi w próg nowej chaty
Będzie promieniem, co mrok rozprasza,
Ciepłem uczucia, blaskiem oświaty.
Taką być winna przeciętna nasza.

Talent Pii znalazł podniechę i cenne wskazówki w osobie mieszkającego w sąsiedztwie i bywającego dość często w Brzozowie młodego prawdziwego już poety z Bożej Łaski, Władysława Bukowińskiego, znanego później w literaturze pod pseudonimem „Selim”. Ceniąc jej zdolności, napisał do niej piękny w formie i treści wiersz p.t. „Do poetki”.

Ale miała Pia i innego, nieznanego zupełnie wielbiciela jej twórczości. Kolega Justyna z 8-mej klasy gimnazjum kieleckiego, także poeta, Wacław Lawiński, zapoznawszy się z jej patriotycznej treści wierszem p.t. „Chwila obecna” i „Do polskiej młodzieży” wpisał z przeznaczeniem dla niej do albumu Justyna wiersz, zatytułowany „Nieznanej wieszczce”. Justyn był dumny z siostry i zachował dotąd w pamięci ten tak miły dla niego utwór młodocianego, zdolnego, choć w formie jeszcze początkującego, poety:

Poezją życia rozbrzmiały Twe słowa.
Co serce czuje, i co myśli głowa,
Tyś razem w pieśni cudownej złączyła.
W tym połączeniu jest czar i jest siła.
To połączenie w sercu Polski córy,
Której kolebkę otaczały chmury
Jest dla mnie wielkim i podziwu godnym.
Gdy pośród kobiet, co w swym życiu modnym
Gonią motyla uciech nienasytnych,
Nie dbając o swe serce, ani głowę,
Znajdzie się córa starych ojców bitnych,
Która ojczystą pojmuje swą mowę,
Która narodu zrozumiała ducha,
I mówić zacznie – niechaj każdy słucha,
Bo święte słowa z ust niewieścich płyną!

.....
Więc że się usta twoje rozwierają
Pociechy słowem i słowem nadziei,
Cześć ci, o wieszczko! Zgnębimy złodziei
Gdy takich kobiet więcej będziemy mieli.
Mieczowa siła w niewieściej kądzieli...

X

Justyn trochę się zdrzemnął, a w jego poruszonej głęboko wyobraźni wyłoniła się nowa postać, której wspomnienie wywołało promienny uśmiech na jego wargi i przymknięte rozwarło powieki.

Pierwsza miłość. Bardzo młodzieńcza, ale tym razem – prawdziwa. Dlatego, że młodzieńcza – czysta jak łąka, cicha i bezinteresowna. Za przedmiot obrała sobie to samo czteroletnie kiedyś dziecko z sąsiedztwa, które sobie wówczas sześciolatek Justyn upodobał. Tylko że dziś to już duża piętnastoletnia, ciemnowłosa i ciemnooka dziewczyna, nie specjalnie ładna, ale żywa, wesoła i pociągająca. Wypełniała sobą całe jego jestestwo. W chwilach wolnych od nauki szkolnej, myślał tylko o niej, powiększył sobie jej fotografię, wstążeczkę z jej warkoczy chował, jak drogi talizman. Matce i siostrze, z którymi zawsze łączył go stosunek bliski i szczery zwierzył się, iż kocha Grażynkę. Innych do swej tajemnicy nie dopuszczał. Bliżsi domyślał się tylko czegoś mogli, ale Justyn otaczał swoje uczucie taką aureolą dostojeństwa i powagi, że nikt na żadne żarty sobie nie pozwalał. Gdy ze szkół przyjeżdżał do Brzozowa na święta i wakacje odwiedzał jej dom często. Piękna miejscowość z ruinami dawnego zamku, bardzo starożytną kapliczką i alejami paruset letnich lip. Nazwa

posiadłości – identyczna z jej i jej przodków historycznym nazwiskiem. Ród stary i dla sprawy polskiej zasłużony.

Poza normalnymi wzajemnymi odwiedzinami, młodzi spotykali się na różnych wycieczkach i sąsiedzkich zabawach. Odbywały się one zazwyczaj i w Brzozowie, przynajmniej raz w roku 15-go sierpnia, na imieniny matki Justyna. Całe wówczas zjeżdżało się sąsiedztwo i bawiono się zawsze doskonale.

Do wynurzeń żadnych pomiędzy nimi nie dochodziło. Grażynka zachowywała się z godnością i taktem. W początkach sielanki on zapytał ją raz, czy na jej wzajemność może liczyć. Ona odpowiedziała dyplomatycznie „Nie wiem”, i na tym wszelkie wyznania się skończyły. Nie skradł jej ani jednego całusa. Ale serce miał jej pełne przez całą 6-tą, 7-mą i 8-mą klasę gimnazjum.

Dalszych horoskopów w związku z tym uczuciem nie stawiał sobie żadnych. Niczego nie oczekiwał, niczego nie planował. Wystarczyło mu, że ją kocha. Ale kiedy uzyskał maturę, a Grażynka stała się dorosłą panną, w swym umyśle lojalnym i solidnym doszedł do przeświadczenia, że jakiegokolwiek byłoby jego uczucie, on nie może pozostawiać jej w przekonaniu, że ją kocha, i w ten sposób jej swobodę krępować. Podoba się ogólnie, może się kimś zająć i chcieć wyjść za mąż. Po co ma myśleć, że ktoś komu była serdecznie życzliwa, będzie miał z tego powodu zawód i cierpienie? Choć to sposób traktowania rzeczy zapewne dziwny i wśród młodych nie praktykowany, w sumieniu swoim uznał Justyn za potrzebne stosunek ten wyraźnie zlikwidować. Choć go to dużo kosztowało, podczas wakacji skorzystał z odpowiedniej chwili i wręczył Grażynce zabraną jej kiedyś z krótką uwagą, żeby sprawę tę uważała za należącą do przeszłości. Sielanka była skończona. Pozostała życzliwość i przyjaźń.

Przyjazd Justyna z maturą wywołał naturalnie u matki jego i siostry najżywsze zadowolenie. Wakacje tego roku były szczególnie ożywione. Na imieniny matki zrobiła się liczniejsza niż kiedykolwiek zabawa taneczna. Panna dorosła w domu. Młodzieży dużo. Orkiestra opatowskich żydków przygrywała ochoczo za otwartym oknem salonu, gdzie dla niej zbudowano specjalną, podwyższoną werandę. Prowadzenie tańców – znakomite – przez młodego sąsiada, malarza, Władysława Jasińskiego. Dobre wino węgierskie do tańca dodawało animuszu. Drugi „biały mazur” trwał do godziny 9-tej rano.

Wśród tego wesołego lata zastanawiano się wspólnie, jak pokierować dalszą przyszłością Justyna. Zdradzał on wyraźną skłonność do gospodarstwa, kawałek ziemi sandomierskiej na niego czekał. Studium Rolnicze przy Uniwersytecie krakowskim było świeżo, przed dwoma laty, otwarte. Stało jednak na projekcie rozumnej matki, aby dla wzmocnienia niezbyt silnego zdrowia Justyna, a także upewnienia się, czy zawód rolniczy będzie istotnie odpowiadał jego upodobaniom, odbył on roczną praktykę rolniczą przed zakładem naukowym. I teoria, wykładana w uniwersytecie, będzie dla niego wtedy więcej zrozumiała.

Matka Justyna napisała list od swoich krewnych, Tadeuszościwa Zwierzchowskich, mających ładny majątek Rusznicę w Jędrzejowskim, z zapytaniem, czy by Justyna nie przyjęła po skończonych wakacjach na roczną praktykę gospodarską. Odpowiedź przyszła przychylna i Justyn znalazł się wkrótce przy nowym warsztacie pracy. Wziął się do niej z zapałem i obowiązkowością. Choć był na zupełnie wolnej stopie, stanowiąc element całkowicie surowy, zajęcia jego wypełniały mu cały dzień.

Chwile posiłków, wieczory, święta spędzał ze wszystkimi, traktowany jako krewny. Dom był dość liczny, bo oprócz starszych wujostwa pozostawało w nim przez czas dłuższy dwóch starszych od niego synów i dwie córki: starsza, dorosła już, Halinka, i młodsza, Ziuta, przyjeżdżająca na święta i wakacje z ostatniej klasy pensji w klasztorze. Polubiła zwłaszcza starszą, z którą chętnie by częściej porozmawiał, poczytał, pograł na fortepianie i pożartował. Ale wszystko to jakoś nie szło. Nie dlatego, żeby ona nie chciała, tylko znać było, że w otoczeniu rodziców i braci czuła się skrępowana i nieswoja. Dziwna ich wszystkich cechowała sztywność, chłód i brak wszelkiego uśmiechu. Justyn, przyzwyczajony w domu do atmosfery szczerzej i swobodnej tu dusił się po prostu w tym królestwie sztuczności i konwenansu. Dusila się, jak widział i Halinka, która miała inną, bardziej prostą naturę. Wszystko rozbijało się zawsze o „nie wypada”. Porozmawiać czy pośmiać się wspólnie – nie wypada. Jechać razem w sąsiedztwo, nawet do bliskich krewnych – nie wypada. Gdy jechało się – co się zresztą zdarzało bardzo rzadko któreś z rodziców z Halinką, Justyn nie mógł sięść na przednim siedzeniu, czy na koźle powozu, ale musiał dostawać osobne konie. Był wdzięczny wujostwu za to, że go przyjęli. Cnił ich jako świątłych i porządných ludzi. Korzystał dużo z praktyki pod względem gospodarskim – ale duch domu go zabijał. Zabijał tak dalece, że w przystępie rozgoryczenia napisał kiedyś wiersz – pierwszy swój wiersz w życiu – t.z „biały” wiersz, który przy nadarzonej sposobności wręczył Halince. Brzmiał on w sposób następujący:

Ludzie zimni, milczący, i w sobie zamknięci,
Ludzie żadnych gorętszych uczuć nie okazujący
Nie rozumiecie, że człowiek wiecznie milczeć nie potrafi,
Że potrzebuje przecież przed kimś się wygadać
I radością podzielić, i w smutku wypłakać.
Ja – do takich należę. Com ja temu winien,
Że mnie natura sercem czulszym obdarzyła,
Co by rade bliskiemu całe się otworzyć.
Podwójnie mnie też boli, gdy zamiast współczucia
Spotykam chłód, chłód, zawsze chłód bez końca ...

Zresztą nie dziw, że ludzie co wiele cierpieli,
Co wiele w życiu przeszli strapien i przykrości,
Znieczuleni na serca młodego porowy.
Nie próbuję przed nimi z myśli się mych zwierzać,
Bo nie mogąc ich pojąć, śmiać by się z nich mogli.
Z tobą pragnąłbym czasem porozmawiać szczerze,
Bo czuję brak ogromny serdecznej rozmowy,
Ale ty jej unikasz. Obawiasz się może,
Aby stosunek nasz, więcej przyjacielski

Nie wzbudził we mnie innego ku tobie uczucia.
Nie bój się. Pierwszy raz zbyt silnie kochałem,
By dawnych uczuć ślady w duszy mej się starły.
Chciałbym tylko, byśmy zostali sobie przyjaciółmi
Z wzajemnym serc otwarciem, z szczerością prawdziwą.
Bo bez tego, wierzaj mi, tak smutno, tak smutno

Ile w napisaniu i doręczeniu tego wiersza Halince było chęci wylania goryczy, a ile oddziaływania pośrednią drogą na korzystną zmianę stosunków, - sam Justyn nie zdawał sobie sprawy. Faktem jest, że w późniejszych miesiącach pobytu jego w Rusznicy martwy dotąd dom znacznie się ożywił. Rozmawiano więcej, uśmiech nie był rzeczą tak rzadką, jak dawniej, zaczęło więcej osób bywać, a nawet urządzono duży bal z teatrem amatorskim, z orkiestrą i charakteryzatorem, sprowadzonymi z Kielc, w którym to teatrze główna rola przypadła Justynowi.

Niedługo potem pożegnał on praktykę rusznicką, upamiętniwszy to pożegnanie wierszem skierowanym do wszystkich domowników oraz udatnie namalowanym widokiem ciekawego w swej architekturze pałacyku w Rusznicy.

X

Za oknami wagonu zaczął się robić dzień. Pociąg biegł równą, niepokalanie płaszczyzną doliną Wisły w stronę Sandomierza. Szachownicę chłopskich pól, przerwał od czasu do czasu dworski folwark z pięknymi obszarami pól i barwnie odbijającymi dachami budynków z czerwonej dachówki. Po długotrwałych deszczach pogoda zapowiadała się piękna.

W kalejdoskopie odtworzonych w pamięci przez Justyna obrazów przewinęły się wreszcie ostatnie jego lata krakowskie.

Jak już stwierdził, nie przemarnował ich i nie przeproźnował. Nie tylko uczęszczał pilnie na wykłady, ale zdawał co pewnie czas przed odpowiednimi profesorami nieobowiązkowe tzw. „colloquia” czyli repetycje, a to celem uwolnienia się od opłat „czesnego”, co mu zresztą znakomicie ułatwiałoby zdawanie rocznych egzaminów. Mieszkał przez całe trzy lata studiów z Wiktorem Łaniewskim, tym kolegą ze stacji prof. Rybeckiego w Kielcach, z którymi tu utrwalił się jego żywy koleżeński i przyjacielski stosunek. Z nim też razem, będąc obaj religijni i praktykujący, zapisali się do akademickiej Kongregacji Mariańskiej, której kierownik, jezuita, ks. Stefan Bratkowski, równie brzydki, jak świątły i miły w stosunku, bardzo ich polubił i chętnie u siebie przyjmował.

I wydawać się mogło, że to oddanie się w służbę Matce Boskiej przy ogólnych zasadach moralnych przez świętobliwą matkę wpojonych, powinno było ustrzec Justyna od pokus dużego miasta i utrzymać go na tym poziomie etycznym, na którym matka, żegnająca go przed każdym wyjazdem z domu przy klęczniku relikwiami Krzyża Św., widzieć go

zawsze pragnęła. I być może, że – choć nie bez trudu – dałoby się to osiągnąć, gdyby nie – koledzy. A było to tak:

Któregoś wieczoru w połowie pierwszego roku studiów przyszła do ich mieszkania większa grupa kolegów, oświadczając, że Bogusza zabierają z sobą, bo go muszą „w świat wprowadzić”. Domyślał się, co to za „świat”, ale ponieważ wśród przybyłych widział i kolegów poważniej myślących, a opozycja albo na nic by się nie przydała, albo naraziła go na ośmieszenie się i opinię świętoszka, za którego uchodzić nie chciał – więc poszedł. Rozpoczęła się cała grupa wędrowka po szeregu „wesołych” domów. Większość kolegów korzystała z nich doraźnie, Justyn należał do tych, którzy nie naśladowując ich przykładu, cały czas zachowywał się biernie.

Ale skutki tej pielgrzymki, niestety, bez śladu nie pozostały. Przy coraz silniej budzących się jego instynktach w 21-szym roku życia, wprowadzenie w ten świat przez kolegów, podniecenie wyobraźni, poznanie geografii miasta w tej dziedzinie – wystarczyły, aby pokusa zwyciężyła; wola i dobrze zasady skapitulowały przed naturą, która pociągnęła Justyna na obłędne drogi. Nie były to wypadki częste, raczej oderwane, które by na dziesięciu palcach w ciągu całego pobytu jego na studiach zliczyć można, niemniej dusza jego uległa zbrukaniu. Matka mu nie raz mówiła, że była pierwszą kobietą poznaną przez jego ojca, choć żeniąc się miał 33 lata. Wyrzut ranił serce, a najwięcej bodaj bolało go uczucie, że matce, która mu tak wierzyła, nie może już wszystkiego szczerze mówić i zaufanie jej zawodzi. A organicznie w ogóle nie znosił nieszczerości i kłamstwa. Tym bardziej wobec niej. Jedną tylko w porównaniu z innymi mógł mieć okoliczność łagodzącą, że nikomu o swoich wyczynach nie rozpowiadał, nikogo postępowaniem swoim nigdy nie gorszył, uważając je za zło, o którym tylko z księdzem na spowiedzi mówić można i o darowanie win prosić. Jednak ci koledzy – informatorzy ciężką wobec młodszych niosą odpowiedzialność.

Te grzeszne intermezza nie przerywały pracy naukowej i społecznej Justyna. Napisał parę prac z zakresu praktycznego gospodarstwa, które były odczytywane i bronione wobec kolegów i odpowiedniego profesora, a później – drukowane w fachowych pismach warszawskich. Robił i opracowywał z wykładów, wydawane następnie na użytek ogólny. Napisał na konkurs „Gazety Rolniczej” w Warszawie książeczkę dla ludu p.t. „Co to jest rola”, chlubnie wyróżnioną przez sąd konkursowy i drukowaną w rok następny przez „Macierz Polską” we Lwowie. To były obok drukowanej pracy dyplomowej pierwsze młodzieńcze prace Justyna piórem. Poza tym w zakresie pracy społecznej był przez cały czas członkiem zarządu u sekretarzem „Kółka Rolników Wszechnicy Jagiellońskiej”, wygłaszał przemówienia i krytyczne pogadanki koleżeńskie itp.

Lubiąc towarzystwo, posiadał Justyn wraz z Wiktorem dość liczne swoje kółko znajomych. Zwłaszcza w karnawale w III-go roku mieli dużo zabaw prywatnych, na których Justyn z reguły na życzenie ogółu tańce prowadził. Do prowadzenia publicznych – jak np. słynne „bale rolników”, na które zresztą uczęszczać nie lubił – nie czuł się uzdolnionym. Tu już królował niepodzielnie Stanisław Żeleński, syn znanego muzyka.

Justyn musi bez przechwałki stwierdzić, że był ogólnie w towarzystwie lubiany. Jedna panna wyraźnie się nim nawet zajęła i na niego liczyła, ale że on jej w myśli nie miał, więc – żeby kończąc studia nie zostawić złudzeń, - w przemówieniu na pożegnalnej kolacji w domu jej rodziców podkreślił, że w Krakowie jest po raz ostatni. Metoda – podobna jak kiedyś z Grażynką.

Tak przeszły lata uniwersyteckie Justyna.

W tym okresie zaszły w jego domu i okolicy dwa ważne dla niego fakty. Siostra jego, Pia, wyszła za mąż za Kazimierza Celińskiego, dzierżawcę dobrego donacyjnego majątku Basztowa Wola w Iłżeckiem i tam z mężem zamieszkała. Grażynka też młodo pożegnała się ze stanem panieńskim, wychodząc za wspólnego ich sąsiada, Stanisława Mikułowskiego.

Rozdział II

Pociąg zatrzymał się na jakiejś stacji. Justyn ze swojej długiej zadumy rozbudził się zupełnie i stanął przy oknie. Tarnobrzeg. Dwa małe przystanki od końcowego Nadbrzeża, nad samą już Wisłą, po drugiej stronie której – Sandomierz.

Zaledwie pociąg stanął, do wagonu wbiegł przyzwoicie ubrany w krótki surdut ruchliwy żydek w średnim wieku ze starannie przystrzyżoną bródką.

- Moje uszanowanie panu dziedzicowi – jak zdrowie? Pan dziedzic tym razem długo chorował. Przewlekły nieżyt kiszek. Ale już widać dobrze. Mówiąc to, wręczył Justynowi kopertę – w Brzozowie wszystko w porządku. Pani Pia była w tych dniach z mężem. Oczekuje dziecka. Pewno pan dziedzic już wie. A panna Grażyna Ossolińska też za mąż wyszła – za pana Mikułowskiego. Porządny pan, szlachetny. I niedaleko od rodziców odjechała. Na komorze jest nowy naczelnik. Jeżeli pan dziedzic coś wiezie, to lepiej schować. Ale z przeprawą to pan dziedzic będzie miał kłopot, bo woda duża. Winszuję dyplomu. Pan Ryklewski wczoraj jechał i mówił, że pan dziedzic świetnie zdawał. A on zastanie w domu zmartwienie, bo ojciec, pan Jan ciężko chory. Już po księdza posyłałi.

- Dzień dobry, panie Pejzer – Nachorowicz. Dziękuję za świadectwo. – Wręczył mu odpowiednią kwotę pieniędzy. – Ostatni to już raz z usług pańskich korzystam. A pan zawsze to jak chodząca encyklopedia, czy gazeta. Wszystko wie co się dzieje po tamtej stronie, nawet takie rzeczy w mojej własnej rodzinie, o których ja jeszcze nie słyszałem.

Pejzer był to rzeczywiście znający wszystkich sprytny żydek, który obsługiwał całą szlachtę sandomierską i wiedział niemal, co się u kogo na obiad gotuje. A usługi jego głównie polegały na kombinacji następującej.

Wisła stanowiła w tym miejscu granicę pomiędzy zaborem rosyjskim i austriackim. Mieszkańcy gmin w b. Kongresówce, w pasie granicznym położonych, mieli prawo uzyskiwać 8-dniowe przepustki, ale służące tylko w obrębie 3-milowym. Utarł się więc zwyczaj, że o ile kto chciał jechać dalej, na dłużej, od lekarza w Tarnobrzegu uzyskiwał

świadectwo, że taki a taki chorował ciężko, i bez szkody dla zdrowia przez tyle i tyle miesięcy z Tarnobrzega wydalić się nie mógł. Tarnobrzeg więc stanowił generalny szpital, a dostarczycielem odpowiednich świadectw lekarskich, za odpowiednią dla niego i dla doktora opłatą, był Pejzer Nachmowicz. Lepiej się to opłacało, niż wyrabiać trzy razy na rok paszporty. Cała młodzież rolnicza sandomierska, kształcąca się w Krakowie, że wymienić nazwiska Stefana Jakobsena, Eugeniusza Rogulskiego, Wincentego Ryklewskiego, Stanisława Załęckiego i in., odbywała studia za ośmiodniowymi „kartkami”. Władze to nadużycie całkiem świadomie tolerowały.

Pociąg ruszył i wkrótce potem znalazł się w Naborzanach na granicy austriackiej. Po załatwieniu bezkłopotliwych formalności na komorze, furką dojeżdżało się do Wisły.

Ale tu czekała Justyna nieprzyjemna niespodzianka. Już od stacji zauważył, że wody Wisły są znacznie od niej bliższe niż zazwyczaj. Furką dojechać mógł tylko do połowy zwykłej drogi. Dalej wszystko już było zalane. Tylko wierzchołki wikli wystawały z wody. Niebo się zachmurzyło i powiał silny wiatr z zachodu. Łódź przewozowa stała przy brzegu, a przy niej – nie jeden, jak zazwyczaj, ale trzech przewoźników. Oświadczyli oni jednak, że szczęśliwego przewiezienia pasażera przy tym stanie wody nie biorą na swoją odpowiedzialność, bo prąd na środku rzeki jest bardzo silny i może łódź znieść, bądź wyrzucić. Opłaty też muszą żądać o wiele większej.

Justyn się zastanowił, ale zdawszy się na opiekę Bożą, zdecydował się przeprowić. Trudno mu spod samego niemal domu zawracać do Krakowa i stamtąd okólną drogą i daleką, na Dąbrowę i Kielce jechać do Brzozowa. Nie miał przy tym pieniędzy, bo choć mu je z domu przysłali, w przeddzień wyjazdu zjawił się u niego jakiś młody człowiek, który się podał – nie wiadomo prawdziwie, czy nieprawdziwie – za Bogusza, prosił o pomożenie mu, i Justyn – z dobroci czy łatwowierności swego serca – oddał mu połowę kwoty, jaka mu na drogę została.

Przeżegnawszy się, przewoźnicy chwycili za wiosła i ruszyli, owiązawszy wpierw walizki Justyna w nieprzemakalne płótno, żeby się nie przemoczyły. Łódź, choć dość duża, kołysała się silnie od wiatru. Justyn zauważył, że przewoźnicy prowadzili ją zupełnie inaczej niż zwykle. Zamiast mianowicie płynąć najkrótszą drogą na poprzek rzeki, wzięli zaraz, minąwszy przydrożne wikle, kierunek pod prąd, w tym miejscu jeszcze słabszy, i tak płynęli parę kilometrów, aż Sandomierz zaczął ginać im z oczy. Dopiero wtedy zwrócili się na środek rzeki. I jakże słusznie i z doświadczeniem to zrobili! Woda porwała łódź i niosła w tempie szalonym w dół rzeki, pomimo wielkich wysiłków, żeby jej nadać kierunek poprzeczny, bardzo nieznacznie tylko zbliżali się do przeciwnego brzegu. Wiatr przy tym i zbałwaniona fala kołysała łodzią tak silnie, że trudno było utrzymać równowagę i woda zalewała dno. Miejscami wiry skręcały łódź i, gdyby nie cały wysiłek przewoźników, byłyby ją – wzięwszy z młyńca – zatopiły. Byli już prawie na linii Sandomierza, kiedy minęli główny prąd rzeki i mogli już łatwiej skierować się ku brzegowi, do miejsca zwykłego przewozu. Przewoźnicy, spoceni, odpoczywali. Tak dużej wody nie pamiętają. Było to spóźniona „świętojańska” po

dużych deszczach i stopieniu śniegu w górach. Dziś widać kulminacyjny punkt przyboru wody.

Jeszcze z łodzi Justyn zauważył, że u przewozu czeka na niego stary Jędrzej z bryczką zaprzęzoną w parę dobrych szpakowatych koni.

- Bogu dzięki, że wielmożny pan szczęśliwie przejechał – rzek witając się. – Bałem się tym razem wypadku. A i pani starsza tam w wielkim niepokoju.

- No, to jedźmy, nie tracąc czasu na komorę. Proszę siadać.

Ostatnie słowa skierował Justyn do żołnierza rosyjskiego, który od brzegu Wisły eskortował każdego przyjeżdżającego pasażera.

Jechali pod wielką i długą górę, na której Sandomierz malowniczo jest położony. Dobre i przyzwyczajone do takich terenów konie z trudem ciągnęły wypakowaną bryczkę. Wyjechawszy na górę, stanęli.

Odbyła się nieprzyjemna scena rewizji na komorze celnej. Dziś bardziej szczegółowo niż kiedykolwiek przetrząsnęto Justynowi obie walizki w poszukiwaniu rzeczy nowych i podlegających oczeniu. Naczelnik przyczepiał się do niedawno kupionych ubrań, kołnierzyków, krawatów –wszystko z krakowskimi firmami – ale wreszcie polecił zamknąć walizki, nie robiąc kwestii.

- Że pan jedzie z Krakowa, to ja wiem, ale skoro pan przedstawił odpowiednie świadectwo, to mi nic do tego. Proszę jechać.

W drodze wypytał Justyn Jędrzeja o wszystko, co w domu słychać. Wszyscy dzięki Bogu zdrowi. Siostra Pia rzeczywiście nie dawno była i naprawdę oczekuje dziecka, czego nie wiedział. Wuj Klarner pracuje jak zawsze w ogrodzie. Cieszy się, bo na 15 sierpnia zapowiedział swój przyjazd z Brzozowa jego syn, artysta-muzyk z żoną. Urodzaje w tym roku dzięki deszczom bardzo dobre.

Po godzinie Justyn znalazł się w Brzozowie. Radości obopólnej i opowiadaniom nie było końca.

X

Wakacje po powrocie ze studiów krakowskich zeszyły Justynowi bardzo prędko. Wypoczywał po trudach, jeździł dużo konno, odwiedzał sąsiedztwa, wnikał w gospodarstwa, które prowadzone dotąd umiejętnie przez fachowego i serdecznie ich domowi oddanego zarządzającego, p. Witkowskiego, miał niebawem przejść pod jego zarząd.

Nie uważając jednak jeszcze skończonej teorii za dostateczną kwalifikację do samodzielnego prowadzenia gospodarstwa, Justyn postanowił przed objęciem go, odbyć jeszcze w pierw roczną praktykę rolną, choćby na niedużym, ale praktycznie prowadzonym warsztacie. Zdecydował się na niedaleko od Brzozowa położony niewielki majątek Świrne, gospodarowany przez Niemca, p. Augusta Ohta. Polecono mu go, jako doskonałego administratora i świetnego rolnika, o niezmiernej praktyczności, dobrego przy tym i sumiennego człowieka, który na pewno poważnie weźmie do serca obowiązek pokierowania oddającym mu się pod opiekę młodym kandydatem do gospodarstwa i odpowiednie dla niego zastosuje metody.

Ta charakterystyka pana Ohta okazała się zupełnie słuszną. Po szczegółowych dyspozycjach w pierwszych miesiącach zostawił on później Justynowi coraz więcej swobody działania, ograniczając się tylko do ogólnych wskazówek, pouczeń i kontroli, i gdy wreszcie z wiosną następnego roku przyszła na niego dłuższa i cięższa choroba, Justyn stał się jedynym odpowiedzialnym kierownikiem gospodarstwa. Ta odpowiedzialność i samodzielność przyczyniła się dużo do wyrobienia jego myśli i potrzebnej rutyny administracyjnej, tak że kiedy w końcu czerwca opuszczał po wyzdrowieniu szefa gospodarstwo świrneńskie, mógł stwierdzić, że wywiózł z niego dużą naprawdę korzyść, a i szef był z jego pracy niemniej zadowolony. Zadowoleniu temu dał wyraz w wydanym Justynowi świadectwie z praktyki, w którym m.in. zaznaczył, że „ze wszystkich praktykantów, jakich miał w ciągu swojej 50-letniej praktyki, panu Justynowi Boguszowi przyznaje bezwarunkowo we wszystkich pierwszeństwo”. Jak na wymagającego Niemca, to dużo. Justyn też miał z tego niezwykłego zakwalifikowania jego pracy szczere zadowolenie.

Zamykała ona okres, stanowiący jego przygotowanie do życia. Odtąd otwierało się przed nim samo życie. Co ono przyniesie – dołą czy niedołą – nie wiedział. Szedł w nie w każdym razie na podstawie dotychczasowych rezultatów z młodzieńczą wiarą i zdrowym optymizmem.

Rozdział III

Ciepłe poranne słońce lipcowe oświetliło stary dwór i jego otoczenie w Brzozowie. Dwór był niewielki, niski, drewniany. Charakterystyczną jego cechą stanowił od strony podjazdu ganek, z drugiej zaś strony – podwyższony i w ogród wysunięty dla powiększenia przestrzeni, dość duży, o trzech oknach, salonik ozdobiony piękną staroświecką posadzką, który zbudowali w swoim czasie dziadkowie Lasey, wprowadzając w świat adoptowaną przez nich jako młodą panienkę, późniejszą matkę Justyna. W następnym pokoleniu gdy dorosły jego siostry, a babka Laska umarła, pokój ten był terenem licznych imieninowych zabaw sąsiedzkich. Teraz zabawy taneczne należą już do przeszłości, ale że okolica jest ruchliwa i sąsiedztw bliskim ma dużo, dworek brzozowski gromadzi w nim nieraz liczniejsze grono sąsiadów i znajomych.

Przeważnie – w niedziele i święta. W dnie powszednie Justyn odwiedzin nie lubił, bo odrywały go one od pracy w gospodarstwie, której się serio i gorliwie poświęcił. Starał się

podnieść dochód, bo warunki miał ciężkie. Koszta prowadzenia warsztatu wzrastały, obciążenia na majątku były duże, a ustabilizowana do szeregu lat cena nieco wyżej 5-ciu rubli za korzec pszenicy i poniżej 4-ch rubli za korzec (dzisiejszy metr) żyta – a to na skutek znacznego w końcu ubiegłego stulecia dowozu zboża z Ameryki – z trudem pozwoliły na wiązanie końca z końcem. Postanowił m.in. położyć większy nacisk na podniesienie i zwiększenie dochodu z obory.

Przyszedł z pola, usiadł Justyn na ławce pod oknem saloniki od strony ogrodu. Lubił to miejsce, bo o tej porze rwały oczy piękne różnobarwne pachnące róże, posadzone w dużym kręgu przed domem, stare orzechy włoskie w alei ogrodu i nowy, biało pomalowany most, rzucony już przez niego w tym roku poprzez niewielki wąwóz, który z krzywdą wygody dzielił w tym miejscu ogród na dwie odrębne jakby połacie. Most udogodził ich połączenie i podniósł estetykę terenu przez ładny widok od strony domu. Za mostem na wzniesieniu malowniczo rysował się kępa starych brzoź o długich warkoczach zwieszających się pionowo gałęzi.

Z ogrodu szła z koszykiem pięknych czereśni matka Justyna i przysiadła się do niego.

- Dzień dobry, Justysiu. Zmęczony pewno, biedaku. Żniwa – gorący czas. Intensywnie pracujesz w ogóle na Brzozowie. Zjedz trochę czereśni. W tym roku obrodziły. Dawniej sam je sobie zdobywałeś, wspinając się jak kot po drzewach. Dziś i czas, i powaga „pana dziedzica” na to ci nie pozwala. Jakiś jesteś przygnębiony, czy zmęczony.

- Nie, Mamusiu. Praca mnie nie męczy. Jestem rad, że ją mam. Posiadam dzięki Bogu zdrowie i siły. Mam tylko zwykle kłopoty w gospodarstwie. Ludzi mało, atu naraz przychodzi sprzęt wszystkiego. Ale to nic. Wszystko powoli się zrobi. Byle zbiór okazał się dobry, a zboże namłotne, na co się zanosi.

- Że pracujesz, to mnie tylko cieszyć może, byle zdrowie nie cierpiało. Od najmłodszych lat starałam ci się wyrobić to przeświadczenie, że praca to największe nasze dobrodziejstwo, zwłaszcza w chwilach cięższych w życiu. Ale po pracy należy się młodym rozrywka i odpoczynek. Nie masz w projekcie jakiegoś wyjazdu?

- Owszem, Mamusiu. Na najbliższe dwa dni świąt wybieram się do Kaziów do Basztowej Woli. Nie znam jeszcze Stasia, mojego pierwszego siostrzeńca. I wspólnemu życiu ich oraz gospodarstwu chcę się trochę przypatrzeć. Basztowa Wola to dobra dzierzawa, a Kazio – doskonały gospodarz. Rozstawię konie, to się prędzej przejedzie.

- To dobrze, synku. Mniej się zmęczysz, a trochę się w swej nużącej pracy rozerwiesz.

W dwa tygodnie później, po szczęśliwie dokonanych zbiorach, Justyn jechał do Basztowej Woli. Droga to daleka – ówczesnych osiem mil 7-mio wiorstowych, czyli około 60 kilometrów. Wysłał na kilka godzin wcześniej Jędrzeja cugowymi końmi wozem na połowę

drogi z Ostrowca. Tam konie popasły; napojone i wypoczęte, czekały na jego przyjazd i przeprężnięcie do bryczki.

O ile droga do Ostrowca, dobrze Justynowi znana, wyboistą, bo rozbitą przez duży ruch szosę, była nudna i monotonna, o tyle dalsza dla kogoś, co lubi jak on lasy, przedstawiała się zupełnie inaczej. Tu dwie trzecie drogi jechało się lasami, należącymi do dóbr częstocickich hr. Wielkopolskiego. Zaraz niedaleko Ostrowca – piękny ogrodzony obszerny zwierzyńiec, w którym sarny i duże jelenie o olbrzymich rozgałęzionych rogach, nie strzelane, a więc i niebojące się człowieka, podchodzą niemal pod samo ogrodzenie. Dalej – lasy różnego wieku, do którego Justyn silnie był stęskniony, tym więcej, że całe sandomierskie jest ich pozbawione niemal zupełnie. W samym Brzozowie wprowadził tamtejsze wąwozy poprzedni administrator p. Witkowski obsadził, ze wszech miar słusznie, modrzewiem, brzezina i sosną, ale to był jeszcze kultury bardzo młode, radujące niewątpliwie oko amatora, ale na miano lasu jeszcze tymczasem nie zasługujące.

Przed wieczorem Justyn stanął w Basztowej Woli. Siostra i szwagier bardzo się z jego przyjazdu ucieszyli. Mały Staś już wyszedł z poduszki. Wydał się Justynowi duży i dorodny. Uśmiechał się nie tylko do rodziców i niani, ale i wujkowi należne mi okazał względy.

Justyn nie pierwszy raz był w Basztowej Woli, ale pierwszy raz dopiero przyjrzał się dobrze dworowi i otoczeniu, jakby przeczuwał, że w niedługim czasie stanie się ich mieszkańcem.

Dwór – dość duży na wysokim podmurowaniu, drewniany i nie tynkowany. Z wiekiem ściany jego nabrały koloru ciemno – szarego, od którego żywo odbijał ganek z filarami, biało olejną pomalowany farbą, oraz także okna i drzwi. Siedem dużych na ogół pokoi, oprócz tego nie wykończona od chwili postawienia domu duża sala z werandą na ogród.

Przy kolacji rozmowa toczyła się przeważnie około osoby właściciela majoratu, barona Kruise, który, objeżdżając swoje dzierżawione przez Polaków folwarki, był właśnie niedawno w Basztowej Woli. Osobliwy to rzeczywiście człowiek. Syn porządnego Rosjanina, dyrektora Banku Polskiego, który – jak to wielokrotnie bywało wówczas – otrzymał za swe zasługi od rządu rosyjskiego majorat, złożony z kilku folwarków, leżących w różnych okolicach Polski, m.in. w Iłżeckim. Syn, z pochodzenia zatem Rosjanin, sam nie umiałby na pewno określić jakiej jest narodowości. Mieszkał stale w Paryżu z b. żoną swego plenipotentą, którą ubóstwiał, za prawowitą swą uważając małżonkę. Bardzo zdolny i inteligentny, tworzył, jak mówił, 7-ma językami, nie mówiąc o poprawnym nimi władaniu. Po polsku mówił i pisał zupełnie dobrze, czasem tylko wplatając jakiś rusycyzm, ale wolał mówić innymi językami, przede wszystkim tam gdzie mógł – po francusku.

Dzierżawców swoich, zwłaszcza tych, którzy mu niczym nie imponowali, gnębił i szykanował mocno, głównie z powodu ewentualnych zaniedbań w budynkach. Dał szwagra Justyna czuć dość respektu z powodu jego umiejętnego gospodarowania, a obecność młodej

pani domu, z którą mógł swobodnie rozmawiać po francusku, nastawiała go dla domu jeszcze przychylniej.

- A jakież jest stosunek wasz z nim, jako z donatariuszem – zapytał Justyn – głównie co do rat dzierzawnych, ściślej mówiąc, poręczającej administracji?

- Jeżeli się wypłacać w porządku, a przyznać trzeba, że tenuta dzierzawna stosunkowo wysoka nie jest – to, mnie przynajmniej szyskan nie robi – zaznaczył Kazimierz – ale gdy kontrakt się skończy, a skończy się w roku przyszłym, to może czynsz znacznie podwyższyć. Podobnie przy odstępowaniu dzierzawy komu innemu może robić trudności. Zresztą u niego wszystko zależy od fantazji, jak u każdego artysty. Bo trzeba ci wiedzieć, że choć sam jest brzydki, rudy, niepociągający, skłonności artystyczne ma silnie rozwinięte. Ma, jak mówił, w Paryżu dużą w swoim mieszkaniu galerię obrazów, przeważnie starej szkoły, do których bardzo jest przywiązany. Jest przy tym gorliwym zbieraczem różnych – poza obrazami i portretami – starożytności. Opowiadał nam za ostatnią bytnością, że przyjechawszy raz tu do poprzedniego poręczającego administratora Basztowej Woli zauważył, w kącie przedpokoju, stare zniszczone biurczko, na którym indyki siedzibę sobie obrały. Ledwo przywitawszy się, polecił dać sobie trochę ciepłej wody, odmył sprzęt zarośnięty brudem, w jednym miejscu, a potem zapytał, czy by mu go nie sprzedano. Ów dzierzawca odpowiedział, że skoro go tak zainteresował, to chętnie mu go ofiaruje, bo tu stoi zupełnie bezużytecznie. Kruuze przyjął prezentu nie chciał, więc stanęło na 10 rublach. Wziął, jak mówił, biurczko ze sobą do Warszawy, dał za jego odnowienie znawcy – antykwariuszowi 600 rubli i obecnie stoi ono u niego w Paryżu jako oryginalny Ludwik XIV, za który mu ofiarowują 35 tysięcy franków. Ile to u nas, po starych polskich dworach, może być takich cennych przedmiotów, z których wartości zupełnie nie zdajemy sobie sprawy!

Na miłej pogawędce zeszły im długie godziny. Kaziowie, jako zespół, jako małżeństwo, zrobili na Justynie bardzo dodatnie wrażenie. On, który tak cenił życie rodzinne, nacechowane zacnością, wzajemną miłością, szczerością i zaufaniem, oddane pracy i obowiązkom, tu w domu siostry, znajdował wcielenie tego ideału. Mały Staś był ukochaniem obojga rodziców.

Na drugi dzień obejrzel podwórze i objechali pola. Inwentarz dobry i liczny. Budynki za to, jak zwykle na dzierzawach, dość liche i nie wystarczające na jego pomieszczenie. Bądź co bądź jest tu 700 morgów ziemi, i to – poza niewielkim pastwiskiem – samej ornej. Brzozów razem z parowami ma tylko 450 morgów przestrzeni. Ziemia na ogół dobra, tylko w niższej części pól wymagająca drenowania, o którym na dzierzawie trudno marzyć. Tym więcej potrzebna jest umiejętna praca gospodarza.

Po dwóch dniach pobytu u siostry i szwagra, Justyn, pożegnany serdecznie, powrócił do domu, gdzie matce, szczerze stęsknionej za córkę, musiał wszelkie szczegóły ze swej wycieczki opowiadać.

X

Minęły żniwa, siewy i kopanie. Gospodarze wypoczywali po ciężkiej pracy. Domy sąsiedzkie skorzystały z tego, aby młodzież nieco zabawić. Odbył się cały szereg wieczorków tanecznych w okolicy, m.in. u starszej już wdowy, pani Duchateaux, która choć sama bezdzietna, lubiła otaczać się młodymi, i gdy jej liczne wnuczki dorosły, otworzyła dom swój szeroko, urządzając dla nich częste konne spacery, wycieczki i zabawy. Niektóre z tych wnuczek mieszkały u niej przez całe miesiące, inne bawiły tygodniami i najbliższe sąsiadki i sąsiedzi przyjeżdżali na oznaczony dzień i godzinę. Dwór był duży, jego urządzenie – dostatnie, tak, że wszyscy z łatwością mogli się wygodnie pomieścić i czuli się jak u siebie w domu.

Justyn, jako młody człowiek, łatwy towarzysz, wesołego usposobienia, umiejący i lubiący tańczyć, a i zagrać do tańca na fortepianie, mający już po ukończeniu nauk pewną pozycję, będący przy tym jednym z najbliższych sąsiadów Sulmierzyc, był zawsze oczywiście na te wszystkie zabawy zapraszany, i – o ile mu jego zajęcia pozwalały, brał w nich zawsze czynny i żywy udział; zbliżył się przez to więcej do młodych kuzynek pani Duchateaux.

Serce jego do żadnej nie przemówiło, ale nim się jedna z nich, Magdalenka Recheńska, wyraźnie zajęła. Wśród bardzo dobrego towarzystwa, gromadzącego się w domu sulmierzyckim, ona wyróżniała się raczej ujemnie pewną zbytnią swobodą obcowania, śmiałymi powiedzeniami, niepowściągliwością spojrzeń rzuconych w stronę kogoś, kim się więcej zainteresowała.

Justyn tę jej skłonność ku niemu zauważył, ale tym więcej starał się być taktownym i zrównoważonym, aby swoim zachowaniem się nie ośmielać jej jeszcze więcej i nie budzić jakichś nadziei na przyszłość, jeżeli chodzi o projekty poważniejsze; o ile zaś miałby to być przelotny flircik niższego gatunku, to z osobą z towarzystwa, w którym była i które szanuje, uważałby go za zupełnie niegodny uczciwego człowieka i niedopuszczalny. Takie już były jego głębokie wewnętrzne przekonania i zasady. Zresztą słyszał, że Magdalenka ma narzeczonego i że niedługo ma być ślub, tylko trzymają to w ścisłej tajemnicy.

Podczas jednej z zabaw, gdy znaleźli się z Magdalenką na osobności, ona zaczęła mówić do niego czułe słówka, kokietować go, nawet prowokować; on mając w naturze wrodzoną cześć dla kobiety i jakby chcąc wprowadzić ją na wyższy poziom myślenia, pocałował ją w rękę.

- Tylko tyle? – rzekła z rozczarowaniem.
- Tylko tyle – odpowiedział.

Zrobił się koło nich ruch. Rozmowa się skończyła.

Wkrótce potem Justyn otrzymał zaproszenie na trzy większe zabawy taneczne już nie w sąsiedztwie, a w dalszych stronach. Pierwsza z nich, na początku stycznia, pochodziła od dawnego zarządzającego w Brzozowie, p. Witkowskiego. Jako człowiek dobrego towarzystwa i mający dużo znajomych, proszony on był przez kuzynów, swoich, państwa

Bielińskich, u których po wyjściu z Brzozowa pod Warszawą pracował, aby się postarał o kilku młodych ludzi na projektowaną zabawę. P. Witkowski w pierwszym rzędzie pomyślał o Justynie.

Drugie dwie zabawy, na które zdecydował się pojechać, miały się odbyć w początku lutego w zupełnie nieznanym mu stronach – w Opoczyńskim, ale za to spodziewał się znaleźć tam dużo znajomych z Sandomierskiego, którzy się tam wybierali. Zima i dwa święta po sobie ułatwiły mu odjechanie od gospodarstwa. Zresztą miał przy nim teraz starszego już wiekiem ale doświadczonego, uczciwego i życzliwego ekonoma, p. Patulskiego. Kiedy jeszcze wahał się z pojechaniem, sąsiedzi, którzy się już pojechać zdecydowali, wysuwali jako atrakcję, że będzie miał możliwość poznać na tych balach najpiękniejszą osobę w całej ziemi radomskiej, pannę Lenę (Leontyne) Porzycką – Komar, „gwiazdkę opoczyńską”, jak ją wówczas powszechnie nazywano.

Do pp. Bielińskich wyjechał Justyn nocnym pociągiem w przeddzień balu, żeby czasu nie tracić. Na dworcu spotkał niespodziewanie panią Recheńską z Magdalenką, jadące na ślub Magdaleny, mający się odbyć w Warszawie za dwa dni. Zdziwionemu mocno tą wiadomością panie te wyjaśniły, że miały względy, dla których do czasu wolały utrzymać ją w tajemnicy, teraz jednak jest już ona zbyt uczciwa. Gdy zajęli miejsce w wagonie, Magdalena spytała, dokąd jedzie i kiedy wraca, a gdy się dowiedziała, że w dniu jej ślubu będzie przejeżdżał przez Warszawę, zaczęła go bardzo usilnie prosić. Ma być tylko kilkanaście osób najbliższych, ale ponieważ tak los zrzucił, że on tego dnia znalazł się w Warszawie, musi jej życzenia złożyć. Matka bardzo serdecznie poparała prośbę Magdaleny. Przyjęcie po ślubie miało się odbyć w Bristolu.

Justyn nie wiedział bardzo powodu do tej bytności, ale że panie te tak prosiły, frak z sobą miał, czasu specjalnie nie tracił, więc obiecał, że będzie.

Po długiej rozmowie oczy zaczęły im się kleić, światło zgaszono, pociąg monotonicznie kołysał do snu. Byli tylko we troje w przedziale 2-ej klasy. Mama Recheńska, dobrej tuszy i mocno ściśnięta sznurówką, dla tej widać przyczyny oświadczyła, że się nie położy, a będzie drzemać siedzący, Magdalena wyciągnęła się na ławce matki, Justyn – na przeciwnej.

W głębi nocy, wyjątkowo ciemnej, obudził się, a że mu ciemno było na wąskiej kanapie, wyciągnął rękę poza nią. To samo widać zrobiła Magdalena, bo ręce ich pomiędzy ławkami spotkały się. Justyn poczuł mocny uścisk ręki, ale na niego nie zareagował, tylko ją po dawnemu potraktował. Było to bez sensu, bo jednak szacunek, który pocałowaniem kobiety w rękę znamionuje, dla niej nie miał. Ot, taki odruch bez znaczenia, gdy na inny nie chciał sobie pozwolić. Ona rękę cofnęła. Niemy flirt się skończył.

U pp. Bielińskich w Rogalach Justyn spędził czas bardzo miło. Jako gość z dalekich stron był specjalnie honorowany. Dano na jego cześć ślepy wystrzał z posiadanej polowej armatki i napisano wierszyk, w którym było zaznaczone:

I bito z mózdzierza,
Że spod Sandomierza
Tak zacny przybywał kawaler.

Zabawa była doskonała, przyjęcie wytworne. Pierwszy raz Justyn miał możliwość poznać nie praktykowany w jego stronach zwyczaj zimnych obfitych zakąsek przed kolacją. Przeszli przy nich blisko godzinę, pokrapiając znakomitymi nalewkami.

Na trzeci dzień Justyn przejeżdżał przez Warszawę i tak, jak obiecał, znalazł się na ślubie Magdalenki, a potem – w Bristolu.

Mąż jej, p. Zieliński, znacznie od niej starszy, mieszkał w Łodzi i tam żonę zabierał. Ona robiła wrażenie przymuszonej i nie zadowolonej. Ładna w swej białej ślubnej atlasowej sukni uśmiechała się blado.

Po kolacji, gdy się znaleźli z dala od całego towarzystwa, Magdalena rzekła:

- Niech pan nas odwiedzi w Łodzi.
- A potem dodała półgłosem z kuszącym uśmiechem:
- Ja mam osobny buduar z oddzielnym zupełnie wejściem. Gdy się co do czasu umówimy, nikt pana nie będzie widział. Możemy być całkiem swobodni.

Ta propozycja w uroczystym dniu ślubu, w chwilę po złożeniu sakramentalnej przysięgi wierności małżeńskiej, była już szczytem cynizmu i przewrotności. Justyn odwrócił się od niej z nie smakiem.

- Widzi pan z tego, jak panu jestem oddana.
- Cóż z tego? Ja pani propozycji przyjąć nie mogę. Jak pani może? Jeszcze w tej chwili...

Wkrótce potem pożegnał się i wyszedł silnie poruszony.

- Jakież to – myślał – strasznie smutny wyjątek wśród przyzwoitych panien, które znam. Nie, nawet ten okropny przykład nie potrafi zachwiać mojej głębokiej wiary w czystość i szczerne posłannictwo kobiet.

X

W niespełna miesiąc później jechał Justyn wraz z paru młodymi sąsiadami na zapowiadane zabawy – jedną prywatną u pp. Gubrynowidzów w Pławnie, drugą – składkową w Świerczynie, w nieznanym mu ziemi opoczyńskiej.

Jako pied à terre, mieli przemiły dom pp. Korwin – Szeliskich w Porębach, którzy znali całe sandomierskie i wszystkich stamtąd przybyłych młodych do siebie zaprosili z tym,

żeby już od nich swoje balowe czy inne robili wycieczki. Justyna dotąd nie znali osobiście, tylko przez innych, ale od razu go serdecznie polubili i specjalnymi darzyli względami.

Obie zabawy taneczne udały się doskonale. Na pierwszej, prywatnej, Justynowi poruczono prowadzenie pierwszego mazura.

Ale panny Leny na żadnej z tych zabaw nie było. Okazało się, że umarł na Litwie jej stryj i jeszcze obchodzono po nim żałobę.

Wśród młodzieży sandomierskiej nastąpiła konsternacja, z którą wyżalono się pp. Szeliskim. Ale oni nie dali za wygraną.

- Nie możecie wyjechać stąd, nie widząc, bądź nie poznawszy – jak pan Justyn – ozdoby naszej okolicy, panny Leny Komarówny. I rodzice jej i cały dom – bardzo miły. Damy wam dziś konie i pojedziecie z wizytą do Mroczkowa, a jeżeli się wam uda, poprosicie gremialnie państwa Komarów, a my listownie prośbę waszą poprzemy – żeby jutro przyjechali do Poręb na herbatę. Żadnego balu tu nie ma, ale jest was kilki, parę panienek w domu, to się rozerwiecie.

Dorosłej córki państwo Szeliscy nie mieli tylko 13- letnią, nie zwykle inteligentną i ślicznie wychowaną jedynaczkę Ziutę; było za to parę ich kuzynek z Sandomierskiego.

Całą hurmą trzema ekwipażami pojechała młodzież poznawać o zapraszać pannę Lenę. Justyn, pierwszy raz będzie w Mroczkowie, przyglądał się wszystkiemu z wielkim zainteresowaniem.

Dwór – nowy, duży i precyzyjnie, już przez ojca Leny, postawiony. W domu porządek i czystość nadzwyczajnie. Rodzice – bardzo uprzejmi, mili, dość oryginalnych typach.

Ojciec – dużego wzrostu, tęgi przystojny mężczyzna, lat około 60-ciu o prawie siwych włosach, i wyraźnie wydatnych kościach policzkowych, zdradzających pochodzenie tatarskie. Komarowie, osiadli dziś na Litwie Kowieńskiej, wywodzą się podobno od książów tatarskich herbu własnego, wyobrażającego trzy strzały w półksiężycu, zwróconym rogami na dół. Twarz – obok wyrazu męskości i siły – dobra i łagodna. Patriotycznie nastawiony, brał udział w powstaniu 1963 roku i dostawszy się do niewoli, kilka lat spędził na Syberii.

Matka, silna brunetka o rysach wydłużonych i nieco ostrych, znacznie, o jakieś 20 lat młodsza od męża, przystojna i rasowa. Pochodzi ze znanej też litewskiej rodziny Markiewiczów – Jotyków z Mińszczyzny. Wydaje się być doskonałą gospodynią, utrzymującą w domu ład i dyscyplinę.

Dziewiętnastoletnia Lena – rzeczywiście śliczna. Nic opinia nie przesadziła. Wzrost dobry, figura doskonała, prosta i zgrabna, jak topólka. Włosy ciemne przy jasnych szaro –

niebieskich oczach. Rysy – bardzo regularne. Cała postać – wybitnie rasowa, o królewskim geście i ruchach. Prawdziwa kniaziówna.

Oprócz Leny – trójka rodzeństwa – o trzy lata młodszy, bardzo również przystojny chłopak, Wicek i o sześć lat młodsza para bliźniaków – Zygmus i Hala.

Rozmowa toczyła się żywo około spraw aktualnych, przede wszystkim zabaw w Pławnie i Świerczynie. Sześciu młodych ludzi chórem wyraziło gorące ubolewanie, że zabawy te pozbawione były tak wdzięcznej ozdoby, jaką tu dziś widzą, a następnie, wręczywszy list państwa Szeliskich, prosili na wszystko, żeby państwo Komarowie nie odmówili swojej bytności w Porębach, podkreślając, że nie wyjadą, dopóki przychylniej nie otrzymają odpowiedzi.

Nie nastąpiła ona od razu. Czas żałoby po bracie, zmarłym na Litwie, jeszcze trwa, nie gdzie w sąsiedztwie nie bywają. Muszą nad tym pomyśleć.

Zabawiono się tymczasem rozmową. Lena grała na fortepianie jakieś poważniejsze utwory, Justyn – jakiegoś walca. Opowiadał potem o stosunkach i zabawach w sandomierskim. W ogóle jednak, będąc pierwszy raz w domu, podczas gdy inni byli tu więcej zadomowieni, odzywał się niewiele, był raczej obserwatorem.

Lena mu się, jak wszystkim, bardzo podobała. Stwierdzał to obiektywnie. Żadna jednak głębsza struna w nim nie drgnęła. Rozumiał, że ten wdzięczny obrazek potrzebuje stosownej oprawy, której nie tylko on, ale żaden z dzisiejszych gości Mroczkowa stanowić by dla niej nie mógł.

Lena zresztą miała inne projekty. Jak ze ślicznym uśmiechem mówiła pół żartem, pół serio, wybiera się do Afryki nawracać Kafrów, małych murzynków, na wiarę chrześcijańską. Tej misji chce się w najbliższej przyszłości poświęcić.

W pewnym momencie starsi państwo Komarowie oświadczyli, że zważywszy na tak serdeczne zaproszenie oraz wyjątkowo bliski stosunek jaki ich od dawna łączy z domem państwa Szeliskich, zdecydowali się przewyciężyć nastęrczające się im skrupuły i jutro z Lenną do Poręb przyjadą. Wezmą może nawet młodszą 13-letnią Hale, to się z rówieśniczką Ziutą zabawią.

Z radością u triumfem młodzieży porębiańska powróciła do domu.

Zebrało się nazajutrz w Porębach dość liczne towarzystwo, bo i z sąsiedztwa przy święcie ktoś niespodziewanie przyjechał. Z początku młodzi zabawiali się rozmową i spacerem po ogrodzie, ale potem ktoś z pań zagrała na fortepianie, i urządzono zaimprovizowane tańce. Lena w jedwabnej różowej bluzeczce i piaskowej spódniczce wyglądała prześlicznie. Justyn wodził za nią oczami z zachwytem i tańczył z nią najwięcej. Zaczęło mu w duszy coś tajać. Zauważył, że i ona na niego miłym patrzy okiem.

Po dwóch tygodniach przyjechał znowu w opoczyńskie, aby złożyć formalną wizytę w Mroczkowie, a także w Pławnie z podziękowaniem za zaproszenie na bal oraz w Porębach – za tak miłą gościnę. O kochanie nie zawiadamiał. Zajeżdżał najętą furmanką wprost ze stacji do Mroczkowa, gdzie zabawił przez dzień następny, a potem pojechał do Poręb i do Pławna.

Wiedziony nienazwaną jeszcze nieprzepartą siłą, po paru tygodniach znowu zjawił się w tych stronach. Nie śmiał jeszcze powiedzieć sobie, że jest zakochany w Lenie, i że ma poważniejsze względem niej zamiary, ale te częste jego odwiedziny i rodzicom i sąsiadom dawały już dużo do myślenia. Mama Komarowa, dotąd bardzo uprzejma i miła, zobaczywszy co się święci, zaczęła na niego patrzeć bardziej krytycznym okiem matki, tym bardziej, że widziała, iż i Lena nie jest dla niego obojętna.

Za to w Porębach była z tego powodu cicha, ale serdeczna radość. Państwo Szeliscy, poznawszy Justyna, a znając go dawniej z opinii, i będąc mu i drugiej strony szczerze życzliwymi, już sobie uplanowali ten marjaż. W tym też kierunku, zdaje się, urabiali pojęcia w Mroczkowie.

Rozdział IV

Tymczasem myśli Justyn w inną zupełnie musiały oderwać się stronę. W końcu lutego poważnie zachorował na serce szwagier jego, Kazimierz Celiński. Doktorzy miejscowi uznali za konieczny wyjazd jego do szpitala do Warszawy. Pia odesłała małego Stasia do Brzozowa pod opiekę babki, sama pojechała go pielęgnować. Nie pomogły jednak zabiegi lekarskie i najtroskliwsza opieka ukochanej żony. W niespełna miesiąc, niestety, chory życie zakończył, pozostawiając w bezgranicznym smutku pozostałą żonę i rocznego zaledwie synka.

Pia, zaprawiona przez męża do męskiego gospodarstwa i wtajemniczona w jego sprawy zabrała się z konieczności do pracy, która w jej strasznym obecnym położeniu dawała jej ulgę i zapomnienie. Sprowadziła z Brzozowa Stasia z babką i cała oddała się ciężkim obowiązkom. Zawiadomiła właściciela majoratu o śmierci męża, prosząc o przelanie na nią jego praw do dzierżawy.

Justyn został w Brzozowie sam. Gospodarstwem w związku z częstymi wyjazdami zajmował się teraz tylko ogólnie, pozostawiając dużo samodzielności doświadczonemu zresztą i pracowitemu Pakulskiemu.

W Mroczkowie był znowu parę razy.

Otrzymał wszyskie zaproszenie do wzięcia czynnego udziału w organizowanej na wrzesień wystawy rolniczo – przemysłowej w Radomiu, z propozycją posłania na nią kilku sztuk bydła z obory Brzozowskiej, Justyn wybrał się tam dal zbadania gruntu i możliwości swojej w tej imprezie roli.

Na węzłowej stacji w Skarżysku spotkał się z paroma znajomymi.

- Dokąd jedziesz?
- Do Radomia, porozumieć się w sprawie wzięcia udziału w wystawie.
- Jak to, a nie będziesz dziś w Mroczkowie? Przecież to imieniny pani Komarowej. Będzie więcej osób i ciebie by tam miało zabraknąć? Ktoś się tam ciebie na pewno spodziewa, a może i łezkę uroni, jak nie przyjedziesz. Radom nie ucieknie. Możesz tam pojechać stamtąd.

Wzmianka o łezce, którą, by miała uronić Lena z jego powodu, rozczuliła Justyna – zachwiał się.

- Posłałem już życzenia pani Komarowej. Jak to będzie wyglądać, kiedy zjawie się nieoczekiwanie?
- Tym lepiej, że zrobisz niespodziankę. Będą ci tym więcej radzi. Papiery twoje tam dobrze stoją. Nie marudź, kupuj bilet i jedź z nami.

Ustąpił, i pojechali. Sam los, poza jego krokami, posuwał sprawę naprzód. Ale o niej wprawdzie poza najbliższymi – matką i siostrą z nikim nie mówił, uważając to za przedwcześnie.

W Mroczkowie zastali rzeczywiście dużo osób, starszych i młodych. Ze względu na nie dawną żałobę nie tańczono. Za to tenis, w którym Lena celowała, miał wielkie powodzenie. Uczucie i zamiary Justyna pogłębiały się z każdą chwilą. Patrzył na Lenę, jako na coś już swojego, czego by za żadne skarby nie oddał.

W Radomiu zdecydował się Justyn wziąć udział w wystawie. Choć materiału w oborze nie miał jeszcze wyrównanego, liczył, że porównanie go z innymi, da i jemu i służbie, która przyjedzie z krowami, impuls do zdrowego współzawodnictwa i postępu. Prowadził przy tym w swoisty sposób księgi obory, co do których chciał się poradzić sędziów i rzeczoznawców.

Sześć krów czarno – srokatych z Brzozowskiej obory, dwoje służby i wóz z paszą i niezbędnymi rekwizytami stanowiły karawanę wystawową. Justyn towarzyszył im konno do Basztowej Woli, na którą im droga do Radomia wypadała. Podróż odbyła się pomyślnie. On sam wpadł przed wystawą na jeden dzień do Mroczkowa.

Tu nastąpiła jedna z decydujących rozmów. Nie oświadczając się na razie pannie, Justyn zapytał ojca, czy nie mieliby nic przeciwko oddaniu mu córki, którą głęboko i serdecznie ukochał.

- Poznaliśmy pana – odrzekł ó z jak najlepszej strony. Opinię ma pan ustaloną – solidnego, poważnego i pracowitego młodego człowieka, człowieka o zdrowych zasadach i poglądach. Nie możemy mieć nic przeciwko temu. To już rzecz między

panem i Leną. Mógłbym nas trochę niepokoić wasz byt materialny, bo i Lenie dać nie możemy dużego posagu, i pana część w Brzozowie będzie niewielka. Ale przy Boskiej pomocy to się jakoś ułoży. Ważniejsze są względy moralne.

Mówiąc to, Papo – jak go dzieci nazywały – miał łzy w oczach, bo był czulego serca i nad życie kochał swoją Lenusię.

Justyn jakby go kto na sto koni wsadził, siedząc naprzeciwko Leny przy kolacji, popatrzył na nią, jako na coś zupełnie już swojego. Zgodny jej i uczucia był pewny. Ale przed wystawą i mającymi jej towarzyszyć zabawami świadomie nie chciał się oświadczać, żeby nie czynić z ich zaręczenia się przedmiotem publicznych owacji. Państwo Komarowie naturalnie mieli być w Radomiu.

Krowy Justyna bardzo Lenę zainteresowały i zaraz pierwszego dnia po przyjeździe poszła je zobaczyć. Bardzo jej się podobały. Były akurat dojrzałe przez młodą, dorodną, również „wystawową” dziewczynę.

Na drugi dzień, idąc w mieście z rodzicami i Justynem, Lena spotkała dobrego ich znajomego, brata pani Szeliskiej z Porąb, słynnego kpiarza, pana Konstantego Jaworowskiego. Zaledwie przywitał się, zrobiwszy smutną minę, powiedział:

- Ale wie pani, panno Leno, że Boguszowi najładniejsza krowa dziś w nocy padła. Połknęła jakiś gwóźdź i już po niej. Wszelki ratunek okazał się bezskuteczny.

Powiedział to tak naturalnie i z nagłą, że Lena nie zorientowała się, iż Justyn byłby im przecież coś o tym wypadku wspominał, stropiła się silnie, i – choć tego nie chciała po sobie okazać – łzy zaszkliły się w jej oczach.

A pan Konstanty na to tylko czekał. Wziął jej rękę, serdecznie do ust przycisnął, mówiąc:

- Panno Lenko droga, to nie prawda. Powiedziałem to dla kawału, żeby zobaczyć jakie to wrażenie na pani zrobi. Ale – dodał filuternie- czego się chciał przy tej sposobności dowiedzieć, to się dowiedział.

Lena raka spiekła, a Justyn pomyślał:

- Jakie to kochane, drogie stworzenie!...
- Dwie odbyły się publiczne zabawy podczas wystawy : pierwsze o charakterze mniej, druga więcej oficjalnym. Justyn ze względu na niedawną śmierć szwagra i ból drogiej siostry, nie bardzo miał ochotę na nie pójść, ale zważywszy na Lenę, nie wypadało nie być. Poszedł więc, ale poza paru tour'ami walca z Leną nie tańczył. Na pierwszym balu, jako pierwszy swym balu w ogóle, była w białej sukni z fiołkami, na drugim – w różowej z czarną aksamitką na szyi. Wyglądała

czarująco. Rozpoczynając bal oficjalny, prowadzący tańce, Józef hr. P., kolega uniwersytecki Justyna, skłonił się przed Leną, prosząc ją do tańca ze słowami:

- Rozpoczynać tańce można albo z mężatką, albo z najpiękniejszą panną. Służę pani.

A przetańczywszy, zbliżył się do Justyna i serdecznie dłoń mu uściskawszy, powiedział:

- No, Justynie, można co naprawdę powinszować!
- Zrozumieli się bez słów. Justyn promieniował.

Lena uznana została za królową balu.

Nazajutrz nastąpiło zamknięcie wystawy i rozdanie nagród. Justyn dostał dyplom honorowy „za świadomą celu pracę w prowadzeniu obory i ksiąg”.

Wysławszy swoją karawanę tą samą drogą co poprzednio, Justyn pojechał razem z państwem Komarami do Mroczkowa. Czas już było kończyć i szczęścia nie odwlekać.

Na drugi dzień oświadczył się Lenie i został przyjęty. Rodzice ze łzami w oczach błogosławili ich na nową nieznaną drogę życia.

Wrześnie słońce schodziło ku zachodowi...

Zajechawszy w powrotnej drodze do Basztowej Woli, zastał Justyn nową niespodziankę. Siostra otrzymała pismo od donatariusza, w którym prosi ją - a prośba w tych stosunkach równała się żądaniu - o przyjazd do Paryża. Koszta podróży gotów jest jej zwrócić. Sprawy przepisania na nią dzierżawy nie da się listownie załatwić. Niektóre punkty wymagają osobistego omówienia. Ona sam prędko nie będzie w Polsce.

Pia zdecydowała się pojechać. Ale jak to puszczać się w taką daleką drogę samej młodej kobiecie, w dodatku złamanej bólem i nieszczęściem? Postanowili z Justynem pojechać razem. Zwiedzać Paryża nie będą, to podróż nie zajmie im więcej, niż 3-4 dni.

Na Berlin i Kolonię w dniach najbliższych wyjechali. W drodze musiał Justyn szczegółowo opowiedzieć siostrze o swoich sprawach sercowych. Serdecznie się wszystkim cieszyła i do Leny na podstawie opowiadań brata była jak najprzychylniej usposobiona.

W Paryżu zajechali za radą bar. Kruuzego do hotelu przy ul. Boulevard Hausmann w pobliżu ulicy Sainte - Honoré. Numery - niewielkie, za to łoża w każdym z nich zajmują trzy czwarte pokoju. Na drugi dzień rano pojechali do mieszkania barona. Lokal widać dość duży, ale nie przedstawił im się okazale, bo wszystkie meble i obrazy były zakryte pokrowcami, dywany - zwinięte. Jak wyjaśnił gospodarz, za kilka dni mają wyjechać na dłuższy czas na

kurację. Ale zdjął pokrowiec z jednego sprzętu. Było to biureczko, utrzymane w żywych kolorach pańskim i błękitnym z brązowymi złożonymi okuciami. Oryginalny Ludwik XIV. Baron rzekł:

To samo biureczko, na którym kiedyś w Basztowej Woli indyki nieporządki robiły. Dziś jest najpiękniejszą ozdobą naszego mieszkania.

Mówili następnie o interesie. W stosunku towarzyskim – wersalski, w sprawach dzierżawy – dość twardy, stawiał baron bardzo podwyższone żądania, ale potem częściowo ustąpił. Na pytanie Pii, czy – gdyby tak z interesów wypadło, że nie chciałyby w przyszłości pozostawać w Basztowej Woli, mogłyby przelać swoje prawa na brata tj. Justynę – baron odpowiedział, że mógłby się na to zgodzić, ale tenuta dzierżawna prawdopodobnie byłaby podwyższona.

Pojechali potem do konsulatu rosyjskiego i umowę podpisali. Sprawa była załatwiona.

Przyjmował następnie baron Pię i Justyna obiadem w restauracji, po czym zawiózł ich, aby im pokazać magazyn Louvre’u, skoro na zwiedzanie innych osobliwości Paryża nie mają czasu. W tym labiryncie sklepów, mieszczących się na wielu piętrach o ruchomych schodach, Justyn kupił dla Leny, która mu nie schodziła z myśli, ładne składane potrójne lustro, które potem z trudem przewiózł przez granicę.

Po czterech dniach wrócili ze swojej niezwyklej wycieczki do kraju, jadąc na Brzozów, gdzie matka Justyna ze wzruszeniem przycisnęła go do serca, jako narzeczonego. Pytaniom i odpowiedziom oraz opowiadaniom nie było końca. Tak ona, jak i Pia, napisały zaraz serdeczne listy do Leny.

X

Przyszły potem dla młodych dość długie miesiące narzeczeństwa. Matka Justyna pojechała z podziękowaniem za przyszłą synową do Mroczkowa, niedługo potem państwo Komarowie rewizytowali ją z Leną w Brzozowie, a stamtąd postanowili odwiedzić biedną Pię w Basztowej Woli. Mówiono dużo o interesach o przyszłym urządzeniu się młodej pary. Interesy Brzozowa po bliższym nie wniknięciu wydały się państwu Komarom dość ciężkie i zatroskali się, że ich córka nie będzie miała dość spokojnego i dostatniego bytu. Dom w Brzozowie wydał im się też bardzo szczupły i niewygodny. Pani Komarowa zwłaszcza obok troski nie mogła ukryć uczucia pewnego niezadowolenia, które matka Justyna odczuła.

- Do tej rozmowy powrócimy jeszcze może w Basztowej Woli – rzekła – kiedy państwo poznają tamtejsze warunki. Może by państwo byli spokojniejsi, żeby młodzi tam zamieszkali. Taką zamianę można by zrobić, chociaż słuszniej by było, żeby syn pozostał przy własnym kawałku ziemi.

Istotnie w Basztowej Woli, dokąd razem wszyscy z Brzozowa pojechali, w dalszym ciągu omawiano te sprawy. Państwu Komarom Basztowa Wola więcej się od Brzozowa podobała i jako miejsce zamieszkania – z dużym ładnym domem, i jako teren pracy i podstawa utrzymania dla młodych. Przestrzeń znacznie większa, ziemia mało co gorsza, niż w Brzozowie, tenuta dzierżawna – nie wysoka, szanse wyrobienia się – pewniejsze.

Staneło na tym, że – nie robiąc na razie w drodze urzędowej, żeby sobie drogi do ewentualnych jakichś zmian w przeszłości nie zamykać – Justyn odstąpi siostrze swoją część na Brzozowie, a w zamian przejmie od niej prawa do dzierżawy Basztowej Woli wraz z będącymi jej własnością inwentarzami, i całym urządzeniem domu. Siostra zamieszka z matką i małym Stasiem w Brzozowie.

Przeprowadzono korespondencję w właścicielu majoratu, który układ zaakceptował, podnosząc tylko, zresztą niewiele, tenutę dzierżawną.

A Justyn i Lena, sobie całą duszą oddani, śnili sen o niedalekiej wspólnej przyszłości. Justyn bywał w Mroczkowie dość często. O ile się nie widzieli, listami zapełniali tęsknotę i czekali z upragnieniem dnia ślubu, który oznaczono na 10 lipca. Cała ich miłość narzeczeńska była czysta i bezinteresowna. Lena była całkowicie życiowo nieświadomiona, tak że rodzice, jak Justynowi mówili, zaśmiewali się nieraz z jej naiwnych powiedzeń. U Justyna jej typ podniosły i nie fizyczny, nie budził pożądań, a cześć, szacunek i zachwyt. Jego pojęcia o ograniczonych prawach narzeczonego sprawiły, że do dnia ślubu nie pozwolił sobie w stosunku do niej na nic więcej, niż na uścisk i pocałowanie ręki oraz dotknięcie jedynej raz czoła jej ustami. Patrzył w nią, jak w cudny obrazek, i to mu na razie wystarczało.

Po różnych zwykłych w tych razach zabiegach – odświeżeniu domu w Basztowej Woli, sprowadzeniu rzeczy itp. przyszedł tylko po kilka osób z rodziny jednej i drugiej strony. Poza tym w wyniku rozesłanych zawiadomień ślubnych przyszło dużo na one czasy telegramów. Za to kościół, pięknie przystrojony, pełen był sąsiadów i znajomych.

Lena w białej sukni, długim welonie i wianku na ciemnej główce, wyglądała jak marzenie. Gdy wychodziła z kościoła, przy pogodnym słonecznym dniu, deszczyk z przelotnej chmurki, jakby na dobrą wróżbę, pokropił im głowy.

A tu, przed kościołem, czekała państwa młodych miła niespodzianka. Młody sąsiad Mroczkowa, pan Stanisław Gubrynowicz z Pławna, wnuznaniu dla nich obojga, a w szczególności rzecz prosta dla Leny, którą znał od dziecka, sam, jako furman, zajął miejsce na koźle karety i czwórką pięknych gniadych swoich koni, w białe – podobnie jak kareta – przystrojonych kwiaty, powiózł ich do ślubu, podkreśliwszy z uśmiechem, że na to, co robi się w karecie, wcale oglądać i patrzeć się nie będzie.

Nazajutrz, po pięknym przyjęciu i tysięcznych życzeniach, państwo młodzi, żegnani najserdeczniej, wyjechali do Basztowej Woli. Na stacji oczekiwał ich furman Basztowski, życzliwie rodzinie ich oddany, Michał Mirecki, odnowionym otwartym powozem,

zaprzężonym w czwórkę dobrych karych koni. Na progu domu przyjęła ich siostra Pia chlebem i solą, choć w czarnej żałobnej sukni, ale z promiennym i radosnym wyrazem twarzy.

- Niech wam, najdrożsi moi, Bóg dobry błogosławi!

Rozdział V

I rozpoczęło się nowe wspólne, małżeńskie i rodzinne życie. Życie, które stało się wkrótce dla Leny zupełną rewelacją.

Aczkolwiek Justyn, mając delikatność i w naturze, i z wychowania przez kobiety, oraz znając jej wrażliwość i całkowity analfabetyzm życiowy, zostawił ją przez kilka dni w zupełnym spokoju, wchodził wieczorem do sypialni dopiero wtedy, kiedy się położyła i udawała, że śpi, dając jej tym samym czas na oswojenie się z tą wspólną sypialnią i innymi nowymi zupełnie dla niej wrażeniami – to gdy wreszcie nastąpił moment realnego otwarcia jej oczy na obowiązki żony, przy zupełnym jej nie rozbudzeniu fizycznym – wpadła w rozpacz i nieprzytomny niemal szła.

- To teraz dopiero rozumiem, co mi Kazia (siostra pani Szeliskiej) w jednej poufnej rozmowie powiedziała, jakie to rzeczy czekają mnie po ślubie. Mama tego tematu mało ze mną dotykała, bo nie chciałam o nich mówić. Ale ja tego nie chcę, nie chcę! Ucieknę, a nie pozwolę na nic. Wiedząc całą prawdę, nigdy bym się iść za męża nie zdecydowała.

I lży gorące łały się przez dni i noce bezsenne. Od Justyna, gorzko do niego rozżalona, odsunęła się zupełnie.

Widząc taki jej stan i wczuwając się w jej rozżalenie, Justyn przez całe tygodnie pozostawił ją znowu w spokoju.

- Zbliżę się do ciebie – powiedział łagodnie – dopiero wtedy, kiedy sama tego zapragniesz. Możesz więc być zupełnie bezpieczna.

Dopiero w połowie sierpnia któregoś wieczora kiedy się już położyli, zarzuciła Justynowi ręce na szyję, i odtąd już przeszkód nie stawiała. Ale jakiegokolwiek silniejszego podniecenia w niej przez długi czas Justyn nie zauważył.

Przyszło jednak wkrótce potem inne zmartwienie.

- Ty mnie na pewno zdradzasz z Michasią – rzekła kiedyś serio i ze łzami w oczach.

Zgrabna i zdatna do roboty pokojówka Michasia była ospowata i brzydka jak nieszczęście.

- Dziecko drogie – rzekł ubawiony – odkładając na stronę wszystkie względy moralne i zaufanie do mnie, spójrz w lusterko, a potem na nią. – Podał jej

zwierciadło przywiezione z Paryża. – Ono ci więcej powie, niż ja byłbym w stanie ci wyperswadować. Ale jeżeli – powiedział już poważniej – zaczniesz się zatrapiać tak realnymi, jak to, zmartwieniami, to nasze życie, zapowiadające się tak pięknie, może być naprawdę silnie zamaćone. A szkoda, bo może nam być z sobą tak dobrze...

Argument lustra ją zastanowił i widocznie trafił jej do przekonania. Uspokoili się i po kilku dniach ze słodkim uśmiechem przytuliła się do niego serdecznie.

- Już ci wierzę, Justysiu mój, i nigdy o coś podobnego posądzać cię nie będę.

Zapomniał Justyn prędko o tym incydencie. Ale znalazły się znowu w Leny inne powody do zmartwienia. Po kilku miesiącach w jakiejś bardziej szczerzej, uświadamiającej ją o życiu rozmowie, siedząc u Justyna na kolanach na bujającym fotelu, spytała go z nagłą patrząc badawczo w oczy:

- A przed ślubem czyś ty nie miał żadnej kobiety?

Zaskoczony tym pytaniem, nie umiając kłamać w ogóle, a nie chcąc tym bardziej rzucić nieprawdy pomiędzy nich w ledwie rozpoczętym ich życiu, Justyn, nie wdając się w bliższe szczegóły, powiedział jej, jak się rzecz miała.

To wystarczyło, aby stworzył nowy dramat.

- Zapewne więc i w Brzozowie miałeś kochanki. I czy ja mogę ci wierzyć? Czy moje podejrzenie co do Michasi nie miały podstawy?

Smutek ogarnął jej duszę na całe długie tygodnie. Zaczęła pisać pamiętnik, w którym żal swój wylewała nie tylko na Justyna, ale na całe panujące w życiu stosunki. Cierpiała naprawdę za miliony.

Bolały ją przy tym i inne rzeczy, które dawała wyraz w pamiętniku.

Oboje lubili głośne czytanie i często wieczorem po kolacji i załatwieniu przez Justyna zapisów i dyspozycji gospodarskich, zabierali się do książki. Kiedyś, gdy Lena czytała, Justyn wstający co dzień rano przed wschodem słońca, a nieraz i wcześniej do rannego udoju, zmęczony pracą, zasnął. Bardzo to Lenę dotknęło, a nawet oburzyło, żeby młody mąż przy ładnej młodej żonie i czytaniu interesującej książki mógł usnąć. Miała poniekąd rację, i Justyn z wyrozumiałością przyjął jej wymówki. Bał się tylko, żeby te drobne żale, wyolbrzymione przez jej wrażliwą duszę, nie zniechęciły jej głębiej do niego i nie psuły ich wzajemnego stosunku.

Ale nie. Lena pod ciepłymi słowami Justyna, po kilku dniach od tego czy innego zadrażnienia dochodziła do równowagi myślowej i w dalszym ciągu była dobra i słodka i kochała swego Justysia gorąco. Po burzy następowała pogoda i odwrotnie.

Swojej wielkiej do Justyna miłości Lena dawała czasem wyraz w sposób, który jednak był dla niego w jego pracy mocno krępujący. Bardzo nie lubiła, gdy odchodził od niej nawet w pole, jeżeli nie szli razem, a każdy jego wyjazd był dla niej zupełną tragedią. Składały się na nią różne pierwiastki: i to, że go przy sobie nie ma, i to, że mu się na pewno coś w drodze złego stanie, a w skrytości ducha i to, że będzie jej niewiernym. Musiał jej ściśle zawsze określać godzinę powrotu, co w interesach i przy większych odległościach nie jest często możliwe. Do Radomia, miasta gubernialnego, gdzie się załatwiała wszelkie ważniejsze sprawy i transakcje, miał około 40 kilometrów końmi, do powiatowej Iłży – około 10-ciu. Nie zawsze mógł wrócić w oznaczonym terminie. A jeśli nie wrócił, to z góry musiał być przygotowany na dwie rzeczy: pierwsza – że ona, ciepło czy zimno, pogoda czy wiatr lub szaruga – stoi w bramie dziedzińca i na niego wyczekuje; druga – że czeka go zagniewanie, a nieraz burza, które fale nie prędko się uspokoją. I ta właśnie zachodziła różnica w ich odczuwaniu, że gdy on po każdym takim fackie, albo po zrobieniu mu przez nią jakiejś innej przykrości, choć mu była czasem bardzo bolesna, prędko przechodził nad nią do porządku dziennego, i, kładąc te rzeczy na karb jej nieopanowanej i nierównoważonej natury, żalu do niej ni chował i dramatów z nich nie czynił – ona każde wrażenie przeżywała głębiej, męcząc nim siebie i jego przez czas o wiele dłuższy. Drażnił ją przy tym w tych razach jego spokój i równowaga.

- Ty jesteś jak amfibia, bez czucia. Niczym się nigdy nie przejmujesz. Na pewno mnie nie kochasz, bo gdybyś kochał, to byś rozumiał to co ja czuję. Nie ma miłości bez tęsknoty.
- Zgodzę się z tobą zupełnie, nie ma miłości bez tęsknoty. Tylko, widzisz dziecko drogie, chodzi o to, w jaki sposób się ta tęsknota przejawia. Jeżeli jest to niepokój uzasadniony i płynący naprawdę z serca, to dobrze. Ale twoje niepokoje przy moich wyjazdach są niczym nieuzasadnione i płyną więcej z nerwów, niż z serca. Wiadomo, że w drodze z Radomia czy z Iłży nic mi się, normalnie biorąc, stać nie może. Po co się dręczyć i zatruwać siebie i mnie? Stojąc godzinami na zimnie przy bramie z powodu nierealnego niepokojem czy tęsknoty, narażasz się sama na realne niebezpieczeństwo zaziębienia i choroby, a robiąc mi potem przykrą scenę, przecyzysz sama uczuciu swej miłości, z którą te twoje reakcje mają pochodzić. Pamiętasz, jak kiedyś za bytnością naszą w Mroczkowie, kiedy ja za jakimś interesem wyjeżdżałem do Pławna, a ty mi w związku z tym wyjazdem zrobiłaś zwykłą scenkę, twój rodzony, tak bezgranicznie kochający cię Papo, zauważywszy ją, był na ciebie gorąco oburzony? Nawet tak szlachetne i dobre uczucia, jak tęsknoty i niepokojem, musi regulować zdrowy rozsądek. Umiar we wszystkim jest konieczny.

Tak Justyn tłumaczył i perswadował swojej Lence, ale w dalszej perspektywie życiowej przejawy te przedstawiały mu się niepokojąco. Lena o poszczególnym fackie czy

przykrości mu zrobionej, zapomniała, okupując swoje rozdrażnienie płynącymi z jej miłości do niego pieszczotami i pocałunkami. Justyn à la longue krępowany w swej codziennej pracy i odpowiedzialnych czynnościach, których nieraz spełnić dobrze nie mógł, odczuwał z tego powodu głęboki smutek i zaniepokojenie. Starając się wciąż oddziaływać na jej stan psychiczny w kierunku jego większego opanowania i równowagi, oraz zrozumienia ich wspólnych obowiązków życiowych, rysował jej obrazowo te fale ich wzruszeń, które w sensie życiowym, przeciwnie, jak w odczuwaniu doraźnym, u niej są wysokie, krótkie i przemijające, u niego, odpowiedzialnego za ich życie i pracę dla przyszłości – bardziej niskie i wydłużone, a tym samym bardziej niebezpieczne.

Ale cierpiąc z tych różnych powodów, Justyn kochał niemniej swoją Lenkę nad życie. Patrzył nieraz smutno w jej śliczne i oddane mu oczy, mówiąc sobie, że to są trudności związane z pierwszymi miesiącami ich pożycia, a choćby miały trwać i dłużej, to nie są to sprawy zasadnicze i najważniejsze. Najważniejsze – to to, że ma ją przy sobie, nie tylko zewnętrznie uroczą jak kwiat, ale o duszy wewnętrznie pięknej, czystej i szlachetnej, o sercu gorąco czującym, na którym, choć chwilowo błąka się po bezdrożach nadwrażliwości, budować można. Ta nadwrażliwość z czasem minie, a pozostanie kryształ jej istotnego charakteru. Zresztą żadne życie ludzkie nie jest pozbawione cierpienia i troski; żadne życie małżeńskie nie trwa cały czas harmonijnie i bez chmury. Mniejszymi ofiarami okupuje się większe zyski. A on ich miał przecież dużo, tak bardzo dużo. Po jakimś określonym smutku odprężał się więc znowu życiowo, nie tracił wiary w przyszłość, kochał swoją Lenkę, taką, jaka była, był dla niej dobrym i wyrozumiałym.

Niepokoił się tylko o jej zdrowie. Jej nadwrażliwość i nieustanne wzruszenia nie tylko kosztowały ją duchowo, ale niekorzystnie odbijał się na jej siłach fizycznych. Przy organizmie na ogół zdrowym, była mizerna i słaba. Jadła jak kurczę – połowę potrawy, choć smacznie przez kucharza Antoniego przyrządzonych zostawiała na talerzu. Wzywany nieraz lekarz miejscowy, znajdując przy tym jakieś zadrażnienie w szczytach, to znowu chore gardło. Potrzebowała bardzo starannej i troskliwej pielęgnacji i ciepłej w dotknięciu ręki, którą u Justyna znajdowała.

Myślał jednak przy tym, czy – nie w sprawach zdrowia, bo tu była konieczna – ale w tych różnych wybrykach jej nieopanowanego usposobienia, ta właśnie, wyniesiona z jego domu rodzinnego jego ciepła ręka była w prowadzeniu jej naprawdę wskazana. Czy nie byłoby i dla niej i dla niego, przeciwnie, bardziej pożądane twardsze i mocniejsze każdorazowe potraktowanie jej wybujałości psychicznych? Czy fakt żeby się go trochę obawiała i liczyła się z jego niezadowoleniem, nie byłby na jej nerwy podziałał bardziej otępliwiająco i uspokajająco? Trudno odgadnąć. A może właśnie stałoby się przeciwnie, i sytuację jeszcze pogorszyło? To wiedział, że ta twardość nie leżała w jego naturze i chcąc z Leną, którą tak kochał, nią się rządzić, musiałby sobie ciężki zadać przymus i jeszcze prawdopodobnie, w tej obcej sobie roli utrzymać by się konsekwentnie nie potrafił.

Aby Lenę trochę rozerwać i od jej męczących odciągnąć rozmyślań, Justyn jeździł z nią od czasu do czasu do Brzozowa i Mroczkowa. Nacieszyła się tam z najbliższymi,

zaczepnęła innego powietrza. Rodzice, a zwłaszcza matka, mogąc już teraz o różnych rzeczach mówić z nią otwarcie, nie szczędziła jej rozumnych rad i wskazówek.

Do Justyna byli rodzice Leny jak najprzychylniej usposobieni. Cenili jego dobroć dla niej, wyrozumiałość, delikatność, troskliwość i uczucie. Tym swoim opiniom dali nawet mocny wyraz w jednym z listów matki, pisanych do Leny po ich bytności w Mroczkowie:

„... Miło patrzeć – pisała w nim – na troskliwość twojego Justyna, który jest w tym nieoceniony; opiekuje się tobą, jak najczulsza matka dzieckiem w poduszce. Ty mu wiele z siebie dajesz, ale też od niego dużo bardzo dostajesz. ... Rozczulona byłam jego anielską dobrocią i czułością. Z miliona milionów tyś go sobie wybrała; może i on ciebie – z miliona panien, ale zawsze jemu łatwiej było trafić na panienkę odpowiednią, niż tobie na młodzieńca. A że znasz mnie z tej strony, że ja sobie najmniej rzeczy przebaczam,... to też teraz uczułam się winną, uprzytomniwszy sobie przeszłoroczne nasze troski nad waszym narzeczeństwem, ... i za obowiązek sobie najświętszy poczytuję znaleźć się, jak można najprędzej w Brzozowie i upokorzyć się wobec Szanownej pani Boguszowej, i przeprosić za te chwile przykre, które miała z naszego, a może to najwięcej z mego powodu Z potrzeby serca chcę z Papą podziękować osobiście waszej Mamusi za tego słodkiego syna, którego nam ofiarowała, a którego całe wychowanie moralne przynosi cześć zupełną Matce i Siostrze Stawiam siebie teraz w pozycji tej biednej matki, która, dumną będąc sama ze swego jedynaka, bo sumiennie czuć mogła, że wielkie zadanie w życiu spełniła, wychowawszy w ten sposób syna – była zmuszoną znieść niejedną gorzką chwilę, kiedyśmy wątpili, czy jej syn, mając skromny byt materialny, potrafi uszczęśliwić córkę naszą Żeby Twój Justyś grosza nie miał, to jeszcze dla ciebie byłby odpowiedniejszym mężem, niż jaki milioner. Z innym charakterem, choćby nawet względnie dobrym, ale nie dla ciebie, dla której trzeba było takiego wybranego, jak twój mąż, za którego i ty i my możemy Bogu dziękować... . Cóż znaczy materialna partia wobec moralnej, którą zrobiłaś idąc za Justyna? Ale trzeba, żeby i z ciebie było także zadowolenie.”

Dużo w tych słowach powiedziane. I nie tylko, jeżeli chodzi o uznanie dla Justyna, które już można było podkreślone ponad miarę, ale i z innych względów. Trzeba było znać rodową dumę Joteykowską, żeby docenić takie wrażenia, jak „uczuć swoją winę”, kogoś „przepraszać”, bądź „upokorzyć się” przed kimś. To były pojęcia ich psychice całkowicie obce.

Ale mówiąc w swoim długim liście do córki dużo o Justynie, znalazła pani Komarowa i dla niej wiele słów dobrej rady i przestrogi. Oto co pisze m.in. w jednym z jego ustępów: „..... Ty, lenko droga, pamiętaj zawsze o liście i słowach Wuja Ksawerego (brat matki), a tam on pisze o Twojej tkliwości, żeby nią energii męża kochającego nie wyczerpać, bo ... mężczyzna potrzebuje siły woli do rzeczy ważnych, ... a w tym mu żona dużą może być pomocą i zachętą, nie odrywając go, wyłącznie dla siebie ... No, ale to tak będzie u was przez pierwsze miesiące, a później ... zaczniesz po ziemi stąpać, byleby siły swoje wzmocnić, nerwom nie pozwolić cierpieć za świat cały, którego nie zmienisz Nie martw się wymarzonymi rzeczami i zostaw świat w spokoju. A ciesz się, że dostałaś męża, który może

siedzieć przy tobie, a pomyśl że i on czasem musi coś zdziałać dla społeczeństwa, i zachęcaj go do tego Młodzi muszą coś z siebie dać ogółowi”

Przez te wszystkie słowa przebija duża znajomość psychiki Leny i troska matczyna, aby i ona swoje zadania życiowe spełniła. Zupełnie, jak w tym cudnym wierszu, „Do kobiety” Konopnickiej, w którym poetka, przedstawiając, jaką kobieta i jej miłość do ukochanego być powinna, daje takie ostrzegające zakończenie:

Jeśli w twym sercu, kobieto, nie bije
Uczucie takiej podniosłej miłości,
Nie mów ty „kocham” nikomu na ziemi.
Bo ten, co z tobą połączy swą dołę,
Patrząc na ciebie oczyma smutnymi,
Nigdy nie powie, że żyje,
I wrósłszy cały w poziomą niewolę,
Nie robi nic dla przyszłości.

Rozdział VI

Życie młodych w Basztowej Woli toczyło się dalej. Lena poczuła, że zostanie w niedalekiej przyszłości matką. Cieszyła ją ta nadzieja z jednej strony, z drugiej – przejmowała lękiem grożącego jej śmiertelnego niebezpieczeństwa. Matka i siostra Justyna, z którymi się częściej osobiście i listownie „niż w Mroczkowem”, komunikowali, musiały użyć czasem dużego wysiłku, aby wlać jej spokój i przeświadczenie, że te rzeczy przechodzi miliony kobiet bez żadnego dla siebie i swego zdrowia uszczerbku. Tłumaczył jej to i perswadował z całą cierpliwością i wyrozumieniem. W ogóle Lena w całym stosunku rodzinnym doznawała ze strony tych kobiet dużego serca, opieki i przywiązania.

Justyn pracował, starając się powoli wyzwalać się spod przygniatającego go skrępowania, płynącego z nadmiernego przewrażliwienia żony, co mu się teraz czasem lepiej udawało. Zaczął nawet po trochu myśleć o odsuwanych dotąd na drugi plan obowiązkach społecznych. Przyjął zaofiarowaną mu godność członka Zarządu Spółki Rolnej w Radomiu, i na propozycję tegoż Zarządu wygłosił na liczny Ogólny Zebraniu członków Spółki odczyt z dziedziny geologii rolniczej. Odczyt wzbudził duże zainteresowanie, a jeden ze słuchaczy, poważny starszy człowiek, w rozmowie z Justynem określił w bardzo pochlebny sposób: „wykład uczonego, zrozumiały dla wszystkich” (st. słowo niezrozumiałe – przyp. T.K.). W parę tygodni później odczyt ten na propozycję redaktora znalazł się na łamach kilku numerów miejscowej „Gazety Radomskiej”. Justyn miał z wyników włożonej w opracowanie referatu pracy szczere zadowolenie.

Wkrótce potem przybył Justynom szczęśliwie pierwszy syn. Dano mu imię dziadka ze strony ojca – Konstanty. Przy przejściu jego na świat obecna była siostra Justyna, Pia, która specjalnie przyjechała, aby wystraszonej bratowej dodać odwagi i powitać pierwszego

bratanka. Żadnych komplikacji nie było. Dziecko przyszło dorodne i zdrowe i chowało się jak najlepiej.

Ale matka to pierwsze swoje przejście odcierpiała. Nieprawidłowości w szczytach płuc się wzmogły, termometr wykazywał pewne niewielkie podniesienia temperatury. Doktorzy uznali za konieczne wyjazd Leny, choć na kilka tygodni, do Krynicy.

Zanim jednak wyjazd ten nastąpił, przyszło na Justynów nieoczekiwane nieszczęście rodzinne. Umarł ojciec Leny w Mroczkowie. Cierpienie serca zmogło ten silny, mocny organizm. W ostatnich dniach męczyła go silna duszność, a że miał wrażenie, iż bliżej ziemi oddychać mu lżej, ostatnie dni przeleżał na materacach na posadzce i tak życie zakończył. Justynowie, wezwali telegraficznie, byli (miejsce zatarte – nie do odczytania, przyp. T.K.). Cała rodzina nie odstępowała chorego do ostatniej chwili. Kochali go wszyscy bardzo; mieli przy tym wielki kult dla jego prawego charakteru, wielkiej pracy i całkowitego poświęcenia się rodzinie.

Silne wrażenia z tym przejściem związane, przy ogólnym słabym stanie zdrowia uczyniły niezwłoczny wyjazd Leny na kurację jak najbardziej wskazanym.

O tym, żeby chciała ona pojechać sama, mowy o tym być nie mogło. Nikt z jej bliskich jechać z nią nie mógł. Pia dziecka swego tak daleko odjechać się bała. Pozostał więc tylko Justyn, z którym zresztą rozstanie – przy usposobieniu Leny i jej dzisiejszym wymizerowaniu – przekreślić by mogło całe oczekiwane dobre skutki wyjazdu.

Choć opuszczenie na tak długo gospodarstwa w tym czasie było dla niego połączone z dużymi trudnościami i narażało ich na nieuniknione straty, Justyn bez wahania postanowił Lenie towarzyszyć.

Zamieszkali w ładnej, słonecznej willi „Janina” na zboczu góry. Zmiana wrażeń, ożywcze podgórskie powietrze, trafne dotyczące kuracji Leny rady miejscowego lekarza, okoliczności wreszcie, że tu już miała niepodzielnie swojego Justysia przy sobie, podziały na zdrowy z natury, tylko silnie wyczerpany organizm Leny zbawiennie i odradzająco. Tęskniła jedynie bardzo za miłym Kotusiem, zostawionym pod opieką cioci Pii z Brzozowa. Ale już po paru tygodniach błada jej twarzyczka nabrała rumieńców, a oczy – weselszego wyrazu, siły się wzmocniły, i po sześciu tygodniach Justynowie wrócili do domu z głębokim zadowoleniem z powodu osiągniętego pożądanego wyniku kuracji. Gospodarstwo zastali w porządku i małego Kotusia – doskonale wyglądającego. Wchodzić właśnie zaczynał w najmilszą fazę dziecka – początków chodzenia i mówienia. Radości rodziców nie było końca. Justynowi odpoczynek też doskonale zrobił. W pogodnym nastroju i jak najlepszymi nadziejami zabrali się znów do zwykłej codziennej pracy.

Ale nie sądzone już było zaznać tak pożądaney ciszy i spokoju. Justyn zaraz po przyjeździe otrzymał zawiadomienie, że do Basztowej Woli przyjeżdża pierwszy raz przy nich z wizytą inspekcyjną właściciel majoratu, Aleksander baron von Kruuse.

Ewenement to był niemały, jeżeli zważyć, że był to człowiek niedobrego, jak mówiono, charakteru, w interesach bezwzględny i wymagający, fantastyk, którego wszyscy dzierżawcy panicznie się obawiali. Justyn tego uczucia nie doznawał, ale przewidywał, że bytność ta będzie połączona z jakimiś większymi lub mniejszymi dla nich trudnościami, a przecież na pozostaniu w Basztowej Woli, jako podstawie ich egzystencji materialnej, bardzo im w gruncie rzeczy zależało.

Bytność Kruusego mogła być też – poza stroną oficjalną – bardzo interesująca – o ile nastroje w ogóle okazałyby się pomyślnie – jako spotkanie z człowiekiem dużej kultury i wysokiej inteligencji, jak również odmiennego, zagranicznego, sposobu myślenia. Obecność w tym czasie w Basztowej Woli siostry Justyna, Pii, znającej barona dawniej, ułatwiała sytuację i ewentualne dojście z nim do porozumienia.

Miał przyjechać któregoś dnia przed wieczorem końmi, otrzymanymi z innego, o kilka mil od Basztowej Woli położonego folwarku majorackiego. Ale przysłała godzina dziesiąta, jedenasta i dwunasta, a jego nie było. Już nie tylko Lena, ale i Justyn, który na niego czekał, położyli się spać. Przyjechał późno w nocy. Justyn powitał go uprzejmie, ale z tonem pewnej wyniosłości z racji budzenia o tej porze całego domu. On był bardzo zażenowany, speszony i przepraszający. Jakieś zaszło nieporozumienie z końmi. Czekał przy tym na środku drogi na rzeczy, wiezione na innej furmance; rzeczy te dotychczas nie przysły. Był z tego powodu wściekły na tamtejszego dzierżawcę.

Rano, gdy długo nie wychodził, Justyn zapytał go z drugiego pokoju, czy mu czegoś nie potrzeba, a gdy powiedział, że nie, tylko czeka na nadejście rzeczy, bo przecież nie może przyjść do obiadu w podróżnym stroju, Justyn go co do tego rozgrzeszył, oświadczając, że żona i siostra to w zupełności wobec okoliczności, jakie zaszły, wyrozumieją i skłonił go do wstania, co też baron wkrótce zrobił. Role się zmieniły. Nie on, ale Justyn był większy i przebaczący. To zrządenie losu z jego przyjazdem i ta taktyka Justyna okazały się zbawienne, bo już podczas całej bytności Kruuse czuł się onieśmielony i nie odzyskał właściwego mu tupetu i agresywności. A gdy poznał przy obiedzie piękną i wytworną panią domu, był już całkowicie wzięty i z oficjalnej na prywatną sprowadzony drogę. O interesach prawie nie mówił. W podwórzu ledwie wyjrzał. Ucieszył się swoimi kuframi, które przysły popołudniem. Zrobił fotografię Kotusia, bardzo udaną. Rozmawiał bardzo dużo – zwłaszcza z Pią i Leną – inteligentnie, ciekawie ujmował zupełnie po pogańsku, a najwięcej – jako amator i znawca – o sztuce. Wydarzył się przy tym w związku z tą rozmową wysoce oryginalny zbieg okoliczności.

- Jest gdzieś w Polsce – mówił Kruuse – chyba w zbiorach prywatnych, bo publicznie wszystkie znam i w nich go nie widzę – portret Baciarellego jednej z dam serca Stanisława Augusta, pani Grabowskiej. Arcydzieło. Żeby go odnaleźć i

zdobyć dla mojej galerii, poświęciłbym nie wiem co. Dama o rysach subtelnych, drobnych, w białej jedwabnej sukni. Ręce prześliczne. Żebyż to kto mógł mi wskazać, gdzie, w czyich rękach on się znajduje!

Na to Pia:

- Nie jest rzeczą prawdopodobną, aby akurat tak się okoliczności złożyły, ale jako prezent ślubny od rodziny mojego męża otrzymałam stary portret damy o cechach identycznych z tymi, jakie pan baron opisuje. Czyj to pędzel – nie wiem, i rodzina nie wiedziała również. Jeżeli by panu baronowi tak bardzo na tym zależało, to chociaż to sprawa niełatwa, bo do Brzozowa około 60 kilometrów w jedną i tyleż w drugą stronę, to może brat zgodziłby się posłać konie i portret tu sprowadzić. Kiedy pan baron wyjeżdża?
- Miałem wyjechać jutro, ale jeżeli pan Bogusz byłby tyle uprzejmy i zechciał ten kawał drogi furmankę wysłać, zostałbym umyślnie te parę dni. Jemu byłbym niesłychanie wdzięczny – tu spojrział prosząco na Justyna. A panie – zwrócił się do Pii, jeżeli los by tak zdarzył, że byłby to ten portret, o którym mówię, niech żąda za niego, co chce, a pani zapłacę.
- Nie mam go właściwie na sprzedaż – rzekła Pia, bo to pamiątka od rodziny śp. mego męża, ale nie mam żadnej galerii obrazów, ani upodobania w tym kierunku, do tego portretu nie przywiązuję specjalnej wagi, tym więcej, że wyraz tej osoby jest rzeczywiście bardzo nieuprzejmy, więc o ile panu baronowi tak by zależało na posiadaniu go, mogłabym mu go odstąpić. Tylko ceny, nie znając się na tych rzeczach nie umiałbym postawić żadnej, a improwizować nie chcę.
- Justyn, słuchając tej rozmowy pomyślał.
- I znowu ten człowiek uzależniony jest od mojej dobrej woli, czy dam konie, czy – nie.

Ale że w tego rodzaju stosunkach lepiej go mieć za sobą, niż przeciw, więc powiedział:

- Jeżeli pan baron zgodzi się zaczekać, bo to jednak dwa dni drogi, to ja końmi służę.

Poszedł zaraz wydać odpowiednie zarządzenia. A pomiędzy baronem i paniami rozmowy i dysputy rozgorzały na nowo. Mówiono dużo o książkach i literaturze. Baron rozkrochmalił się zupełnie, i był bardzo miły. Kazał zapomnieć o swojej wartości moralnej, która podobno wiele pozostawiała do życzenia. Najlepiej oszacował ją Bej, pies pokojowy Justynów, który, wykopując gdzieś głowę zdechłego cielęcia, niemożliwie cuchnącą, złożył ją

na dywanie pod samymi nogami barona. Ten poczuwszy zapach, skoczył jak oparzony i oparł się aż w trzecim pokoju.

Trzeciego dnia przed południem przywieziono portret zapakowany w drewnianą skrzynię.

I co za szczególny, osobliwy traf. Gdy go rozpakowano i postawiono na kanapie, Kruise w zachwycie wykrzyknął:

- Ten sam! Ten sam, którego szukałem po całej Polsce od tylu lat! Ten sam, którym przyozdobienie mojej galerii uważałbym za największe szczęście! Ten sam, dla którego nie ma ceny, jaką bym gotów był za niego zapłacić!

I gestem prawdziwie aktorskim wyjął z kieszeni płócienny woreczek, w jakim wówczas noszono złote pieniądze, i z rozmachem rzucił go na kanapę, pod ramę portretu.

Kiedy się uspokoił, postanowiono, że się portret celem oceny i ewentualnego odświeżenia wyśle do Warszawy bezpośrednio po jego jutrzejszym wyjeździe. Dał przy tym baron jak najbardziej szczegółową instrukcję, w jaki sposób należy obraz do drogi opakować, żeby się nie uszkodził. Wkrótce miano się zobaczyć w Warszawie.

Na drugi dzień rano Kruise wyjechał. Siedząc już w powozie i kłaniając się wersalsko na pożegnanie, zawołał do Leny:

- Voilà, madame, un atée, qui s'en va!

Wiązało się to jego powiedzenie z licznymi dysputami w sprawach religijnych, w których Lena bezskutecznie usiłowała go nawracać.

W tak sensacyjny sposób rozpoczęta sprawa portretu skończyła się zupełnie zwyczajnie. Portret sam Justyn zawiózł do Warszawy. Jeden z pierwszych ówczesnych znawców dzieł sztuki, Mathias Berson gdy mu go pokazał, uznał go za dzieło bardzo piękne i oszacował na 3 tysiące rubli. Inna rzecz, że w jego pojęciu to nie był pędzel Baciarellego, a jakiegoś malarza włoskiego o talencie o wiele wyższym.

Czy ta okoliczność, że to nie był Baciarelli, czy zbyt wysoka cena, czy też po prostu fakt, że, jak często bywało, baron nie miał pieniędzy – sprawiały, że poprzedni jego zapal ostygł, szumne zapowiedzi się nie zrealizowały, i nastąpiło rozmyślenie się co do zawarcie transakcji. Baron nie podając motywów, zawiadomił Justyna, że z portretu rezygnuje. Wrócił on szczęśliwie do Brzozowa.

Tymczasem nad głowami Justynów zawisł nieoczekiwanie ciężki cios. Któregoś piątkowego wieczoru Lena zauważyła, że Kotuś, mający wówczas rok i trzy miesiące, jest jakiś nieswój. Temperatura okazała się niewysoka, mało co więcej jak 37°. Za to gardło było jakieś niewyraźne. Obawiając się słusznie, zwłaszcza u dziecka, komplikacji gardlanych, Lena skłoniła Justyna, żeby – choć gorączki nie ma – zaraz posłał po doktora. Przyjechał w nocy i zajrzawszy w gardło, na wszelki wypadek zastrzyknął surowicę przeciw dyfterytyczną. Ratunek więc był natychmiastowy. Doktor został do rana, pojechał na kilka godzin do Iłży załatwić swoich pacjentów i – będąc życzliwym domowi Justynów, oraz widząc ich niepokój o dziecko – zaraz wrócił. Było trochę duszności, ale poza tym – żadnych innych objawów. Dziecko było zupełnie spokojne. A na drugi dzień, w niedzielę przed południem, w niespełna 40 godzin od zauważenia pierwszych objawów choroby, już go nie było na świecie.

Rozpacz rodziców była straszna. Pierwszy syn. Już taki odchowany i ukochany. Telegraficznie zawiadomili Mroczków oraz matkę i siostrę Justyna w Brzozowie.

I trzeba było widzieć dobroć, poświęcenie i miłość tych świętych kobiet. W straszny czas, przejmujące zimno oraz zawieruchę deszczu ze śniegiem przejechały 60 kilometrów po to tylko, aby pokazać Justynom swój udział w ich cierpieniu oraz zamienić z nimi przez uchylony lufcik parę zaledwie słów. Pia ze względu na swoje dziecko i obawę przeniesienia mu zarazka, nie chciała ani wchodzić do domu, ani stykać się z kimkolwiek z domowników. Ledwie konie trochę popasły, powróciły do domu.

Na trzeci dzień trumienkę odwieziono na cmentarz. Ksiądz, życzliwy całym sercem ich domowi, przyjechał na miejsce, żeby dziecko eksportować. Ceremonie są wtedy zupełnie inne, niż przy każdym innym pogrzebie. Wszystko odbywa się nie w czarnym, ale w białym kolorze na znak, że niebo cieszy się z przybycia niewinnego aniołka. Pogoda piękna. Przy akompaniamencie śpiewów pogrzebowych odbył się ten przesmutny pogrzeb.

Przygnębienie Leny i Justyna było nieopisane. Pod wrażeniem zupełnie zresztą nieuzasadnionym – że to Basztowa Wola przynosi im nieszczęście, napisali do barona Kruusego, żeby ich zwolnił z kontraktu. Odpisał prześlicznym listem na prywatnym papierze, z wielką serdecznością, tłumacząc, że ich decyzję przypisuje tylko pierwszemu oszałamiającemu wrażeniu bezpośrednio po tak bolesnej stracie, nie wątpliwie ją później zmienia, dlatego nie traktuje jej na serio. Przysłał przy tym, wraz z wyrazami współczucia, całkiem dobrą fotografię Kotusia, którą oni sobie potem powiększyli. Myśli odstąpienia Basztowej Woli zaniechali.

Grób Kotusia Justynowie obsadzili świerczkami i położyli na nim płytę kamienną, odwiedzając często to drogie dla nich miejsce.

To ciężkie przejście odbiło się w sposób ujemny i na zdrowiu Leny. Justyn niepokoił się o nie tym więcej, że była w początku nowej ciąży. Na zalecenie doktora pojechał drugi raz do Krynicy, która Lenie tamtym razem tak dobrze zrobiła.

W parę miesięcy potem przybył szczęśliwie drugi syn. Nosił on jednak ślady cierpienia matki – dziecko przyszło na świat chude i wątłe, a że matka karmić go nie mogła, a z żołądeczkiem był ciągle nie w porządku, zmieniono przy nim ni mniej, ni więcej jak 11 karmicielek. Sztucznego karmienia jeszcze wtedy nie znano; co najwyżej – dokarmianie. Ponieważ przybył tak prędko po śmierci starszego braciszka, jakby rekompensata za tamtą stratę, damo mu imię Janusz – Bożydar.

W następnym roku przybył Justynom trzeci syn – Tomasz. Ten w przeciwieństwie do Janusza był znowu tęgim, ładnym i zdrowym chłopakiem. Nie był tak wybredny jak starszy brat, bo przestał na jednej przez cały czas karmicielce.

Rozdział VII

Rodzina Justynów się powiększała, a wraz z tym rosły ich potrzeby i wydatki. Trzeba było zwiększyć personel opiekuńczy, kosztował dużo doktor i apteka, zwiększały się koszty gospodarstwa. Zaczęli przy tym trochę bywać w sąsiedztwie, które wyrażało silne zdziwienie, że młodzi, będąc już trzy lata po ślubie, nie poskładali wizyt w okolicy. Sąsiedztw tych zresztą było bardzo niewiele, parę domów. (tekst niewyraźny – przyp. T.K.). Częstymi gośćmi w Basztowej Woli byli młodzi księża z Hły, których, wobec licznej parafii stale było przy dziekanie dwóch, a ich często odwiedzali ich sąsiedzi i razem przyjeżdżali do Justynów. Czuli się tu dobrze, grali na fortepianie, śpiewali chórem, a od czasu prowadzili z gospodarstwem poważne na tematy religijne rozmowy, które Justyn chętnie widział, jako uświadamiające w wielu kwestiach i podnoszące ducha religijnego domu. Oboje z Leną byli religijni, praktykowali, razem na klęcznikach odmawiali co dzień pacierz ranny i wieczorny, bywali razem w kościele. Lena tylko w niektórych kwestiach rozumiała religię po swojemu i potrzebowała pewnego uświadomienia, którego wskazówki bywających często księży stanowiły doskonale uzupełnienie. Cenili dom Justynów, jako prawdziwie chrześcijańskich i, jak mówili, nieraz – nie wymieniając naturalnie nazwiska – z ambony go innym podawali za wzór do naśladowania, jako ten, w którym panuje wiara, miłość i obowiązek. Z tarć, jakie wewnątrz istniały pomiędzy małżeństwem, nie zdawali sobie, rzecz prosta, sprawy.

A tarcia te, choć w niewielkiej, nie uzewnętrzniającej się formie, ale istniały, zawsze na tle nadwrażliwości Leny, absorbowania przez nią męża dla siebie, oraz z drugiej strony – różnic w usposobieniach. Ona prędką, impulsywną, wpadająca nieraz w złość, żywo każde wrażenie odczuwająca, zmienna przeto w swych sądach i opiniach, on – zawsze równy i spokojny, twardo stojący przy pewnych zasadach i formach, szczerze wypowiadający się ze swoim zdaniem, choć odmiennym od jej zapatrywania. To Lenę nieraz drażniło, jak również jego spokój, w którym widziała tylko chłów i niezdolność odczuwania jakichkolwiek wrażeń, podczas gdy w gruncie rzeczy on, podobnie jak i ona, rządził się w życiu jedynie sercem, tylko inaczej uzewnętrzniającym się. W to nigdy nie mogła uwierzyć.

Pomimo tej odmienności usposobień życie ich toczyło się na ogół harmonijnie. Justyn, tak jak dawniej, drobne dysonanse uważał za rzecz drugorzędną, łagodził je, jak mógł i czuł się zupełnie szczęśliwym. Brak mu było do pewnego stopnia wyżycia się pod względem

fizycznym, bo Lena – choć ilość dzieci w tak krótkim stosunkowo czasie zdawałaby się mówić co innego – była w tym kierunku o wiele mniej od niego pobudliwa i aktywna. Ale szanował to i nacisku żadnego na nią nie wywierał. (dalej nieczytelne – papier zbutwiały).

Częściowym, ale bardziej zasadniczym brakiem Leny była dla Justyna jej swoista religijność. Była wierząca i religijna, ale nie była to ta religijność jego ojca i matki, do której przywykł od dzieciństwa – pełna, bezwzględna, oparta na dogmatach (dalej tekst nieczytelny – przyp. T.K.). Na dziś tak dla niej, jak i dla niego, miała ona wystarczyć, ale obawiał się, czy w przyszłości wychowaniu dzieci matka potrafi nadać ten prawdziwie religijny kierunek, wpoić im te gruntowne zasady, które uczynią je odpornymi na ujemne prądy życia i pozwolą im zachować w całym ich postępowaniu wiarę żywą i aktywną, zdolną uchronić je od fałszywych kroków życiowych.

X

Tymczasem nadszedł rok 1905. rok rewolucji w Rosji i ruchów strajkowych w Polsce, a jednocześnie większych swobód i budzących się nadziei narodowych.

Był wieczór zimowy. Lena robiła jakąś robotę, Justyn porządkował książki w bibliotece. Weszła pokojówka z oznajmieniem, że duża grupa obcych ludzi z miejscowym kowalem, synem poczciwego Antoniego, kucharza, na czele, przyszła do kuchen i prosi, żeby pan dziedzic do nich wyszedł.

- Powiedz im, żeby chwilę poczekał, bo jestem zajęty; jak skończę, to do nich wyjdę.

Umyślnie Justyn powiedział w ten sposób, żeby wiedzieli, że przyjdzie ich bierze spokojnie i nie jest nim, jak inni jego sąsiedzi, załęknioty.

- O co chodzi? – zapytał ich po chwili.

Kowal w imieniu gromady zaczął dowodzić, że służba folwarczna jest źle w tutejszej okolicy wynagradzana za swoją pracę, że ma złe mieszkanie, zbyt mało opału, za mało ziemi pod kartofle itp. Wszystkie te świadczenia muszą być znacznie podwyższone, w przeciwnym razie natychmiast rozpoczną strejk i to t.z. „czarny”, to znaczy, że nie tylko zaprzestaną pracować, ale i inwentarza obrządzać nie będą. Na poparcie swoich żądań pokazali Justynowi podpisane przez okolicznych ziemian nowe warunki ugody ze służbą.

Justyn spojrział na znane mu podpisy sąsiadów i fantastyczne zupełnie, przyjęte przez nich propozycje wynagrodzenia, objął wzrokiem gromadę, wśród której poza kowalem, odgrywającym w niej rolę kierowniczą, inni miejscowi pracownicy trzymali się na szarym końcu, i rzekł spokojnie:

- Bardzo się cieszę, że mam takich zamożnych sąsiadów, którzy tego rodzaju warunki zapewnić wam mogą. Ja zwykle to, co obiecuję wykonać, a że takich zobowiązań wykonać bym nie był w możliwości, więc umowy nie podpiszę. Mogę służbie mojej od siebie z dobrej woli po powrocie do pracy niektórych rzeczach obiecać pewną niewielką podwyżkę, o której jej resztą przy wypłacie ostatniej pensji wspomniałem – więcej nie. Jeżeli ona jej nie wystarcza, możecie od jutra rozpocząć strejk.

I rozpoczął się strejk generalny. W straszną śnieżną zawięgę, która akurat w nocy się rozpoczęła, a w dzień przybrała jeszcze nas sile, Justyn sam z dziewczynami pokojowymi i kuchennymi, które strejkiem nie były objęte, musiał przyszykować i podawać paszę, dla całego inwentarza, uciągnąć ze studni potrzebną ilość wody itp. Praca to był niemała jeżeli zważyć, że w Basztowej Woli było wtedy 60 sztuk bydła i jałowizny, przeszło 40 sztuk koni i źrebaków, nie mówiąc o trzodzie chlewnej i drobiu, których obsługa była czynna.

Taki stan rzeczy trwał przez dwa dni. Służba siedziała w domu, mało się pokazując, ale wyczuwało się, że jest zażenowana i wykolejona i tylko surowy zakaz powstrzymał ją, żeby nie pomóc przy obrządku inwentarza. Niektórzy cichaczem, obrządzając swoje krowy, to i owo zrobili.

Drugiego dnia popołudniem kazano im się stawić do Iłży. Przyszli przed wieczorem skonsternowani i zniechęceni.

- Ech, proszę wielmożnego pana. To tylko zawracanie głowy. Żadnego u nich ładu ni porządku. Nawet nijakiego szyldu nie mają. [\[1\]](#) Prawowita władza w ich pojęciu musiała przecież mieć jakiś szyld.

Następnego dnia rozpoczęła się normalna praca bez żadnego pytania się o podwyżki.

Po tych przykrych wrażeniach przyszły z kolei inne – niezapomniane i podniosłe.

Nabożeństwo narodowe w Iłży. Kościół pełny. Sztandary białe – amarantowe z orłem i Matką Boską. Gdy po raz pierwszy od tylu lat niewoli potężny chór zaintonował „Boże, coś Polskę”, Iłży wzruszenia zaszklily się w wielu oczach. Po nabożeństwie miał się odbyć pochód narodowy.

Ale tu nastąpił kres radości. Zaraz przy wyjściu z kościoła na ulicę liczna grupa socjalistów rozbiła pochód.

- Co, będziecie szli za sztandarem z gęsią? To – pańska uroczystość! Czy chcecie, żeby panowie zaprowadzili znowu pańszczyznę? Z nami, gospodarze i rzemieślnicy! Niech oni sobie idą sami!

Tłum się zachwiał i rozłamał na dwie części. Większa z nich poszła za agitatorami, znacznie mniejsza, złożona z okolicznych ziemian, inteligencji, mieszczan i rzemieślników, narodowo czujących, ruszyła pochodem przez miasto.

Tłum, rozagitowany i podniecony, zebrał się na wzniesieniu koło cmentarza celem wysłuchania mów socjalistycznych.

Garstka ziemian, po rozwiązaniu się pochodu narodowego, zebrała się u miejscowego rejentostwa, pp. Romerów. Wszyscy byli pod przytłaczającym wrażeniem. Taka cudowna dla Polski chwila przez wewnętrzną rozterkę zbezczeszczona i rozdarta!

Pierwsi wyjechali dwaj sąsiedzi: p. Dembiński z Krzyżkowic i stary p. Kiwerski ze Starowilczyc – na jednej bryczce. Po drodze na ulicy spotkali konny patrol kozacki. Patrol zatrzymał ich, pytając dokąd jadą. Odpowiedzieli, że – do domu, a jednocześnie spytali dowódcy, co to będzie. On miał odpowiedzieć: „Będzie jazda”.

Ta „jazda” miała widać oznaczać szarżę na tłum pod cmentarzem, który rzeczywiście wkrótce rozpędzono.

W parę dni potem odbyło się w niedalekiej okolicy Basztowej Woli niezwykle zebranie. Niejaki p. Grabowski, leśnik z zawodu, pełniący funkcję starszego nadleśnego dużych lasów Starachowickich, wyznający przekonania dość lewicowe, ale jednocześnie żyjący dobrze z okolicznymi ziemianami i dla nich życzliwy, chcąc pomóc tym z nich, u których strejki jeszcze się powtarzały, oraz mając nadzieję, że uda mu się doprowadzić do ideowego kompromisu pomiędzy ziemiaństwem, a kierownictwem miejscowego ruchu rewolucyjnego, zaprosił do siebie z jednej strony wszystkich sąsiadów – ziemian, z drugiej niejakiego dra Dauma ze Starachowic, z pochodzenia zdaje się żyda, uchodzącego za lidera rewolucji w tym okręgu.

Praktycznych wyników ta konferencja nie dała, ale tego rodzaju wymiana zadań przedstawicieli dwóch skrajnych obozów, przy której każda strona wysuwała możliwie najbardziej przekonujące argumenty, była naprawdę bardzo ciekawa i pouczająca.

Gdy siedziano przy kolacji, zjawili się dwóch nieznanymi młodych mężczyzn, z wyglądu inteligentnych robotników; w jakim celu – Justynowi nie było wiadomo. Pomówili z gospodarzem, potem z niektórymi jeszcze panami i odjechali.

Zdaje się, że w związku z ich bytnością po skończonej kolacji podszedł do Justyna starszy jego sąsiad, p. Dembiński, odprowadził go na stronę i powiedział:

- Panie Justynie, mam do pana wielką prośbę, której wykonania ze względu na niezwykle okoliczności, sądzę, że mi pan nie odmówi. Otrzymałem od socjalistycznego komitetu wykonawczego wyrok śmierci, a to z powodu, że w dniu obchodu narodowego sprowadziłem jakoby na tłum kozaków. Wniosek

oskarżający wyciągnięto z tej krótkiej mojej rozmowy z patrolem kozackim. Muszę się bronić, muszę udowodnić, że nic podobnego nie było. Stało na tym, żeby powołać sąd. Będzie w nim zasiadać dwóch przedstawicieli socjalistów i dwóch – z mojej strony. Jako sędziów, postanowiłem prosić pana i doktora Węgierskiego z Iłży. Niech pan to dla mnie zrobi. Inaczej mnie zastrzelą. Rewolucja to nie żarty.

Bardzo był poruszony. Justyn poważnie się nad tą sprawą zastanowił.

- Panie Józefie – rzekł. Tych rzeczy nikomu się nie odmawia, więc i ja panu tym bardziej odmówić nie mogę. Pochlebia mi nad wyraz pańskie zaufanie. Są przecież sąsiedzi starsi i bardziej doświadczeni ode mnie (miał dopiero 31 lat). Ale, proszę pana, ja w tym „sądzie” widzę dla pana więcej niebezpieczeństwa, niż wyroku śmierci, który pan, moim zadaniem, wziął zbyt gorąco do serca. Może być po prostu chęć straszenia pana. Sąd jest przede wszystkim wadliwie skonstruowany i nie ma superarbitra. Co będzie w razie różnicy zdań? Po drugie zachodzi zupełnie dysproporcja pomiędzy dobrą wiarą jednej i drugiej strony. Tu ona jest, a tam? Jedynie złe i wrogie instynkty. Po trzecie – świadkowie. Oni przy złej woli mogą przedstawić nawet stu, a pan kogo ma? Pana Kiwerskiego, który niedosłyszany, jest stary i niedołężny, i może sprawie więcej zaszkodzić, niż pomóc. Drugi sędzia z pana strony jest też miękki i wolno się orientuje. Czy już tego odrobić się nie da?
- Nie. Chociaż wszystkie pańskie uwagi trafiają mi zupełnie do przekonania.

Z ciężkim sercem i dużym niepokojem stawiał się Justyn na „sąd” w oznaczonym dniu i godzinie. Byli obecni sędziowie p. Dembińskiego, strona oskarżona i jej świadek. Z tamtej strony nikt się nie zjawił. Szanując godność sądu, Justyn chciał już spisać protokół i odejść, ale miękki i zalękniony doktor radził jeszcze zaczekać. Po godzinie zjawili się „sędziowie”, robotnicy Jahlewicz i Dudziński. Świadek z tamtej strony żaden się nie stawiał. Justyn po pierwszych odezwaniach się, widząc chwiejność współkolegi – sędziego, wziął z konieczności inicjatywę prowadzenia sprawy w swoje ręce.

Świadek oskarżonego nie właściwie na jego obronę nie powiedział.

- Ja niedosłyszę. Podobno pan Dembiński zapytał się dowódcy patrolu: „Co to będzie?”, a on odpowiedział „Będzie jazda”. Ale ja tego nie słyszałem.

To – żadne świadectwo. Gdyby strona oskarżająca była inteligentniejsza i przedstawiła choć jednego świadka, sprawa byłaby bezapelacyjnie przegrana, a wyrok zyskałby realną podstawę, aczkolwiek wiadomo, że byłby oparty na niesłusznym oskarżeniu. Dzięki Bogu świadka nie było.

Justyn zwrócił się do sędziów – oskarżycieli (także niepraktykowana kombinacja), jakie – skoro świadków nie przedstawili mają dowody na poparcie swego ciężkiego oskarżenia, że pan Dembiński, Polak, wzywał obce wojsko do szarżowania na polskie zgromadzenie.

- Widziała to moja siostra, ciotka – itp. argumenty.

Justyn podniósł głos.

- Dlaczegoż się tu nie zjawili? Znaczy się, panie Jaklewicz, że pan nie ma żadnego konkretnego dowodu na poparcie swego oskarżenia?
- Nie.
- I pan, panie Dudziński, też nie masz żadnego konkretnego dowodu na poparcie swego oskarżenia?
- Nie.

Justyn wstał i ostrym gestem wskazawszy na drzwi, zawołał:

- To proszę zaraz pójść do tego pokoju, w którym siedzi pan Dembiński i przeprosić go za rozsiewanie kłamliwych i nieuzasadnionych plotek.

Poszli i przeprosili. Sąd się skończył. Justyn odetchnął głęboko, jak wódz po wygranej niebezpiecznej bitwie.

Po paru tygodniach Justyn dowiedział się, że obaj jego koledzy współsędziowie zostali przez własne władze ukarani za samowolne i nieuzasadnione oskarżenie.

Odruchy rewolucyjne w ziemi radomskiej wygasły. Życie wracało do normy. W skali krajowej lata te przyniosły sprawie polskiej wielkie zwycięstwo – odrodzoną po strejku szkolnym szkołę polską oraz powstanie Macierzy Szkolnej.

Koła Macierzy zaczęły, jak grzyby po deszczu, powstawać po całym kraju. Powstało ono i w Iłży, w kierownicze stanowiska w nim przypadły w udziale czynnikom ziemiańskim. Na prezesa Koła na organizacyjnym zebraniu ogólnym powołano panią Dembińską z Krzyżkowic, na sekretarza – Justyna Bogusza z Basztowej Woli. Praca ta bardzo odpowiadała jego upodobaniom, kierującym się w stronę szkolnictwa i wychowania. Był też aktywny na tym stanowisku do chwili opuszczenia tych stron. Wygłosił m.in. obszerny programowe przemówienie na jednej z dorocznych Ogólnych Zebrań Koła.

Rozdział VIII

W następnym roku po rewolucji przybył Justynom trzeci, nie licząc zmarłego Kotusia, syn, Jacek, a w dwa lata potem czwarty – Andrzej.

Ojciec chodził dumny w glorii czterech synów, nie ponosząc – poza kosztami, związanymi z ich przyjściem na świat, żadnego więcej ciężaru. Za to życie matki wypełniło się pracą po brzegi. I trzeba przyznać, że te matczyne obowiązki Lena spełniała karnie, troskliwie i umiejętnie. Były one tym bardziej kłopotliwe, że zaczęło już wtedy wchodzić w użycie sztuczne karmienie dzieci roztworami śmietanki i różnymi mieszankami, przy którym nigdy nie dość było starania i systematyczności.

To zajęcie koło dzieci z konieczności odciągało uwagę Leny od nierealnych trosk i zmartwień, płynących z jej nadwrażliwego usposobienia, i choć miewała jeszcze swoje niepokoje oraz chwile o nieobliczalnych i zmiennych nastrojach, nie były one u niej stanem niemal chronicznym, jak poprzednio. Justyn też w związku z tym miał spokojniejszą głowę i więcej zajmował się gospodarstwem. Ułatwiło mu się ono w ostatnich latach o tyle, że wyrobiwszy sobie odpowiednie pozwolenie u donatariusza, wypuścił część mniej mu odpowiadających gruntów włościanom w poddzierżawę. Miał gotowy grosz bez kłopotu, a i inwentarz mógł nieco zredukować.

Patrząc w Brzozowie na liczne przejawy pracy obywatelskiej i charytatywnej dworu, Lena, choć zajęta dziećmi i domem, powoli wciągnęła się też w nią i nabrała do niej smaku. Justyn przy swojej pracy dla chleba nie miał już na nią czasu. Ograniczyć się musiał do życzliwego ze służbą i okoliczną ludnością stosunku, pomocy w potrzebie, dobrej rady, o ile go o nią proszono. Miał dowody, że traktowano go poważnie, szanowano i ceniono jako Polaka i obywatela.

Lena robiła więcej. Opiekowała się służbą. Leczyła dzieci w czworakach i na wsi. Starsze z nich pojedynczo uczyła czytać i pisać. Do najzdolniejszych z jej uczniów należał Józio Rozpierski młodszy syn starego kucharza Antoniego, a młodszy brat kowala, prowadzącego strejku w Basztowej Woli. Każda z tych rzeczy szła swoją koleją, nic sobie wzajemnie nie przeszkadzając.

X

Z Kruusem miał Justyn różne troski i kłopoty. Zasypywał on go w różnych sprawach listami i telegramami, na które trzeba było odpowiadać, a te odpowiedzi wobec fantazji i nieobliczalności barona nie zawsze były łatwe. Każdy niemal list pisany był w kilku językach, lubił on bowiem przytaczać rozmaite cytaty i przysłowia, jakie zapamiętał w swoim lotnym umyśle.

Kiedyś przysyła bez żadnego komentarza depezę tej treści:

Proszę natychmiast przyjechać do Paryża w bardzo ważnym pańskim interesie.

Zupełnie, jakby to była droga do Iłży albo do Radomia. Justyn nie kwapił się z jechaniem, wysłał natomiast telegram, który brzmiał:

Zaraz nie mogę, proszę objaśnić listownie.

Kruise wściekły był o tę odpowiedź. Groził różnymi przykrymi konsekwencjami, które się zresztą nie spełniły. W liście wyjaśnił, że zamierzał powierzyć Justynowi zarząd całej „ordynacji”, co mogło być dla niego tym wielkim interesem. Mylił się, bo Justyn nie chcąc mieć do czynienia, poza swoją dzierżawą, byłby tej zaszczytnej funkcji i tak nie przyjął, i cała jazda do Paryża byłaby zbyteczna.

Innym razem baron przysłał znów do Justyna taką dwujęzyczną depezę:

Proszę natychmiast wysłać do mnie telegram: „Arrivez immédiatement affaire urgent. Bogusz”.

Rzecz niemożliwa. Więc on, przyjechawszy do Polski gnębić swoich biednych dzierżawców, będzie się wykazywał telegramem Justyna, i tłumaczył, że przyjechał tylko na jego wezwanie, w dodatku w interesie pieniężnym, bo słowo „urgent” Justynowie przeczytali jako „argent”. Z drugiej strony, odmawiając mu drugi raz, naraziłby mu się bardzo; zresztą w Paryżu, o ile mu potrzeba, niechby się posługiwał jego depezą.

Przyszedł Justynowi dowcip do głowy i wysłał jednocześnie dwa telegramy. Pierwszy, francuski, brzmiał tak jak Kruise sobie życzył:

Arrivez immédiatement affaire urgent.

Drugi, polski, mieścił zastrzeżenie:
Proszę korzystać tylko zagranicą.

To właśnie zastrzeżenie silnie go ubodło. „Lepiej było – pisał w odpowiedzi – odmówić mojej prośbie, aniżeli dawać mu wskazówki. O nic już nie poproszę i względów mieć nie będę, skoro wszędzie i zawsze doznaję od pana odmowy”. Chodziło mu tym razem, jak pisał, o obronienie się Justyna telegramem przed natarczywością jakichś znajomych w Paryżu. Nie miał się o co obrazać, bo okazało się właśnie, że Justyn słusznie swoje dwa telegramy wysłał.

Nadeszła niedługo potem o wiele ważniejsza, niż te mało poważne, depeza od Kruisego, wiadomość, mianowicie, że otrzymał od rządu rosyjskiego pozwolenie na parcelację całego majoratu i że w związku z tym wszystkim swoim dzierżawcom wymawia dzierżawę od razu, od 1 lipca, będąc gotowym z tymi, których kontrakty jeszcze do tego czasu nie wyekspirują, porozumieć się do co jakiegoś dla nich odszkodowania.

Justyn – choć mu żal było Basztowej Woli, jako miejsca pierwszego ich zamieszkania po ślubie i urodzenia pierwszych dzieci – ze strony interesu z tyle mniej tą wiadomością się zmartwił, że pozostał mu tylko rok kontraktu, o przedłużeniu go wobec zamierzonej parcelacji majoratu nie mogło być mowy, a otrzymanie odszkodowania za ten rok – o ile

dałoby się je od Kruusego w pożądaney wysokości uzyskać – mogłoby stanowić więcej, niż eksploataowanie dzierżawy do końca i wyjścia z niej we właściwym terminie. Ułożył więc 12 korzystnych dla siebie punktów, dotyczących odszkodowania oraz wyjścia z dzierżawy, i przystąpił do stopniowej likwidacji gospodarstwa. Likwidacja ta obejmowała szeroki zakres i dawała widoki większego kapitału, zważywszy, że oprócz sprzedaży licznego inwentarza żywego i martwego, który stanowił bezsporną własność dzierżawcy, miał w perspektywie spieniężenie całej krestencji – ziarna, paszy, okopowizn, słomy itp. Los okazał się przyjazny Justynowi i z tego względu, że – widocznie po poprzednich latach bardziej wilgotnych – we wszystkich ścierniach po zbiorach okazały się bujne samosiewne białe konieczyny, które stanowiąc objaw w ogóle w gospodarstwach niepraktykowany, tu nie tylko pozwoliły przeżyć w doskonałej formie inwentarz do momentu likwidacji, ale reprezentowały dość poważną wartość sprzedażną przy wyjściu z dzierżawy.

Pozostawały Justynom dwie troski – żeby Kruuse przyjął ich warunki oraz żeby po wyjściu z Basztowej Woli znaleźć mogli jakiś odpowiedni obiekt do kupna czy dzierżawy, który by z jednej strony nie przekraczał ich możliwości finansowych, z drugiej – dawał im znośną podstawę egzystencji.

W jednej i drugiej trosce Pan Bóg Justynom – podobnie jak z tą samosiewną koniczyną w polach basztowolskich – pobłogosławił.

X

Kruuse w sprawach, związanych z parcelacją majoratu, przyjechał do Warszawy i wezwał Justyna, który niezwłocznie przedstawił mu swoje 12 punktów i odbył z nim szereg konferencji. Konferencje te nie zawsze dotyczyły spraw oficjalnych, a czasem nawet daleko od nich odbiegały.

- Czy pan – zagadnął baron kiedyś – nie mógłby mi wyświadczyć pewnej przysługi, za którą byłbym panu nieskończenie wdzięczny i przyjąłbym bez sprzeciwu wszystkie pańskie 12 punktów. Powiem panu szczerze, o co chodzi. Za pewne zobowiązania, które mam w Paryżu, chcąc mi zlicytować moją ukochaną galerię obrazów. Nie mając obecnie większej gotówki, potrzebowałbym na uwolnienie się od tego rygoru 5 tysięcy rubli. Czy pan nie mógłby mi ich pożyczyć?

Justyn zdumiał się. Potentat finansowy w porównaniu z nim, baron von Kruuse, hrabia de Kajbala – takie odkrył teraz drugie nazwisko i tytuł, które ma podobno prawo używać – chce pożyczyć pieniądze od swego skromnego dzierżawcy, Bogusza. I znowu prośba, i znowu apel do jego dobrej woli i podanie się od niej w zależność.

Justyn zastanowił się i odpowiedział:

- Panie baronie. Zna pan doskonale moją sytuację finansową i wie, że żadną wolną gotówką nie rozporządzam. Nie łatwo mi się było nawet z rat dzierżawnych

wypłacić. Jeżeli teraz w związku z likwidacją Basztovej Woli zdołam zgromadzić jakąś gotówkę, to potrzebna mi ona będzie na wejście w jakiś inny interes. Moich więc możliwości nie należy w ogóle brać pod uwagę. Natomiast mam u ludzi trochę zaufania i sędzę, że znalazłbym kredyt prywatny, żeby panu baronowi żądną sumę dopomóc. A chciałbym szczerze panu tę dogodność zrobić. Musiałbym tylko mieć zupełnie realne dla tej pożyczki zabezpieczenie. Niech pan nad nim pomyśli, a ja panu jutro powiem, czy sprawa da się załatwić.

Baron z wdzięcznością uścisnął Justynowi rękę.

- Bardzo, bardzo byłbym panu wdzięczny.

Nazajutrz Justyn przyszedł z przychylną odpowiedzią.

- Panie baronie. Pieniądze mogą być. Jakież może mi pan co do nich dać zabezpieczenie?

Wiedział Justyn, że to zabezpieczenie w danym wypadku to niełatwa sprawa. Majoraty hipoteki nie mają, zresztą ten podlega w najbliższym czasie likwidacji. Moralnych gwarancji Kruuse nie reprezentuje żadnych, a jego weksel osobisty, jako nie mieszkającego w kraju i nie posiadającego żadnego majątku efektywnego, nie ma znaczenia. Musiałby być zaopatrzony w jakieś bardzo pewne, solidne i odpowiedzialne tutejsze żyto. Ale tego baron znaleźć nie mógł.

- Dam panu – powiada – moje weksle na podwójną sumę.

Ta propozycja zupełnie Justyna zniechęciła i moralnie i z punktu widzenia rzeczowego, bo dawała miarę bezwartościowości zobowiązań barona.

- Nie, panie baronie – rzekł Justyn tonem nieco górnym – przywykłem brać weksle – o ile ja kiedyś brałem – tylko na tę sumę, jaką komuś daję. Ta propozycja jest dla mnie nie do przyjęcia. Czy nie ma pan innego sposobu zabezpieczenia?

- Niestety, nie.

- W takim razie z przykrością muszę uznać sprawę za nieaktualną.

Rozstali się. Kruuse bardzo był rozgoryczony, bo mu się nadzieja uśmiechnęła na próżno, ale żale do Justyna nie okazał. Musiał zrozumieć, że nie mógł zrobić inaczej. Na drugi dzień mówili o interesach Basztovej Woli. Po pewnych targach doszli do porozumienia co do 12- tu punktów Justyna. Wychodził on z dzierżawy na zupełnie znośnych warunkach.

Teraz przychodziła ważna sprawa znalezienia odpowiedniego warsztatu do pracy z małym stosunkowo funduszem, jakim, łącznie z posagiem żony, mógł Justyn rozporządzać przy wyjściu z Basztowej Woli.

Ale opieka Boża, której doznał on nieraz w ciągu swojego życia, i w tym wypadku przysłała mu z pomocą. Dobra znajoma Leny, mieszkająca z mężem w kieleckim, wiedząc, że Justynowie rozglądają się za jakimś obiektem, pisze do niej kiedyś, więcej z punktu widzenia sentymentu, niż interesu:

Wiesz, Lenko. Tu, w niedalekim od naszego Karczewa sąsiedztwie, jest majątek do sprzedania. Podobno dobry i niedrogi. Jakby to dobrze było, żebyśmy blisko mieszkali. Pan Justyn z moim Maciejem – koledzy z uniwersytetu, a my z Tobą tak dobrze się znamy, i tyle mam dla Ciebie sympatii.

Justynowie na razie zbagatelizowali tę wiadomość, jako, poza ogólnikiem, nic nie mówiącą o samym obiekcie. Ale po niedługim czasie przyszedł od tej samej pani Joanny Kowerskiej do Leny drugi list, z podaniem bliższych szczegółów z zaleceniem, żeby jednak nad tą sprawą pomyśleli, bo i mąż, i wszyscy ich sąsiedzi uważają te Borowiny za interes dobry i przystępny. Oni, Maciejowie, poślą po nich konie na stację, zabiorą ich do siebie, a stamtąd – kilka zaledwie kilometrów do Borowin.

Tym razem Justynowie zdecydowali się pojechać majątek obejrzeć. Ale za tą bytnością przedstawił im się on ze strony niekorzystnej. Komunikacji – żadnej. Nad nową koleją Kielce – Częstochowa, mogącą ich dotyczyć, dopiero robią studia. Część pól – dobrych, ale część – zupełnie piaskowych. Przestrzeń leśna dość duża, ale poza małym kawałkiem starego lasu, ze względu na młody wiek nie mogącą dać żadnego dochodu. Dużo całkowitych nieużytków. Miła wprawdzie bardzo rzeka, nad którą majątek jest położony, ale ona innych braków okupić nie może.

Nie zdecydowawszy się na kupno, wyjechali, po paru tygodniach jednak obejrzawszy kilka innych majątków, wrócili. Gdzie z tymi pieniędzmi, którymi rozporządzają, coś lepszego znajdują? Chyba dzierzawę. A własny kawałek ziemi też coś znaczy. Mają czterech synów. Jest go komu zostawić. Majątek jest wyjątkowy tani, bo należy do małoletnich, a opieka nie mogąc dać sobie rady z gospodarstwem, chce się go pozbyć. Musi iść, choć znajduje się w niezapuszczonym stanie, przez licytację sądową, a na niej konkurencji obawiać się nie należy, zresztą można się przed nią w drodze umowy z opieką zabezpieczyć, pola główne – bardzo dobre, inne można przez kulturę podnieść. Las rośnie. Nieużytki – do zalesienia. Łąki dość dobre. Rzeka – cudowna. Domek i ogród – bardzo miłe. Budynki i inwentarz – w dobrym stanie.

Tym razem sprawa była skończona. Kupując Borowiny, niech się dzieje, co chce.

Wkrótce zawarli umowę przedwstępną z opiekunem główny, dotyczącą kupna – sprzedaży, i – nie czekając na licytację, która się miała dopiero odbyć za kilka miesięcy, przeprowadzili likwidację Basztowej Woli.

Ruch w niej teraz panował niezwykły. Młocka zboża wynajętą z dalszego sąsiedztwa dużą lokomobilą. Wydawanie sprzedanego ziarna. Sprzedaż paszy, słomy, kartofli i buraków. Sprzedaż inwentarza. Całą partię krów i jałowizny, dość już wyrównanych w typie nizinny, zakupił jeden z dalszych sąsiadów. Kilkanaście żrebaków na ogół ładnych – drugi. Konie formalnie sprzedawano oddzielnie. Cztery z nich, czwórkę skarogniadych cugowych, z oddanym Justynom furmanem Michałem, powóz, kilka ładnych sztuk trzody chlewnej, którą starannie i umiejętnie zajmował się ostatnim czasie Lena, większą część mebli ze dworu itp. postanowiono zabrać do Borowin. Miały tam też pójść niektóre meble z Brzozowa, których siostra Justyna na jego rzecz się zrzekła.

Przy segregowaniu u uprzątnięciu tych mebli za bytnością w Brzozowie Justyn zrobił pewne odkrycie, które odegrało dość poważną rolę w dalszym nastawieniu jego myśli. W skrytce starego biura ojca znalazł mianowicie dużo starych dokumentów rodziny Boguszków. Metryki urodzenia, akty ślubu, akty zawieranych transakcji, korespondencja jego przodków, wszystko przeważnie z XVIII – go i początku XIX wieku – stanowiły bogaty materiał, dotyczący przeszłości ich rodziny. Justyn przywiązany był w ogóle do tradycji rodzinnej, ale pierwszy raz zetknął się z żywymi jej pamiątkami. Odurzyły go, jak stare wino. Nie mógł się od nich oderwać.

Oto – własnoręczny list jego rodzzonego prapradziada, Józefa Felicjana Janty Bogusza, dziedzica licznych włości, przeważnie w Małopolsce położonych, z roku 1756.

Oto – własnoręczny list jego żony Teofili z Jordanów, pisany do męża w oku 1764. Opisuje w nim, co robi w domu sama, i co robią dzieci, których była niemała gromadka, bo 6-ciu synów i 2 córki. List zaczyna się w sposób następujący:

Zabieguję Waszeci drogę literą moya, prze którą przesyłam
miljon ucałowania y uściskania, a w Gruszowie będzie tego więcej –

Kończy zaś następującym charakterystycznym zwrotem:

Wasze wiem, że niepocziwey drogi zażył, ponieważ deszcze
znowu były. Donieś że mi o zdrowiu swoyem y kiedy Cie się nam
spodziewać, mój Józusieńku kochany. Przyjeżdżay do swojej Tosi,
która Cie okrutnie serdecznie kocha, zapisując się, zem iest do skonu
Waszeci kochającą żoną y sługą.

T.Boguszowa

Dzieci wszystkie do nóg upadają.

A oto znów – inny ciekawy dokument. Spis żywego i martwego inwentarza oraz ruchomości aż do każdego garnka i poszczególnego diamencika w pierścionkach włącznie, dokonany przez też Teofilę z Jordanów po śmierci męża, Józefa Felicjana, w roku 1774 po powtórny wyjeździe zamąż za Stanisława Światopełk Zawadzkiego. Czego go bo tam w tym spisie niema! Inwentarze na kilkunastu folwarkach, pojazdy, sumy gotowe i na skryptach dłużnych, meble, makaty, kontusze, żupany, pasy, szable złote i srebrne, zegarki, tabakierki, pierścienie, portrety i obrazy, naczynia kuchenne. Cóż za interesujący obraz nie tylko majątku osobistego danej rodziny, ale w ogóle obyczajów i sposobu bycia szlachty polskiej w ówczesnej epoce! Charakterystyczny jest tytuł tego spisu:

Regestr Sum gotowych, Mobiliów, Sprzętów etc., Inwentarzów, Skryptów, Membranów, Dokumntów, Summaryuszem opisanych tudzież Rzeczy Ruchomych y nieruchomych po śmierci śp. W^o Józefa Janta Bogusza Burgrabiego Krakowskiego pozostałych przez Imc. Panią Teofile z Jordanów pierwszego tegoż Wo Bogusza powtórnego ad p-sens Małżeństwa Wo Stanisława Swiatopełk Zawadzkiego Szambellana I.K. Mci Żona na zadosyć uczynienia Dekretem tak Lwowskim w Naywyższym Sądzie Gubernii dnia siódmego Miesiąca Lutego Roku terażnieyszego 1774^o Między W.W Alexandrem, Ianem, Jackiem, Antonim, Stanisławem y Pawłem Boguszami Braci z iedney a przereczonemi W.W. Zawadzkimi w Sufczynie, na dzień drugiego Miesiąca Maja w Roku tymże, iako y Zjazdowemu na tymże dniu, iako, wyżey zaszłym spisany y do Sądu Ziazdowego podany.

Takie oto i tym podobne skarby znalazł Justyn w starym biurze ojca. Teraz już nie miał na to czasu, ale później postanowił zapoznać się z ich treścią szczegółowo, odpowiednio je uporządkować i na ich podstawie historię swego rodu sobie odtworzyć.

Ale jeszcze o jednej rzeczy przekonał się Justyn z tych pożółkłych dokumentów. Mianowicie, że ich właściwe nazwisko nie jest „Bogusz”, jak się potocznie mówiło, a „Janta Bogusz”. Słyszał Justyn nieraz do matki, że nazwisko ich miało ten dodatek, ale przypuszczał, że to jest ot, taki sobie przydomek, którego można używać, albo nie używać, skoro ogólnie w rodzinie nie był stosowany. Tymczasem, jak wynikało ze znalezionych dokumentów, „Janta” to było w ich rodzinie pierwotne nazwisko, niezależnie do herbu Nowina, nie godziło się go więc żadną miarą pomijać.

Tę sprawę należało też kiedyś wolnym czasem w starych herbarzach zbadać i odpowiednio wyprowadzić wnioski.

X

Kiedy sprzedaż krescencji i inwentarza w Basztowej Woli została ukończona, pieniądze złożone do banku, a folwark oddany plenipotentowi donatariusza, powstało u Justynów pytanie, co robić z tymi kilkoma miesiącami, jakie im pozostały do chwili licytacji Borowin, wyznaczonej na połowę lipca. Prawo mieszkania w domu pozostawił im Kruuse do

końca. Justyn wyobrażał sobie, że choć pozbawieni zajęcia, zostaną na miejscu z dziećmi, więcej zajmując się nimi, będą też częściej i na dłużej robić wycieczki do Mroczkowa i Brzozowa. Najstarszy chłopiec, Janusz, miał już 7-ty rok i zaczął się systematycznie uczyć, drugi, Tomek, o rok młodszy, też już otrzymał początki nauki, dla młodszych – Jacka lat 4 i Andrzejka lat 2, także z wielką byłoby korzyścią, żeby – choć mieli specjalną wychowawczynię – rodzice więcej sami nimi się zajęli. Lena przy tym oczekiwała nowego dziecka i ten odpoczynek w spokoju i ciszy wiejskiej dobrze by jej na pewno zrobiło.

Ale Lena – nie wiadomo – sama, czy pod czymś wpływem – powzięła inny projekt.

- Pojedziemy na dwa miesiące na Riwierę. Kończy się luty, to tam właśnie pora najlepsza. Na mój stan klimat tamtejszy wpłynie doskonale. Nabierzemy w nim sił do dalszej pracy. Urządzimy się oszczędnie, to dużo nie wydamy.

Justyn tak ze względu na zmęczenie Leny daleką podróżą, jak i z braku chęci uszczuplania funduszy, gromadzonego na wejście w nowy majątek, przyjął ten projekt bez entuzjazmu, ale Lena tak się do niego przywiązała, że z jej silną indywidualnością trudno jej było zaoponować.

Na Wiedeń, Genuę, Wenecję pojechali. W Wiedniu zatrzymali się jeden dzień, w Wenecji – tylko przez noc, nie zwiedzając absolutnie nic. Nawet placu i Katedry św. Marka nie widzieli. Lena nie miała ochoty, będąc jakoś nie w humorze, a Justyn nie chciał jej przewalczyć, skoro jadą dla jej przyjemności. Po zupełnie chłodnych dniach przy początku podróży, od Genui, minawszy pasmo gór, zasłaniające wybrzeże Adriatyku u Morza Śródziemnego od północy, wjechali w strefę ciepłą, niemal gorącą. Widoki na morzu – cudowne przerywane tylko ciągłymi tunelami. Stanawszy w Monte Carlo – jako celu podróży, tu w jednym z pensjonatów zatrzymali się na cały czas pobytu na Riwierze. Kuchnia dobra, ale zupełnie inna niż w Polsce. Wszystko na oliwie z oliwek, które tam rosną całymi gajami. Dają masę jarzynek, przystawki, ale wszystkiego po trochu, tak, że Justyn ze swoim wiejskim apetytem nieraz bywał głodny. Robili małe wycieczki – do Monaco, Mentony, Beaulieu, Nicei (już na wybrzeżu francuskim), nigdzie dłużej się nie zatrzymując. W Kasynie byli parę razy, ale do stołów gry siadali tylko na chwilę, nie angażując się w żaden hazard. Raczej siadywali na ławce w ogrodzie przed domem gry, pełnym kwiatów i utrzymanym jak bombonierka.

Wracali inną drogą – na Monachium i Niemcy, nigdzie się nie zatrzymując. Różnicę klimatu tym razem odczuli jeszcze wyraźniej, tylko w odwrotnym kierunku. Do potężnego 8-kilometrowego zdaje się tunelu St. Bernard wjeżdżali w ciepłe letnim, za tunelem, który wznosi się mocno pod górę, pociąg wbiegł w silną zawieruchę śnieżną i krajobraz oraz klimat całkowicie zimowy. To – wysokie Alpy. W Bawarii – teren też silnie górzysty, ale już śniegu nie było widać.

W domu nie zastali nic złego. Dzieci zdrowe, tylko stęsknione za rodzicami.

W połowie lipca nastąpiła licytacja Borowin. Konkurentów nie było – Justyn zapłacił umówioną cenę i stał się pełnoprawnym właścicielem majątku.

Rozpoczęła się ciężka i kłopotliwa przeprowadzka inwentarzy i mebli tak z Basztowej Woli, jak i z Brzozowa, częściowo koleją, częściowo końmi. Bez przygód i pewnych strat w tak dalekiej drodze naturalnie się nie obeszło, ale na ogół wszystko przejechało szczęśliwie.

Justyn wyjechał, sam wcześniej, żeby transporty przyjąć i coś z grubsza urządzić. Lena dzielnie sobie dając radę w ostatnich już miesiącach swego stanu i ślicznie pomimo wszystko wyglądając, odwiozła dzieci z nauczycielką do Brzozowa, odpoczęła tam jakiś czas i z młodszymi chłopcami przyjechała do Borowin. Starsi do czasu urzędzenia wszystkiego i przyjścia na świat spodziewanej siostrzyczki mieli pozostać u babci i cioci.

Pożegnanie z Basztową Wolą po dziesięciu pierwszych latach wspólnego ich w niej pożycia było dla Justynów wzruszające. To była pierwsza szkoła ich wspólnego życia. Teren wyrabiania się ich indywidualności i dopasowywania się charakterów miejsce ich wspólnych wzruszeń, radości i smutków.

Starsze dzieci też były wzruszone. Janusz na pożegnanie pocałował z przejęciem ścianę w jadalnym pokoju. Rozpoczyło się dla wszystkich nowe życie.

Rozdział IX

- Niech Pan Bóg szczęści państwu w tych nowych progach! Niech wam daje zdrowie. I dzieci niech wam się szczęśliwe chowają!

Tymi słowami, popartymi rozłożonym w ganku wielkim wieńcem z żywych, barwnych kwiatów, witały w Borowinach Justynów przekraczających próg domu, stara kucharka Basia i pokojowa Natalka.

Mieli zamiar zamieszkać w remontowanym domu, przenosząc się w miarę posuwania się robót, obliczanych na przeciąg kilku tygodni, z pokoju do pokoju.

Ale zacni sąsiedzi na to nie pozwolili.

- Gdzie tam będziecie siedzieć tyle czasu w tym brudzie i zaduchu – zaoponowali Kowerscy z Karczewa. Przenieście się z dziećmi do nas. Jest tak niedaleko do Borowin, że pan Justyn może co dzień rano pojechać doglądać gospodarstwa, remontów i rozpakowywania rzeczy i na wieczór powracać.

Z podobną propozycją oświadczyli się bliżej jeszcze mieszkający państwo Karolowie Czaplĩnscy ze Starzechowic.

Tak serdecznie jedni i drudzy nalegali, że Justynowie musieli się zgodzić i w najmilszej atmosferze spędzić dwa tygodnie w Starzechowicach i tyleż w Karczewie.

Ta gościnność sąsiadów i tak serdeczne postawienie przez nich sprawy były zadatkami ich późniejszego bliskiego sąsiedzkiego stosunku i napełniały Justynów otuchą, że w swojej nowej siedzibie na dobrych i serdecznych natrafili ludzi.

Zaledwie się przenieśli do odremontowanego domu, Lena któregoś dnia mówi do męża:

- Wiesz, Justysiu, że chyba mój termin przychodzi. Dobrze, żeśmy wcześniej zatelegrafowali i dzisiaj przyjeżdża już ta pani z Warszawy. To pozatym taka doświadczona, zacna i inteligentna osoba, tak ideowa swoje posłannictwo traktuje, że mi z nią będzie bardzo dobrze.

Rzeczywiście na drugi dzień bez żadnych komplikacji przybyła szczęśliwie córka. Tak pożądana przez wszystkich, pierwsza po pięciu z rzędu chłopcach, córka! Dano jej imię Marta. Radość była nieopisana. Justyn z wdzięcznością i najgłębszym przywiązaniem patrzył w zmęczone, ale radosne jasne oczy Leny.

- Żeby nie urzec, jakoś nam się tak szczęśliwie, pod dobrą wróżbą, wszystkie okoliczności w ostatnich czasach układają. I pomyślnie wyjście z Basztowej Woli, i dojście do własnego kawałka ziemi; i ludzie dobrzy, życzliwi dokoła; zaraz na wstępie – ta dziecina, której tak pragnęliśmy i ty, taka moja, dobra i kochana. Bóg dobry. Może sprawi, że i całe Borowiny szczęście nam i radość przyniosą.

I z rozczuleniem serdecznym całował jej białe, przezroczyste ręce. A ona przytuliła się do niego z oddaniem. I byli bardzo szczęśliwi. Może więcej, niż kiedykolwiek w dotychczasowym wspólnym ich życiu.

X

Jak szybko Lena doszła do sił po swoim przejściu – a przyszło jej to tym razem stosunkowo bardzo prędko; o mała zaś była spokojna, bo jako piastunkę przy niej obsadziła dobrą i odpowiedzialną dziewczynę, dotychczasową pokojówkę, Natalkę – chcąc już w pełnej gromadzie rozpocząć normalne życie sprowadzili starszych chłopców z Brzozowa. Odwiozła ich babcia, która bardzo było ciekawa Borowin oraz tego, jak się w nich Justynowie urządzili. Pia, ze względu na cieplejszą jeszcze porę ustąpiła tego pierwszeństwa matce, choć sama bardzo też pragnęła jak najprędzej odwiedzić Justynów w nowej ich siedzibie.

I babci, i chłopcom nadzwyczajnie się Borowiny podobały. Zwłaszcza rzeka, której nie było ani w Brzozowie, ani w Basztowej Woli, oraz cudne na jej dolinę widoki budziły ogólny zachwyt.

- Jakież tu jasno, słonecznie i wesoło!

Rzeczywiście Borowiny położone są niezwykle malowniczo.

Stary nieduży modrzewiowy dwór, z belkowaniem na wierzchu i datą A.D 1765, wydłubaną w jednej z belek pokoju jadalnym, a 1733 – w innej, świeżo odnowiony i świecący niepokalaną bielą ścian, postawiony jest na wzgórzu, tak że z okien jego i sprzed ganku widać z prawej strony rzekę i jej brzegi. Przed dworem, obróconym frontem na południe dziedziniec z płaczącym, stanowiącym miłą altankę jesionem pośrodku, oddzielony od pobliskiej wsi gęstym i wysokim ciętym żywopłotem ze świerków i karagaczy. Za rzeką rozległe pastwiska na tle ciemnych gęstych lasów sosnowych. Na tym jej brzegu nad drogą szereg starych wierzb. Na jednej z nich, szczególnie wysokiej – gniazdo bocianie.

Z pobliskiej górki objąć można okiem całą szeroką dolinę Pilicy z srebrno – białą wstęgą rzeki i rozsiadłymi nad nią na przestrzeni paru mil wsiami. Dworskie folwarki ńcą oko żywą barwą czerwonej dachówki, odbijającej od zielonego tła lasów i łąk. Na północ o dwie mile Przedbórz z starego kościoła wieżycą. Na południe w kępie drzew okazały Maluszyn, zasłonięty czasem smugą dymu z sąsiedniej, należącej do niego cukrowni. O kilka kilometrów ku północnemu wschodowi – zabłąkane pasmo gór kieleckich. Na niektórych z nich – stare lasy bukowe i nieprzebyta gęstwa młodych zagajników. W oddali siwieje kontur wysokiej zalesionej Chełmskiej Góry.

Na tym barwnym tle z południowej strony nad samym brzegiem rzeki i wpadającego w tym miejscu do niej dopływu „Stoczki” – wieś Borowiny. Typowa wieś polska. Chaty na ogół biedne, pod strzechą, rozrzucone w kilku szeregach na piaszczystym wzgórzu. Za wsią na górze – należący do dworu lasek brzozy i sosnowy, ulubione miejsce dzieciennych zabaw. Za nim – zawarty blok bogatych pól rędziny, przechodzących górką w piaski, i las dworski, którego w tym kompleksie do 200 morgów liczyć można.

Budynki gospodarskie – w komplecie. Wśród nich szopa, kryjąca rzadko w mniejszych gospodarstwach spotykaną wagę wozową do ważenia odstawionych do cukrowni buraków, paszy i inwentarzy.

Tuż za domem – ślicznie utrzymany ogród ze szpalerami grabów, olch, brzozy i leszczyny, bzów i karagany. W kącie ogrodu – sadzawka, opleciona brzozy pierścieniem. Za ogrodem – główny kompleks łąk przystrojonych miejscami kępami olch i wikliny. Za łąkami pola nadrzeczne o glebie rolniczo nieco wadliwej, ale mogącej – przy odpowiednim traktowaniu – dać dobre plony mniej wymagających ziemiopłodów.

Patrząc na te wszystkie niezaprzeczone uroki nowej ich własnej siedziby, Justynowie z każdym dniem bardziej się do niej przywiązywali. Zabrali się też z zapałem do pracy. I nie tylko Justyn, na którego odpowiedzialności ciążył byt licznej rodziny, ale i Lena.

- Poza wydatnym podniesieniem ilości drobiu – mówiła – musimy wygospodarować większy dochód z trzody chlewnej. Już ja się nią sama zajmę. Tu było parę macior, z Basztowej Woli przywieźliśmy piękne cztery; wkrótce dojdziemy do dziesięciu, a wtedy dochód z prosiąt, które tu w okolicy są w cenie, wystarczy na moje i dzieci wydatki.

Cieszył się Justyn serdecznie z tych zamierzeń żony, bo świadczyły o jej, większej niż poprzednio, aktywności gospodarczej i chęci do pracy. Doszło istotnie wkrótce do dziesięciu macior i ślicznie tę chlewnię własnym trudem i myślą prowadziła. Inna rzecz że dochód z niej nie mógł żadną miarą wystarczyć na wydatki połączone z tą gromadą dzieci i potrzebnym do ich wychowania personelem. Nauczyciel do starszych chłopców, wychowawczyni do młodszych, bona - Niemka, piastunka do najmłodszej Martuni, ubranie i kosztą leczenia dzieci, najrozmaitsze, jak Justyn nazywał „sztuczne nawozy”, używane do ich odżywiania, wydatki związane z ich nauką – wszystko to razem stanowiło poważne pozycje w budżecie, którym Lena przy najlepszej woli swoimi dochodami podoląć nie mogła, choć na swoje osobiste potrzeby wydawała stosunkowo niewiele.

Justyn też pracował solidnie i, jak teraz zupełnie swobodnie, bo ze strony Leny nie miał już czynionych żadnych w tym kierunku przeszkód. Jej dawny egocentryzm ustąpił w świetle zrozumienia dużych obowiązków, jakie na nich ciążyły. Inna rzecz, że, wychowana w dostatku i odsuwana w domu rodziców od wszystkich interesów, umiejętności ograniczania potrzeb ogólnych, ponad pewną miarę w zastosowaniu do rozporządzalnych wpływów z majątku oraz obniżenia tonu i skali życia Lena wykrzesać z siebie nie mogła. Nie to, żeby nie chciała, tylko rzeczy te nie dochodziły po prostu do jej świadomości.

A Borowiny przy całych swoich urokach oraz niezaprzeczalnych plusach gospodarczych oddychały ciężko. Przed wszystkim hipotecznie były mocno obciążone. Kupując je, Justyn musiał zaciągnąć pożyczkę kilkunastu tysięcy rubli; poza tym przejął duże należności Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego oraz resztę szacunku małoletnich. Razem miał hipotecznych zobowiązań ponad 75% szacunku, zapłaconego za majątek. Procenty więc same od nich wynosiły bardzo dużo. Wchodzenie w interes w tych warunkach było w ogóle rzuceniem się z motyką na słońce. Ale innego wyboru nie mieli. Justyn liczył na swoje młode siły, na pomoc Bożą i na pewne finansowe perspektywy z Brzozowa, wynikające zresztą głównie z dobrej woli siostry bo właściwie nic mu się już tam nie należało. Kawalek sprzedażnego lasu w Borowinach też reprezentował pewien większy grosz.

Tak więc hipotecznie już sytuacja Justynów była ciężka. A do tego każde wejście w nowy obiekt poza kosztami przeprowadzki pociąga za sobą znaczne zazwyczaj wydatki lokalne. Tu takich wydatków było dużo. Trzeba było przede wszystkim odremontować dom, potem zważywszy na małą jego pojemność, a duży liczebnie skład personelu, wykończyć nowo zabudowaną przez poprzednich właścicieli, a niedokończoną oficynę, dać podłogę w śpichrzu, przebudować chlew na większą ilość trzody, postawić nową kuźnię, bez której z

wielką stratą dla majątku, jakoś się dotąd obchodzono. To były wkłady w budynki, potrzebne do zrobienia od razu, nie mówiąc o tych, które przewidywane były na okres dalszy.

Jeżeli chodzi o inwentarz żywy, to wobec przyprowadzenia części jego z Basztowej Woli oraz możliwość zlikwidowania 12-tu wołów, które Justyn zastał na miejscu, a które trzymać nie chciał – wydatki, poza kupnem rasowego holenderskiego buhaja – nie były duże. Za to inwentarz martwy wymagał poważnego uzupełnienia. Poza szeregiem pomniejszych narzędzi musiano zaraz kupić siewnik rządowy, bez którego porządniej prowadzonego gospodarstwa niepodobna sobie wyobrazić, i nie zaraz, ale w pierwszych latach – parowy garnitur młocarniany. Konna kieratowa młocarnia, na której przez cały rok trzeba było bębnić po kilkanaście korcu ziarna, zupełnie już nie odpowiadała współczesnym potrzebom gospodarstwa. A to – wydatek duży. Mały kaliber lokomobili ówczesnej wiedeńskiej fabryki Hopherra i Schwanza z odpowiednią młocarnią kosztował bezmała 3,5 tysiąca rubli. Za to co to była za radość, kiedy maszyna zaraz po sprowadzeniu postawiona do owsa na polu, dawała prosto z mendli przeszło 30 korcy (bezmała 20 metrów) czystego ziarna na godzinę. Nie można było nadażyć zbierać go do worków i odwozić do siczra.

Aby móc podolać tym wszystkim wydatkom, Justyn musiał włożyć w gospodarstwo i interes duży wysiłek fizyczny i myślowy. Tym większy, że gospodarował sam z karbowym, bez rządcy. Wolał to trzymanie wszystkich nitki administracji w jednych rękach, niż podział odpowiedzialności i wyręczania się obcymi elementem, najczęściej z krzywdą dla gospodarstwa. Ale też nie miał chwili wolnej dla siebie. Wstawał ze wschodem słońca; wieczorem zapisywał rejestra i rachunki, w ciągu dnia z konia prawie nie zsiadał. Wyjeżdżona jego kasztanka od rana do wieczora stała pod siodłem.

X

Miewali też Justynowie czasem kłopoty i niepokój z tak skądinąd miłą ich i ukochaną Pilicą. W okresach większych deszczów albo gwałtownego topnienia śniegów tak zwykle cicha i niewinna, przybierać umiała postawę groźną i niebezpieczną. Nieobwałowana zupełnie, jak większość rzek w Polsce, wychodziła na sąsiednie pola, łąki i pastwiska, zabierając snopki o ile w tej porze były na polach, zamulając zasiewy, niosąc zwały piasku i ziemi. Poziom wód umiał się wtedy podnosić do 3-ch i 4-ch metrów. Dwór stojący na wzniesieniu, był od zalewu bezpieczny, ale dolna część ogrodu wraz z mieszczącą się w niej sadzawką, bywała nieraz pod wodą. Przelewała się ona wówczas i szumiała złowrogo. Z drugą stroną komunikacja wtedy bywała zupełnie przerwana, bo i brody naturalnie stawały się nieaktualne, i mosty, które o parę kilometrów od Borowin się znajdowały, bywały przez wodę i kry zagrożone. W latach bardziej mokrych potrafiło być czasem do 4-ch powodzi w roku.

Dla wsi Borowiny, leżącej nad samą rzeką, Pilica była specjalnie niebezpieczna, gdyż silniejszy napór wód obrywał łatwo jej brzegi. Ani usiłowania idące w kierunku zmiany kierunku krętej rzeki, ani stawiane ukośne tamy, ani wyłożenie od strony wsi na dużej

przestrzeni zakręty wielkimi ilościami kamieni nie dały rezultatu. Niektóre gospodarstwa wypadło przenieść na wyższe miejsce.

X

Intensywna praca na Borowinach, chociaż dawała Justynowi duże zadowolenie wewnętrzne i przeświadczenie, że robota idzie porządnie, czasem go już wyczerpywała. Zwłaszcza na przednówku, kiedy bywało najciężej z groszem, myśl była umęczona całoroczną szarpaniną, a potrzeby gospodarskie i osobiste bezlitośnie wołały swoje „daj” – przychodziły na niego okresy depresji fizycznych i duchowej. Tracił na kilka tygodni sen i apetyt. Widział wszystko w czarnych kolorach. Odstępowała go energia i chęć do pracy.

I wtedy lekarką i pocieszeniem o ratunkiem bywała dla niego – Lena. Ta sama Lena, która tam, w Basztowej Woli, była nierozumnym dzieckiem, przyczyniającym mu tyle udręk cierpienia, potrzebującym ciągłego kierunku i napomnień – tu stanowiła dla niego punkt oparcia i spokoju. Siadał przy niej blisko, opierał głowę na jej kolanach i żalił się jej, jak dziecko, ze swoich trosk, niepokojów i kłopotów. A ona, zamiast gniewać się na niego za to niemęskie niedołęstwo i bierność, znajdowała dla niego dużo zrozumienia, krzepiła jego siły moralne, dodawała otuchy i wiary. Więcej. Potrafiła dużą fizycznie podźwignąć go z tego stanu osłabienia i depresji. Ponieważ dużą ich część położyć należało na karb przemęczenia i wyczerpania, odsuwała go na pewnie czas od pracy, sama starała się go, w czym można było, zastąpić, odżywiała go intensywnie, kazała długo leżeć i spać. Czyniła to z takim zdecydowaniem, że nawet nie opanował. Pod tą dobroczynną ręką organizm wypoczęty i skrzepiony wracał po pewnym czasie do równowagi i zaczynał funkcjonować normalnie.

Za tę skuteczną pomoc w tych okresach i w ogóle za to całe tak dziś miękkie i ciepłe odniesienie Leny do niego, Justyn, tej miękkości, ciepła i serca tak bardzo potrzebujący, miał dla niej uczucie, pełne gorącej wdzięczności i przywiązania.

- Moje ty kochanie jedyne! Mój skarbie najdroższy!

Rozdział X

W tym życiu pracy i troski o byt miewali Justynowie – poza radością, jaką dawały dzieci – i inne chwile zadowolenia i rozrywki. W kilka miesięcy na przykład po sprowadzeniu się do Borowin otrzymali bardzo dla nich miły list od Józka Rozpierskiego, młodszego syna dawnego kucharza, dziś już kilkunastoletniego dorastającego chłopaka, w którym tenże daje gorący wyraz swej dodatniej i Justynach opinii, roli obywatelskiej, jaką spełniali oni w Basztowej Woli, oraz wdzięczności osobistej, jaką odczuwa dla nich, a w szczególności dla Leny, za nauczenie go czytania i pisanie oraz za inne świadczone jego rodzinie przez nią dobrodziejstwa. W liście pisze m.in., że nie mogąc w inny dostateczny sposób wyrazić im swoich uczuć, postanowił napisać dla nich wiersz.

Wiersz ten, o cechach wyraźnego starego panegiryku, zasługuje na przytoczenie, bo choć zdradza naturalnie, jak u prostego wiejskiego chłopka, duże usterki w formie – mówi o zdolnościach, jakie tkwią nieraz wśród nieoświeconego naszego ludu oraz o odczuciach jego prostych serc. Choć przesadny w treści, kiedy chłopak, ani jego rodzina, nie byli w żadnym stosunku zależności od Justynów, trudno dopatrywać się w nim, podobnie jak w towarzyszącym mu liście, cech jakiegoś celowego nieszczerzego pochlebstwa. Oto jak brzmiał ten charakterystyczny panegiryk z paru nieznacznymi, wprowadzonymi do oryginału stylistycznymi poprawkami:

Jagięło drugi z Jadwigą królowie,
Z rodów szlacheckich państwo Boguszowie,
Tak poświęceni dla dobra ludzkości,
Że dokonują cudów szlachetności.
Źródła łaski leją swych na ludzkie plemię,
Ich zasłużone słać będą imię,
Bo czynić dobrze – ich zwyczajem, wziętym
Z przodków. Niebo im zapłaci z procentem.
Gdy ich ostatnio wybiją godziny,
Błogosławić ich będą ziemskie syny.

Kochają kraj swój i mniejszych współbraci,
Dobrze ich czyny Pan Bóg im zapłaci.
Dusze ich wieńczy łask girlanda złota,
W sercach goreje wielkich czynów cnota.
W przybytki wieczne wiodą ich anioły,
Lud błogosławić będzie ich popioły,
Któremu świadczą dobrodziejstw tak wiele.
Czerpie pociechy z nich, jakby w kościele,
Staną w jasności ubłogosławieni,
Że dla maluczkich byli poświęceni.

Jak na zupełnego, poza pierwszymi danymi mu początkiem, samouka, to – dużo. Mieszkał teraz z rodzicami w Radomiu i uczył się rzemiosła. Po odpisaniu mu pisywał potem jeszcze kilka razy do Justynów.

Dawne ich basztowolskie stosunki znajdowały kontynuację i w innej formie. Zaprzyjaźnieni tam z nimi młodzi księża odwiedzali ich czasem w Borowinach po dwóch lub trzech. Bywało z nimi bardzo wesoło. Dzieci szczególnie bywały ucieszone piosneczkami, które im śpiewali. Nazwały jednego z nich, i trafnie, „księdze smutnym”, a drugiego „księdzem wesołym”. Ksiądz „smutny”, najwięcej Justynom albo Leny na fortepianie, wygrywał na nich różne smutne, ale też i wesołe piosenki.

Kiedyś ci dwaj księża, przyjechawszy w jakąś sobotę na dwa święta, chcąc jak zwykle w Starzechowicach, parafii Borowin, odprawić Mszę św., napisali zaraz z zapytaniem o to do miejscowego proboszcza. Ten odpowiedział, że aktualnie przeszkody żadnej nie ma, tylko, jeżeli chodzi o drugie święto, to on wyjeżdża z organistą na odpust do jednej z dalszych parafii i wobec tego prosi, żeby jeden z księży zechciał odprawić sumę, to

on od razu zawiadomi parafian, że nabożeństwo pomimo jego nieobecności odbędzie się według zwykłego porządku.

Tak się też stało. Całe Borowiny wybrały się do kościoła. Ksiądz Bronisław Ewert (ksiądz smutny) mający miły bardzo głos, odprawił sumę śpiewną, wesół ksiądz, Kazimierz Sękalski wygłosił tak wzruszające kazanie, że się cały kościół popłakał, w braku organisty Justyn grał na organach, a starsi chłopcy, Janusz i Tomek, służyli do Mszy. Cała więc obsada nabożeństwa była Borowińska, tak też je popularnie nazwano. Zadowolenie było powszechne. Przez cały miesiąc parafia miała co do mówienia.

Ze swoim proboszczem Justynowie utrzymywali zawsze bliski sąsiedzki stosunek. Bywali też dość często w niedalekich Rzeczkach u pp. Grabkowskich, którzy, mając dzieci, lubili dla nich i okolicznej młodzieży urządzać różne zabawy, spacery konne, wycieczki na leżącą na terytorium ich majątku malowniczą górę bukową itp. Najbliższy jednak stosunek łączył ich zawsze od początku z domem Maciejostwa Kowerskich, z którymi znali się od wielu lat. Ponieważ oni prowadzili dom dosyć otwarty, mieli tam możliwość Justynowie poznać wiele osób.

W Mroczkowie, ze względu na oddalenie i trudności komunikacji bywali dosyć rzadko, częściej natomiast odwiedzali Brzozów. Raz nawet Justyn, mając w tym czasie jakieś dłuższe wyjazdy, zostawił w nim Lenę na cały tydzień. Bawił tam wtedy akurat zdolny artysta – muzyk z Krakowa, kuzyn ich Zygmunt Przyborowski, więc Lena, lubiąca poważną muzykę, miała dużą przyjemność. Rozstanie z Justynem oblała łzami, ale były to łzy miłe, serdeczne, płynące z uczucia, a nie z chorych, jak dawniej, nerwów i hysterii. Żeby ją trochę rozzerwać Justyn zaraz po wyjeździe przysłał jej zamiast listu następujący żartobliwy wierszyk:

Stała Dzidka w oknie, łzy gorące lała,
Że swego Justysia na tydzień zegnała.
Nie płacz, mała, nie płacz, szkoda twoich oczek.
Tydzień – nie miesiąc, miesiąc – nie rok.

Wszak się zobaczymy, do Bóg, w dobrym zdrowiu,
Zanim się miesiąc odmieni na nowiu,
Ty się dobrze czujesz z Justową rodziną,
Jemu przy zajęciu – chwile prędko miną.

Otrzyj z łez oczęta, zapomnij rozstanie,
A swoją tęsknotę utopisz w Schumanie,
Co ci go artysta spod serca dobiedzie,
Gdy do fortepianu z wieczora zasiędziesz.

O mnie się nie kłopotz, bo będę uważał,
Bym swego zdróweczka na szwank nie narażał.
Będę żył przykładnie, jak żyją Kartuzi,
A w sobotę wieczór damy sobie ... buzi.

W niedługi czas potem przyszły na Brzozów przygniatające przeżycia. Rozchorował się ciężko na tyfus i wkrótce umarł, ukochany syn Pii, Staś, już 13-letni wówczas chłopak. Dobry, słodki, do matki całą duszą przywiązany. Rozpacz biednej Pii nie miała granic. Posiadała po stracie męża jego tylko, jako jedyną pociechę. Cierpienie jej było tym głębsze, iż wyrzucała sobie – zresztą zupełnie niesłusznie – że była dla niego w prowadzeniu go zbyt surowa. Pia w charakterze miała – przeciwnie – wielą słodycz i łagodność, tylko podobnie, jak kiedyś jej matka, mając syna jedynaka, czuwała nad tym, żeby go przez zbyt miękkie chowanie nie rozpieszczać i nie osłabiać w nim poczucia wewnętrznej dyscypliny i obowiązku. Umacniała ją w tym kierunku kuzynka, Ola Przyborowska (siostra artysty – muzyka), która od szeregu lat mieszkała w Brzozowie, pomagała Pii w prowadzeniu u nauce Stasia i była rzeczywiście dla niego, podobnie zresztą, jak dla siebie samej, dość wymagająca i surowa. Jeżeli kto więc, to ona mogła sobie wymawiać swój zbyt może suchy stosunek do Stasia, ale i do tego w gruncie rzeczy nie było powodu, gdyż stosunek ten był wynikiem jej natury i usposobienia przy najlepszej skądinąd dobrej woli.

Bardzo prędko za Stasiem odeszła jego babcia, matka Justyna i Pii. Po sumiennie przepracowanym i oddanym dla innych życiu i śmierć miała spokojną i wysoce chrześcijańską. Justynowie na wiadomość o niebezpiecznym jej stanie pojechali do Brzozowa, ale już trafili na pogrzeb. Kościół był przepełniony. Piękną i trafnie ujętą mowę pogrzebową wygłosił w kościele proboszcz miejscowy. Jedną z sąsiadek zamieściła wkrótce potem artykuł w prasie, charakteryzujący jej święte życie, pełne miłości, ofiary i poświęcenia.

Zerwała się ostatnia nitka, wiążąca Pię z życiem. Ostatni jego cel usunął jej się spod nóg. Kochała bardzo ziemię i Brzozów, ale do dóbr materialnych nie przywiązywała większej wagi. Duszą była ze swoimi zmarłymi i w modlitwie. Ciosy jakie ją dotknęły, wypełniły tę duszę pokornym poddaniem się woli Bożej i kontemplacją religijną. Kochała bardzo brata, ale ponieważ on miał swoją rodzinę, nie czuła się bezpośrednio mu potrzebną. Zaczęła w niej kiełkować i prędko dojrzewać myśl poświęcenia się służbie Bożej w życiu zakonnym. Z klasztorem Sióstr Niepokalanek takimi była serdecznymi nićmi związana.

Ale pierw musiała niektóre świeckie rzeczy poporządkować. Przede wszystkim ufundowała na cmentarzu parafialnym piękne płyty nagrobkowe z czarnego granitu dla męża, którego ciało było tu w swoim czasie przewiezione z Warszawy, syna i matki. Otoczona balustradą i obsadzona kwiatami całość grobu rodzinnego, obejmującego i dawniej postawiony pomnik Feli, wyglądała rzeczywiście bardzo pięknie.

Następnie postanowiła sprzedać Brzozów, poruczając tę czynność bratu. Miał on by naturalnie możliwość, gdyby chciał, utrzymać się przy tym rodzinnym kawałku ziemi z wszelkimi udogodnieniami, ale Justynowie, kupiwszy już Borowiny i tak się do nich przywiązali, nie chcieli się już ich dla Brzozowa pozbywać.

W całym wyjściu z interesów Pia wykazała wiele uczuć rodzinnych. Jeszcze za życia matki, rozparcelowawszy dla spłaty zobowiązań kawałek oddalonych pól w Brzozowie, wypłaciła Justynowi – choć ją to zupełnie nie obowiązywało – kilka tysięcy rubli tytułem zwiększonego szacunku ziemi. Potem, po śmierci matki, uznała za słuszne podzielić się z bratem jej dożywociem, wreszcie teraz, gdy postanowiła wstąpić do klasztoru, połowę uzyskanego szacunku za majątek przeznaczyła dla Justyna (który przecież w swoim czasie przypadającą na niego część z Brzozowa w postaci przejęcia praw do Basztowej Woli otrzymał), a tylko połowę, jako przyjęty przez zwyczaj, a pożądaný przez każde zgromadzenie zakonne posag wniosła do klasztoru.

Poza tym obdarowaniem brata Pia przeznaczyła 30 morków najlepszej ziemi dla Oli Przyborowskiej z tytułu jej zajmowania się Stasiem oraz ustanowiła legaty dla całej służby folwarcznej, wynoszące najmniej po 100 rubli na jednostkę.

Brzozów przeszedł w bardzo solidne, uczciwe i pracowite ręce, jednego z członków rodziny zmarłego męża Pii. Wypłacił on się w zupełnym porządku. A w jak subtelnie delikatny sposób nowonabywcy traktowali sprawę wejścia w rodzinny majątek Boguszów, świadczy fakt następujący. Dom w Brzozowie był bardzo stary, szczupły i niewygodny. Dotychczasowi właściciele, zważywszy na sentyment, jaki ich z nim łączył, przyzwyczajenie, mały zresztą liczebnie skład domu, nie myśleli o zmianie. Ale nowonabywcy pp. Skorzeckim, nie mógł wystarczyć i postanowili zastąpić go nowym. Piszą tedy do Justyna, że, widząc jak rodzina jego była przywiązana do starego domu, proponują i serdecznie proszą, aby zechciał on celem pożegnania starych kątów, przyjechać z całą rodziną do Brzozowa (Pia już wtedy była w klasztorze). Justynowie tą niezwykłą propozycją byli naprawdę wzruszeni. Pojechać jednak wtedy nie mogli. Dopiero w parę lat później, kiedy nowy dom był już postawiony, Justyn pojechał sam. I trzeba było widzieć pietyzm, z jakim nowi właściciele odnosili się do tego, co było w Brzozowie wczoraj. Pan Skorzecki już wtedy nie żył, ale ona – śliczny typ dumnej sienkiewiczowskiej Oleńki – tłumaczyła się niemal z każdej dokonanej zmiany. „To drzewo musieliśmy wyciąć, bo to i to. Tę ulicę w ogrodzie musieliśmy wyciąć, bo to i tamto”. „Proszę pani – mówił Justyn – a któryż nowonabywca tłumaczy się z tego, co robi w kupionym majątku? Jest to wszak jego pełnym prawem. To już trzeba tak wyjątkowej subtelności, jak państwa”. A kiedy pojechali na cmentarz, żeby odwiedzić drogie groby okazała się, że są one utrzymane cudownie. Pełno kwiatów, sprzątnięte, wymiecione czyściutko, jakby wczoraj Pia wyjechała. Jakiż to rzadki dowód wysokiej subtelności i kultury duchowej. Choć go serce o stary domek bolało, pod najmiłszym wrażeniem wyjeżdżał wtedy Justyn z Brzozowa.

Rozdział XI

Życie w Borowinach płynęło swoją koleją. Gospodarstwo się podnosiło. Justyn ulepszał łąki, szlamował sadzawki, sadił lasy, wziął pod uprawę kilkadziesiąt morgów z dotychczasowych nieużytków, osiągając na nich na nawozach sztucznych i zielonych zupełnie dobre tzw. „wieczne” żyta, prostował i ulepszał drogi. M.in. celem podniesienia estetyki otoczenia dworu, do którego jedyny dotąd dojazd prowadził przez podwórze

gospodarskie, przebił wprost ganku domu przez dotychczasowe pole i wysadził klonami i jesionami nową drogę od strony wsi i czworaków. Z czasem po rozrośnięciu się drzew mogła się w ten sposób utworzyć z jednej i drugiej strony ładna perspektywa dość długiej alei. Konie formalskie – poza paru okresami wyjątkowo ciężkich, wskutek mokrych lat, robót w polu – trzymały się doskonale, a podobierane maścią czwórkami, robiły efektowne wrażenie. Krowy, zupełnie już wyrównane w kierunku nizinym, podciągnięte w typie przez kupno paru partii rasowych jałówek, żywione dobrze nie tylko w lecie, ale i w zimie, i wyglądem i mlecznością wybiły się na czoło obór okolicznych. Dużą pomocą w tym podnoszeniu gospodarstwa były dla Justyna te parokrotne wpływy gotówki z Brzozowa, bo sam dochód z gospodarstwa przy wysokich procentach od zobowiązań, na inwestycje i duże potrzeby domu wystarczył by żadną nie mógł miarą.

Poważną rubrykę w wydatkach, ale też i wielką sumę radości w życiu Justynów stanowiły dzieci. Bądź co bądź była ich już piątka. Zdolne na ogół z natury, inteligentne, rozwijały się i umysłowo i fizycznie zupełnie normalnie. Starsi chłopcy, Janusz i Tomek, w wieku 9-10 lat, przechodzili z korepetytorem kurs pierwszych klas gimnazjalnych i przed wakacjami dla kontroli zdawali egzamin szkołach kieleckich. Młodszy – Jacek i Andrzejek, mając 7-8 lat, pobierali początki nauki w domu z wychowawczynią. Te pomocnice Leny często dość zresztą się zmieniały. Była panna Tola, panna Antonina, wreszcie najdłużej – panna Zofia. Oprócz nich była przez kilka lat Niemka Fryda. Wszystkie młode i przystojne. W ostatnim czasie została przyjęta młodzianka ładna pokojówka, Dorotka. Ponieważ jednocześnie bywali i młodzi korepetytorzy starszych chłopców, więc Justynowie musieli czuwać, żeby figlarny amor swoich zabójczych strzał nie rozpuszczał. Ale szczęśliwie – nie. Bywały sympatie, nic więcej, a jeżeli – więcej, to w stylu zupełnie poważny,. Tak było z panną Antoniną. Podczas jej pobytu przyjechał nowy korepetytor, brzydki, jak nieszczęście, przy tym filozof z usposobienia, nie zdradzający żadnych erotycznych skłonności. „No, teraz przynajmniej, pod tym względem będziemy mieli spokój” – myślał Justynowie. W parę miesięcy już byli zaręczeni, a w rok się pobrali.

Szczególne i tragiczne były losy jednego z pierwszych nauczycieli chłopców, młodego Lityńskiego, podczas jego pobytu w Borowinach. Był to chłopak zupełnie niezamożny o przekonaniach nieco, ale nieszkodliwie lewicowych, przy tym jednak charakter wyjątkowo dobrego, miękkiego, szlachetnego, delikatnego. Chłopcy go bardzo polubili. Studiował na politechnice we Lwowie, a że nie miał środków na to, żeby siedzieć w mieście, więc się uczył na wsi. A jeździł tylko zdawać egzaminy. Kiedyś, pojechawszy, w oznaczonym terminie nie przyjechał. W kilka dni od rodziny jego przysłała wiadomość, że został aresztowany na granicy. Dla oszczędności jechał bez paszportu. I w ten sposób nielegalnie jadącemu, pozbawionemu przy tym wszelkiego tupetu i zaradności, zbrodniczy – bo już inaczej nie można powiedzieć – koledzy napchali, korzystając z jego dobrej woli i nieumiejętności sprzeciwienia się, pełną walizkę pism nielegalnych, znaczków na drużyny strzeleckie, książek traktujących o dyslokacji wojsk rosyjskich itp. Wszystko to przy rewizji znaleźli, podciągnęli winę jego pod najcięższy paragraf zdrady stanu i odstawili do Cytadeli do Warszawy, poruczając sprawę jego sędziemu śledczemu do spraw szczególnej wagi, Orłowski.

Justyn, chcąc ratować chłopca, pojechał do Warszawy, dotarł – nie bez ryzyka wplątania i siebie w tę niebezpieczną sprawę – do tego Orłowa i w rozmowie starał się wszelkimi możliwymi argumentami udowodnić, że Lityński, jeżeli zawinił, to tylko jako czyjeś narzędzie, a nigdy jako świadomy agitator i wywrotowiec. Orłow przyznał, że to jest ostatni człowiek, który by się nadawał do tego rodzaju roboty. Zrozumiał pobudki, dla jakich Justyn tą sprawą się zainteresował, i nie zdradzał w stosunku do niego jakichś zaborczych zamiarów. Przeciwnie, był bardzo uprzejmy, ułatwił Justynowi widzenie się z więźniem, obiecał, że co będzie można zrobić dla ulżenia jego losu, ale otwarcie powiedział, że wobec tak obciążających okoliczności największym złagodzeniem kary, jakiego można oczekiwać, byłoby zamiana ciężkich robót na wieloletnie osiedlenie na Syberii. Biedny chłopak w tak młodym już wieku, bez istotnej – poza lekkomyślną uступliwością – swojej winy miał doświadczyć twardej ręki zaborców.

Z tym Orłowem zdarzył się Justynowi osobliwy rzeczywiście incydent. Chcąc mu podziękować prywatnie za okazaną w sprawie Lityńskiego uprzejmość, oraz usposobić go przychylnie na przyszłość, o ile jego interwencja byłaby jeszcze potrzebna, Justyn postanowił zajść na chwilę do niego do domu. Mieszkał o kilka domów od matki Leny, Komarowej, u której się za bytnością w Warszawie Justynowie zatrzymali. Kiedy służąca drzwi otworzyła, dał jej z pugilaresu bilet wizytowy celem zameldowania. Po chwili Orłow wyszedł, porozmawiali kilkanaście minut i Justyn wrócił do mieszkania, którego adres był Orłowowi znany. Upłynęło zaledwie kilka minut – dzwonek. Justyn, będąc akurat blisko drzwi – otworzył. W drzwiach stał Orłow z pugilaresem Justyna w rękę. „Zostawił go pan u mnie, a ponieważ widzę, że są w nim dokumenty i pieniądze, więc go sam odnoszę”. Justyn się zdumiał. Nie był dystraktem, i nigdy jeszcze w życiu nie zdarzyło mu się coś podobnego. Widocznie po daniu służącej biletu zamiast do kieszeni włożył portfel obok kieszeni i niezauważony w ciemnym przedpokoju upadł on na dywan. Ale wszędzie nieprzyjemny, u sędziego śledczego wypadek ten mógł być w dodatku niebezpieczny. Mogły być w portfelu jakieś kompromitujące notatki czy dokumenty, które mogły wpaść w jego ręce i zaszkodzić nie tylko jemu, ale i Lityńskiemu, mógł wreszcie Orłow zrozumieć, że to była chęć dania mu łapówki i, o ile do tej kategorii ludzi nie należał, wyprowadzić z tego niepożądane konsekwencje. Szczęściem losu ten pozostał bez wszelkich złych skutków.

Chłopcy bardzo odczuli stratę Lityńskiego. Nie tylko go lubili ale i słuchali, gdyż jego łagodny sposób podejścia i wyrozumiałość na ich przewiny odpowiadały ich psychice. Natury rogate, samowolne i impulsywne, nie znosili nakazu i bardziej surowego potraktowania. Zaraz następował bunt i reakcja. Kiedyś, gdy Justyn gdzieś wyjechał, a następcą Lityńskiego, p. Dąbrowski ostro do nich się zwrócił, po prosty go pobili. Justyna była wina, usprawiedliwiona po części jego zaabsorbowaniem pracą, że jeszcze w Basztowej Woli mieli po 3-4 lata, nie nauczył ich szanowania autorytetu tych, którzy nimi kierują. To jest do oddziaływania na dzieci wiek najbardziej odpowiedni. Później już się tego nie odrobi, czego się wtedy zaniedba.

Lena na punkcie kar dla dzieci była niezmiernie drażliwa, nie rozumiejąc, że dziecko o żywszym temperamencie o bogatszej indywidualności, którą kieruje serce, i bezwzględnie sprawiedliwa. Kiedyś, gdy starsi chłopcy za jakieś uporczywe rzucanie kamieniami do kur dostali od ojca bardzo zresztą mało dotkliwą admonicję różgą, podniosła krzyk taki, że go na końcu wsi było słycać, z powodu, iż ona nie pozwoli swoich dzieci bić. Tak jakby to były rzeczywiście tylko jej dzieci, a ten ktoś nie miał też ich dobra i rozwoju charakteru na myśli. Był to wyskok jej impulsywnego temperamentu, niemniej uzewnętrzniona choć raz tak rozbieżność osądów rodziców, pedagogicznie działa na dzieci fatalnie.

Sylwetka duchowa młodszej pary chłopców zbliżona była do starszych. Choć się bardziej kochali, w jakiejś sprzeczce potrafili jeden drugiego motyką głęboko rozciąć głowę. Justyn twierdził, że we wszystkich nich, podobnie jak i w matce, tkwił jakiś pierwiastek dzikości, odziedziczony po przodkach tatarskich. 8-letni Jacek miał tylko to, że napomniany przez matkę o tę swoją prędkość, starał się z sobą walczyć i nieraz w porę się opanowywał.

Serce miał złote i ojca kochał bardzo. Oto – jego pierwszy wierszyk do niego na imienny:

Czy jest w świecie drugi tatuś, tak dzieciom oddany
Jak nasz dobry, jak nasz drogi Tatusiek kochany?
On ma zawsze dla nas uśmiech, słowo żartobliwe,
Przy nim całe życie nasze jest jasne, szczęśliwe.
Toteż starać się będziemy byśmy w każdej chwili
Tak dobrymi i zacynymi jak nasz Tatuś byli.

Jacek miał słuch doskonały. Uczył się z ojcem gry na fortepianie, a grał doskonale na harmonii, którą dostał na gwiazdkę.

Lena wpadła na szczęśliwą myśl, żeby z obydwoma młodszymi chłopcami spisywać co dzień ich dobre i złe czyny. Dziecko wyrabia sobie w ten sposób samowiedzę duchową, samokrytycyzm i opanowanie; przewalcza przy tym skrytość i uczy się przed najbliższymi przyznać się do winy, co dzieciom ambitnym, jak te, przychodzi nieraz z duża trudnością.

Justynowi system tych dzienniczków dziecinnych bardzo trafił do przekonania. Oto jakie na przykład złe i dobre czyny były w dzienniczku Jacka zanotowane:

Umyślnie zrobiłem przykrość Natalce (niani). Kłóciłem się z Andrzejkiem i trochę się gniewałem na Mamusię. Śpiąco miałem lekcję. Kuksnąłem pannę Frydę. Niemieckiej lekcji mieć nie chciałem i kłóciłem się z panną Frydą. Nie przyszedłem do Mamusi na czytanie, tylko się bawiłem. Andrzejka uderzyłem ze złości. Ubierałem się z szaleństwem. Nie powstrzymałem się i złapałem Andrzejka i z tego była kłótnia.

Uczyłem się starannie i z życiem. Parę razy posłuchałem od razu, choć nie miałem ochoty. Przemogłem się przy czesaniu. Słuchałem od razu i poszedłem od razu na lekcję. Powstrzymałem się od posądzenia Michasi (kucharki), że mi zjadła bułkę. Chciało mi się

popchnąć Natalę, jak mi stała na drodze, ale nie popchnąłem. Wstrzymałem się od oddania Tomkowi. Wstrzymałem się od walnięcia Michaliny za to, że mi złamało trzcinki. Oddałem Andrzejkowi trzcinkę, choć strasznie mi się nie chciało. Wstrzymałem się od grania gam inaczej, jak mi Tatuś kazał. Uczyłem się na piątkę. Wstrzymałem się od strzelania do Michali. Miałem ochotę odejść od Mamusi, jak Mamusia usnęła, ale się strzymałem. Wstrzymałem się od kuksnięcia Natali za wzięcie kredki.

Podobne były wynurzenia w dzienniczku i półtora młodszego, a tym samym wzorującego się na starszym bracie, Andrzejku.

Drażniłem się z Dzidzią (Martunią). Bardzo pokłóciłem się z Jackiem i po obiedzie bardzo się z nim biłem. Dałem Natali parę kułaków. Ubierałem się nieporządnie, niegrzecznie i długo. Nie słuchałem i nie chciałem posprzątać. Kuksnąłem Natalę i uszczypnąłem ją. Nie dbałem o Mamusię. Klóciłem się z chorą panną Frydą, schowałem jej pończochy i nie zamknąłem drzwi, jak mnie prosiła. Dokuczałem bardzo Dzidzi i Freulainie. Ugryzłem Frydę. Byłem bardzo niegrzeczny – lekcji mieć nie chciałem.

Przemogłem się i choć mi się nie chciało, przeprosiłem Tomka. Przemogłem się i zjadłem zupę. Znalazłem Frydzie klucze i zrobiłem Dzidzi budkę. Zawołałem Jacka zaraz, jak panna Fryda kazała. Ustąpiłem Jackowi. Opowiedziałem Dzidzi bajkę.

Charakterystyczne te wynurzenia chłopców, świadczą o ich impulsywności, pewnej dzikości, ale jednocześnie o ich dobrym sercu, woli i usiłowaniu wewnętrznego opanowania.

Najmłodsza Martunia w tym czasie była jeszcze małym 3-letnim dzieckiem. Była czerstwa, zamaszysta, grubiutka. W krakowskim ubraniu, w jaki często chodziła, robiła wrażenie zażywej wiejskiej gospośi. Braciom, którzy jej nieraz dokuczali, odcinała się dzielnie.

Justyn, któremu i dzieci wlewały dużo otuchy i radości, i sam w sobie miał teraz o wiele więcej wewnętrznej pogody, niż w Basztowej Woli, pozwalał sobie nieraz na oderwanie myśli od spraw codziennego życia w zupełnie inną stronę. Lubił m.in. odgadywać szarady, zamieszczone od czasu do czasu w prenumerowanym stale przez Justynów „Kurierze Warszawskim”. A że miał trochę zdolności rymotwórczych, więc, zgadując wszystkie szarady, wszystkie również rozwiązania posyłał wierszowane, najczęściej w duchu społecznym. Było tego dość dużo. Otrzymał z tego tytułu od redakcji parę nagród książkowych i wiele pochlebnych wzmianek w dziale szaradowym „Kuriera”.

Do tego też czasu należy zaliczyć długi, zajmujący, cały dość gruby zeszyt, wiersz Justyna pt. „Borowiny”, poświęcony w całości opisowy ich uroku, położenia nad brzegiem Pilicy, otoczenia dworu i urządzeń gospodarskich. Utrzymany jako całość w tonie opisowym, zawierał ustępy żartobliwe i liryczne, kończył się zaś w sposób następujący:

I nam, Panie, na tej roli zechciej błogosławić,
Byśmy mogli przy niej zostać, dzieciom ją zostawić,
Miłego kawałka ziemi lekko nie zmarnować,
I placówkę z białym dworkiem dla kraju zachować.

To zakończenie było odbiciem stałej przewodniej myśli Justyna w jego w Borowinach pracy.

Wierszem tym zainteresował się kierownik działu poetyckiego „Kuriera Warszawskiego”, poeta T.K. i miał chęć, opuszczając bliższe szczegóły, zamieścić go w skróceniu felietonie „Kuriera Warszawskiego”, ale obfitość materiału, wpływającego do redakcji sprawiła, że ostatecznie miejsce dla niego się nie znalazło.

Pracą społeczną w tym przedwojennym okresie Justyn też się trochę zajmował. Pełnił funkcję Delegata Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego na powiat Konecki, był członkiem Komisji Kontroli Obór przy Związku Hodowlanym Towarzystwa Rolniczego w Radomiu, piastował wreszcie godność prezesa Kółka Rolniczego w Włoszczowie. Kółko to było dość ruchliwe, sprowadzało dla członków po przystępnych cenach narzędzia i nawozy sztuczne, urządzało kursy rolnicze i t.p. w Częstochowie. „Głos Ludu”, w którego rejonie znajdowała się Włoszczowa, bardzo pochlebnie wyrażał się o działalności Kółka i jego prezesa.

Widząc owocną pracę Kółka Włoszczowskiego, Justyn postarał się o założenie podobnego Kółka w swojej parafii Starzechowicach, wojna jednak, która wybuchła w połowie 1914 roku, przeszkodziła rozpoczęciu jego działalności.

X

Na parę miesięcy przed wojną przybyła Justynom druga córka, Teofilka. Lena nie sprowadzała już do niej żadnej „pani” z dalekiej Warszawy. Wystarczyła osoba z sąsiedniego miasteczka, która nie tylko okazała się bardzo uzdolniona w swojej specjalności, ale znała się również dobrze na gospodarstwie kobiecym i z powodzeniem zastępowała Lenę, zarówno przez czas jej choroby, jak i później. Piastunkę przy małej została dawna Natałka, która już chowała Martunię. Funkcję pokojówki pełniła ładna i zdatna Dorotka z Karczewa.

Częściowo nauką chłopców, a częściowo wyreczeniem Justyna w gospodarstwie przy jego częstszych wyjazdach, zajmował się w tych ostatnich przed wojną miesiącach syn sąsiedniego dzierżawcy, przeszłoroczny maturzysta gimnazjum kieleckiego, zamierzający dalej kształcić się w zawodzie rolniczym, p. Włodzimierz Szablowski.

Rozdział XII

I przysła wielka wojna europejska 1914 roku. Ciche dotąd życie nie tylko Borowin, ale całej okolicy, wstrząśnięte zostało do głębi. Ostatni dzień lipca był dniem powołania do

służby ludzi i koni. Zakotłowało się na wsi i we dworze. Lamenty, pożegnania, płacze. Kucie koni, szykowanie wozów i paszy.

W ówczesnej stolicy Borowin, Przedborzu, ruch gorączkowy. Wprost panika. Ewakuowana poczta. Powyrzucane z niej i podarte papiery, aż biało na ulicy. Pozrąbywane słupy i pozrywane druty telegraficzne. Bo Niemców tylko patrzeć. Dziś, jutro mogą wejść.

Ale jeszcze nie weszli. Jeszcze wpierw natura, harmonizując z ogólną sytuacją, sama w groźnej wystąpiła postawie. 6-go sierpnia, w samo Przemienienie Pańskie, wraz z niezwykle burzą spadł tak silny grad, że zniszczył w całej okolicy wszystko, co jeszcze zostało na polu. Mało tego. W dwa tygodnie później – 21 sierpnia – wśród pięknej pogody zaćmione słońce, ponurym mrokiem okrywszy ziemię, fantastyczne światło rzuciło na zastępy wojsk niemieckich, wkraczających na teren Pilicy. Następnego dnia wśród cudnego brzasku ponury Zeppelin skontrolował okolicę i popłynął cicho w kierunku wschodnim.

A w dwa dni potem późnym wieczorem przyszło do Justyna z gminy zawiadomienie treści następującej:

Z rozporządzenia komendantury wojsk niemieckich proszę wysłać pod odpowiedzialnością praw stanu wojennego 6 podwód do Przedborza w niedzielę 24 sierpnia na godzinę 3-cią rano. Na każdej podwodzie ma się znajdować dwóch ludzi, siekiera i łopata.

Nie ma rady. Pomimo ciemnej nocy trzeba zwoływać ludzi, szykować konie i wozy i ruszyć na nieznaną wyprawę. Okazało się, że podwód użyto do przewiezienia piechoty niemieckiej do Końskich, a ludzi – do układania pomostu z zarekwirowanych w tartaku miejscowym desek na kawałku drogi piaszczystej pod samym miastem na szlaku szosy Radomsk – Końskie. Kawałek ten z racji, iż miasto nie chciało dać potrzebnych funduszy, przy budowie szosy w swoim czasie pominięto. W kilka dni potem stanął w Przedborzu obok starego – nowy most na Pilicy dla przemarszów wojsk i artylerii.

I to było pierwsze wejście Niemców w te strony. Korpus, który już tędy nie wracał, bo podobno w znacznej części wyginął na terenie b. Kongresówki.

Z końcem września przyszła od zachodu druga fala wojsk niemieckich, ale właśnie w tej okolicy spotkała się z oddziałami rosyjskich kozaków. Były potyczki pod Włoszczową i Przedborzem. Przez kilka dni widziało się wiele samolotów, wojsk i obozów niemieckich, posuwających się ku wschodowi. I znów zaległa cisza, tylko z dala dochodziły słabe armatnie wystrzały. Cały miesiąc październik, w tej okolicy spokojny, był okresem wielkich zmagania się przeciwników w centrum b. Kongresówki, nad Wisłą, pod Dęblinem i Warszawą.

Pod wsiach okolicznych, korzystając ze względnego spokoju, zabrano się pospiesznie do wykonania jesiennych robót gospodarskich. Powykańczano resztę zapóźnionych wskutek braku inwentarza siewów. Justyn wykopał szczęśliwie kartofle i buraki, tylko upraw przed

zimą miał jeszcze sporo do wykonania. I nie zdołał ich pokończyć, bo z końcem miesiąca cała niemal robota stanęła zupełnie.

30 października dały się słyszeć pierwsze bliższe armatnie wystrzały w stronie Kielc i Małogoszcza, dowodząc, że Niemcy muszą być w odwrocie i napierani. I istotnie przez kilka dni odstępowali oni wśród gęstych strzałów przez Przedbórz i Włoszczowę. Odwrót swój znaczyli łunami pożarów. Spłonęły budynki stacyjne wzdłuż niedawno otwartej kolei Herby – Kielce, spłonęły w Przedborzu skład desek i nowo zabudowany most na Pilicy; zniszczono wiele innych mostów na drogach bocznych.

Ciche, z dala od komunikacji położone Borowiny nie doznały dotąd bezpośrednich wrażeń wojennych. Raz przyszło dwóch Niemców i zabralo dwa konie pod wierzch. Drugi raz przyjechał zapytać o owies olbrzymi, niby Walgierz Wdały, na wielkim również koniu żołnierz w pikelhaubie. Kiedy indziej przejeżdżał nie zatrzymując się prawie wcale, konny patrol niemiecki. I zazdrozczono Justynom teraz tego, co wpierw wytykano, że Borowiny leżą na uboczu, z dala od bardziej uczęszczanych traktów, nad rzeką, przez którą żadnego mostu nie było.

We dworze borowińskim życie, choć kulawo, toczyło się swoją koleją. Justynowie pracowali jak mogli, dzieci się uczyły, głodu dotąd nie zaznali, Lenę tylko, która bardzo dbała o potrzeby dzieci, silnie bolało to, że i ile chodzi o to, co wieś daje, ale o sztuczne preparaty odżywcze, których dużo, zwłaszcza najmłodszym dzieciom dawała, nie mogła ich w dostatecznej ilości, a czasem zupełnie dostać. Okazje do miasta na wsi więcej, niż obawy wojenne, których nie brała, Bogu dzięki, nerwowo i przesadnie, choć położenie Borowin nad samą dużą rzeką mogło być niebezpieczne za względu na możliwość obrony linii tejsze rzeki.

Ale niedługo już sądzone było Justynom cieszyć się tą względną ciszą. W pierwszym tygodniu listopada, na drugi dzień po wyjściu z sąsiedniej wsi za rzeką silnego oddziału Niemców z piechotą, konnicą i artylerią, stanął we dworze borowińskim i na wsi patrol kozacki. Nazajutrz przyszło kilka secin kozaków, nędznie wyglądających na biednych małych koniach i pojechali brodem za rzekę.

Tegoż dnia zjawił się dały pułk 1-szej rosyjskiej grenadierskiej dywizji. Pułkownikowi i oficerom dało się kwatery we dworze, żołnierze z armatami i karabinami maszynowymi stanęli na wsi. Mieli wyjść na drugi dzień ku Częstochowie, ale że piechota nie mogła przez wodę, saperzy zbudowali prowizoryczny most na Pilicy z materiału miejscowego, przeważnie żerdzi i płotów, który jednakże z trudnością już zniósł małe jednokonne wózki, a o armatach i ciężkich wozach z amunicją mowy już być nie mogło. Z wielkim trudem przeciągnięto je piaszczystym brodem.

Na trzeci dzień w domu Borowińskim pełno znów było gości. Sztab 1-sej grenadierskiej dywizji. Dwóch generałów, oficerów, kilkunastu w domu i w oficynie, pisarze, telefoniści, ordynansi, kucharze. Podwórze pełne wozów, kuchni i obsługujących je żołnierzy. Stodoły i budynki inwentarskie wprost zapchane końmi, należącymi do sztabu i

brygady artyleryjskiej. Przez parę dni i nocy nawet arystokratyczne Justyna czarno – srokaty dójki musiał stać na okólniku. Od rana do wieczora ruch, zgiełk, krętanina. Przymusowa sprzedaż owsa, siana, słomy, kartofli, krów, drobiu. Rekwizycja koni. Młocka przez żołnierzy owsa ze stert, z której wszelako małą mieli po gradzie pociechę. Nawet w niedzielę nie stanęła robota, a gwizdek lokomobili brzmiał donośnie na całą okolicę.

Na wsi – jeden olbrzymi obóz, że precyzyjnie się trudno. Stoją długimi rzędami poprzywiązywane do lin konie obozowe i artyleryjskie. Obok nich – armaty, wozy i jaszczki z amunicją, w równe szeregi wyciągnięte. Ruch i krzątanina nie mniejsze, jak we dworze. Nawoływania, spory, targi i żale, gdy nabywcy czasem obejść się chcą bez pośrednictwa pieniędzy. Ryk bydła, prowadzonego całymi dziesiątkami na rzeź i zarzynanego bez ceremonii na każdym miejscu, gdzie z potrzeb kuchennych wypadało. Trzask płotów i parkanów, łamanych i rzuconych na ogniska, których kilkadziesiąt płonęło dniami i wieczorami, tworząc niezwykły obraz, znany tylko z płócien malarzy i opowieści z dawnych czasów.

Oficerowie sztabu, poczynając od generałów, byli bardzo uprzejmi, zachowywali się zupełnie przyzwoicie i uwzględniali w miarę możliwości wszystkie życzenia gospodarzy. Życzliwie też odnosili się do chłopców, którzy – korzystając ze swobody, bo o lekcjach w tych warunkach nie mogło być mowy – całe dni spędzali wśród wojska i koni.

Niezwykły widok ukazał się Justynom jednego niedzielnego wieczora. To – stawianie przez saperów drugiego, już solidnego, mostu na Pilicy przez ogniskach o reflektorach. Obraz wprost fantastyczny, jak z bajki. Fantastycznie też prędko ukończono robotę, bo w przeciągu jednej nocy. Bądź co bądź most miał około 70 metrów długości. O 6-tej rano zgasły ogniska i reflektory, umilkły piły i topory, i z nadejściem dnia ujrzano się w okien domu na miejscu, gdzie wczoraj jeszcze nic nie było, gotowy most, jaśniejący zdala białą świeżego drzewa. W zwykłym czasie byłby radością serc mieszkańców, jako trwała komunikacja z zarzeczem i cukrownią. Dziś stał się strapieniem, bo z cichego zakątka zrobił już odtąd stały, nieustannie uczęszczany, trakt wojskowy.

Przez tydzień stały w Borowinach wojska 1-szej dywizji grenadierskiej. Oprócz stawiania mostów na rzekach, zajmował się co dzień musztrą i ćwiczeniami, przy których i zasiewany ozime niemało ucierpiały. Trwały też pozostawiły po sobie pamiątkę w postaci długich linii okopów i szańców, pokopanych w różnych miejscach pól i łąk, a mających za zadanie strzec w razie potrzeby linii Pilicy.

Piękny był widok, kiedy wojska ruszyły przez nowo zabudowany most na drugą stronę rzeki, defilując przed sztabem, stojącym na koniach po borowińskiej stronie mostu. Szły najeżone świecącymi bagnetami długie kolumny piechoty z poprzedzającymi oficerami na koniach i ciągnęły z głuchym turkotem ponure cielska armat i jaszczki z amunicją i posuwały się za nimi nieprzerwanym szeregiem ciężkie wozy taborów na wysokich kołach. A wszystko wiło się na równych zielonych błoniach za rzeką, niby nieskończony wąż o potwornych skrętach, i ciągnęło het, na południowy zachód ku odległej o 70 kilometrów

Częstochowie, pod którą na wzgórzach stworzyli Niemcy, jak było wiadomo, silne umocnioną pozycję.

Zaraz na drugi dzień rozpoczęła się w tamtej stronie silna kanonada armatnia. Chwilami strzały były tak silne, że pomimo oddalenia szyby w oknach drżały, a wieczorami i nocami towarzyszące im błyskawice rozświetlały niebo.

Tymczasem Borowiny przyjmowały nieustannie nowych gości, chociaż nie tak już okazałych jak poprzedni. Za wojskami szły połowe lazarety i nieskończone obozy dywizyjne, za nimi – doktorzy, oficerowie i pułkownicy, których przez parę tygodni trzeba było dawać kwatery. W pierwszych dniach grudnia przyjechał oficer, który zarekwirował ze dworu większą partię krów. Gospodarstwo zostało zredukowane do połowy ilości inwentarza. W polu, choć mrozów nie było, zupełnie się nic nie robiło, bo te kilka par koni, które zostały, pędzane były nieustannie na podwody, nieraz po 4-5 dni nie wracając do domu.

Potem nastąpiła zupełna cisza. Żadne wojsko już nie przechodziło. Tylko, pod Częstochową kanonada armatnia grzmiała nieustannie, ani się nie oddalając, ani nie zbliżając.

Aż naraz w pierwszych dniach grudnia okazało się zastanawiający przejaw – wracające spod Częstochowy obozy rosyjskie. Z początku – pojedyncze, niewielkie, potem – coraz liczniejsze. Za nimi przyszła kolej na kozaków, piechotę, wreszcie pojedyncze oddziały artylerii. Ruchy te cechowała wyraźna, właściwa odwrotowi, gorączkowość, która przy poprzednich przemarszach nie dawała się zauważyć. Żądanie kwater było bardziej bezwzględne, czoła – chmurne. Czasem wśród głębokiej nocy – co poprzednio nigdy się nie zdarzało – jakiś oddział, przychodził do wsi, a do dworu wpadała z hałasem hurma oficerów, zaglądając do każdego literalnie pokoju i przekonywując się, że każdy z nich wypełniony jeżeli nie śpiącymi domownikami, to oficerami wcześniej przybyłymi.

Wszystkie te cofające się oddziały szły znowu przez nowy borowiński most, kierując się ku Przedborzowi i dalej na północ, wskutek – jak tłumaczono – zwiężenia frontu, przesunięcia punktu ciężkości operacji wojennych bardziej ku północy i przeciwdziałanie nowej trzeciej fali niemieckiej, dążącej na Łódź ku Warszawie.

Nie było to jednak żadne zwiężenie frontu, ale prosty odwrót na całej linii, gdyż okazało się, że oficerowie, którzy następnych dni w Borowinach kwaterowali, prowadzili oddziały swoje nie na północ, a na wschód i południowy wschód, do leżącego już na połowie drogi do Kielc Łopuszna, na nowe pozycje obronne.

I zdarzyło się tak, że Justyn mógł naocznie poznać jeden z odcinków tej nowej linii obronnej. W Borowinach bawili wówczas przez dłuższy czas braterstwo Leny, Zygmuntowi Komarowie z jej matką panią Łosiową. Zygmuntowa Komarowa – przemiła, bardzo wykształcona i rozumna młoda osoba, kochana przez wszystkich, a w szczególności przez

dzieci, które ją „ciotką Kotką” nazywały. Ponieważ starszy brat Leny i Zygmunta, Wincenty, ożeniony był z panną Melą Januszkowską z nie tak dalekiego od Borowin Fałkowa, a w tym właśnie czasie zmarł ojciec Wincentowej, p. Włodzimierz Januszkowski, i pogrzeb był wyznaczony na 14-tego grudnia – Justyn i Zygmunt ze względu na łączące ich rodziny powinowactwo ze zmarłymi, postanowili pomimo dużych trudności z końmi, nań pojechać. Wybrali się raniutko na Przedbórz, a potem – szosą w stronę wschodnią, ku Końskim.

Na parę kilometrów przed Fałkowem uderzył ich widok niezwykle. Duży kilkudziesięciu morgowy kawał starego gęstego lasu leży zrąbany. Wśród gęstwy zielonych gałęzi – liczne dziesiątki rozrzuconych na tej ogromnej przestrzeni ognisk, buchających kłębamii gęstego, wzbijającego się pod obłoki dymu. Wśród ognisk kręcą się żołnierze rosyjscy i chłopci, obcinający i rzucający w ogniska świeże gałęzie, o usunięcie których widocznie chodziło, a wywozić ich nie było czasu. Inni żołnierze i chłopci kładą zrąbane klocki na setki wozów i wywożą je do wsi Fałków, gdzie przed samymi zabudowaniami gospodarskimi wykładają nimi boki potężnych wykańczanych już okopów i umocnień. Jeszcze inni wyrzucają z nich ziemię, przykrywając nią frontowe zasłonki. Roboty idzie gorączkowa, i to, jak się okazało, nie w jednym rejonie Fałkowa, a na całej nowej olbrzymiej linii obronnej, ciągnącej się na południe przez Radoszyce i Łopuszno ku Chęcinom i Pińczowowi, a na północ – ku Inowłodzowi i Rawie Mazowieckiej. I widocznie okazała się ona dostatecznie umocnioną, skoro na pozycjach na Bzurą i Rawką grzmiały nieprzerwanie działa przez długi szereg miesięcy 1915-go roku.

Rozdział XIII

Ta bytność Justyna w Fałkowie stała się dla nich momentem decydującym co do dalszego pozostania w Borowinach. Stało się dla nich mianowicie oczywistym, że jeżeli tak umocniony front rosyjski będzie się od nich znajdował o jakieś 30 kilometrów, to cała ta okolica przez okres bardzo długi może pozostać w sferze działania tyłów wojsk niemieckich. Choćby więc Borowinom nie zagrażało bezpośrednio niebezpieczeństwo walki, to w każdym razie udziałem ich będzie całkowite odcięcie od drugiej strony frontu, a Justynów tym samym od całej ich rodziny, bezpośrednia ciągła zależność od twardej ręki niemieckiej, zduszenie rekwizycjami i ogołoceniem. O odżywieniu dzieci takim, jakie troskliwość o nich Leny sobie wymarzyła, mowy być nie mogło. A po tamtej stronie – Warszawa z jej ułatwieniami, moc krewnych, a jeszcze dalej, poza linią frontu i fortec tak silnych, jak Modlin i Brześć nad Bugiem, najkompletniej już bezpieczne azylum u mieszkającego w Nowogródcyźnie braterstwa matki Leny, Romanostwa Markiewiczów-Joteków w Ławocznej. Kiedy jeszcze kwaterujący w Borowinach oficerowie rosyjscy potwierdzili ze swej strony ten stan rzeczy, utrzymywali, że wejście Niemców na teren Pilicy jest kwestią paru dni i pozostawanie na miejscu z małymi dziećmi uznali za ryzykowne, Justynowie na wyjazd się zdecydowali.

Nie łatważ to jednak była decyzja, bo pomijając już okoliczność, że się zostawiało ukochane Borowiny – dorobek lat na losy więcej, niż niepewne, trzeba było podjąć podróż w nieznaną, w zimie i w najokropniejszych warunkach wojennych, z cofającymi się w

pośpiechu wojskami, podróż w tyle osób z drobnymi dziećmi, z których najmłodsza zaledwie parę miesięcy liczyło. Do niego trzeba było wziąć piastunkę, do obsługi tylu osób – pokojówkę, do starszych, a częściowo i do młodszych chłopców – korepetytora, do młodszych nadto – Niemkę, to razem 12 osób. A że w Borowinach bawili wtedy Zygmuntowie Komarowie z jej matką i chcieli z jej matką i chcieli też jechać razem do Warszawy, ilość ta wzrosła do 15-tu.

Trudność opieki nad gospodarstwem i domem dała się rozwiązać dość łatwo. Jako zarządzający, zgodził się zamieszkać w Borowinach młody Szablowski, a choć mu zupełnie brak było doświadczenia, ojciec jego, o parę kilometrów mieszkający, zaoferował się służyć mu radą i pomocą. Gospodarstwem domowym podjęła się zająć „mądra pani”, która była przy urodzeniu Teofilki z tym, że wolno jej będzie mieszkając w Borowinach, zajmować się swoim fachem.

Wyruszyło się na tydzień przed Bożym Narodzeniem. Ostatni już był moment do wyjazdu, bo za rzeką dawały się już słyszeć dalekie strzały karabinowe, a przy pakowaniu grała Justynom muzyka bojowa wysadzanych przez wojska rosyjskie okolicznych mostów. Zaś na samym już wyjeździe szereg zupełnie bliskich wybuchów wstrząsnęło domem, i most na Pilicy w samych Borowinach, kilka tygodni temu zaledwie postawiony, w kłębach dymu wyleciał w powietrze.

Ostatnie wskazówki i pożegnania. Ostatnie rzewne spojrzenie na drogie ściany, i – w drogę. Tabor nie mały. Dwa powozy, bryczka i wóz drabiniasty z rzeczami. Koni dwanaście. Ponieważ tyle ich po rekwizycjach nie było, a gospodarstwa też z nich doszczętnie ogołocić było niepodobna, więc do lejca w powozie i w wozie zaprzęgåo się dwulatki, które z powodzeniem całą tę straszną drogę odbyły.

70 kilometrów do Kielc po rozbłoconej drodze, a potem – rozbitej doszczętnie przemarszami wojskowymi szosie na Łopuszno, wśród taborów i wojsk, jechało się z małymi postojami dniem i nocą, 21 godzin. Z wdzięcznością wielką Justynowie wspominali niezwykle gościnne i sute wprost przyjęcie, jakiego w zupełnie obcym domu wówczas jeszcze niezamężnej panny Szelałowskiej w Skapem, w którym wypadło im się zatrzymać, aby dzieciom dać trochę odpoczynku – doznali dla swojego 20 – osobowego, licząc obsługę koni, personelu. Trzeba rzeczywiście bez przykładowej naprawdę ofiarności i samozaparcia, aby w takim momencie, kiedy każdy kawałek chleba jest na wagę złota, a każdy zapas – bezcennym, przyjąć obcych sobie zupełnie ludzi podwieczorkiem, przy którym stoły się uginały od pieczywa, masła, wędlin, owoców itp. I to wielkie serce, jakie się przy tym wyczuwało, godnym jest jak najsilniejszego podkreślenia. Zapewne, że niemało przyczyniło się do tego, a nie innego potraktowania śliczna mamusia z tym sześciorgiem drobiazgu, niemniej mała kto by się na taki piękny bezinteresowny gest zdobył.

W Kielcach – jeden wielki obóz. Stoją sztaby paru armii odstępujących. O miejscu w jakimś hotelu mowy nie ma. Po mieszkaniach krewnych – kwatery wojskowe. Tylko dzięki grzeczności dwóch oficerów – Polaków udało się dostać Justynom jeden pokój, w którym w

11 osób noc się spędziło. Reszta kompanii znalazła pomieszczenie w innym prywatnym mieszkaniu.

Do Radomia koleją jechać nie można. Więc nazajutrz rano konie się zaprzęga i – jazda drugie 70 kilometrów. Tu już – znaczna ulga w porównaniu z dniem poprzednim. Szosa gładka i nie zapchana taborami. Konie, nakarmione i wypoczęte, żwawo kłusują, nie zwracając już uwagi na setki mijających karawanę Justynów wielkich rosyjskich samochodów wojskowych.

Ale w Radomiu okazało się, że na kolej w dalszym ciągu dostać się nie można, bo pociągi na Dęblin wojskiem przepełnione. Wobec tego Justyn postanowił dojechać jeszcze końmi do Grójca, licząc, że kolejka wąskotorowa, łączące Grójec z Warszawą, nie będzie tak przeciążona. Biedne koniska, zmęczone, choć trzymające się w formie doskonałej, jeszcze raz się zaprzęga, aby zrobić około 60 kilometrów. Na postoju w Białobrzegach daje się Justynom słyszeć silna kanonada armatnia spod Inowłódza i Nowego Miasta. Tu też jeszcze raz spotykają i z rozrzewnieniem żegnają wody swojej miłej Pilicy.

W Grójcu, choć również bardzo pełno, robią Justynom nareszcie nadzieję dostania się na kolejkę do Warszawy. Ale też nie z łatwością ono przychodzi. Na stację nie puszczają, bo zajęta ona w całości dla rannych. Co chwila wznoszą na noszach biedaków białych i okaleczonych. Tu mają punkt opatrunkowy. Zarządu stacyjnego, numerowych nie ma zupełnie. Po długich godzinach czekania sprzedano Justynom nareszcie bilety i wrzucono do wagonu bagażowego rzeczy bez naklejania żadnych kartek kontrolnych. Cudem nic nie poginęło.

O dzieciach przez cały czas tej ciężkiej drogi można powiedzieć, że zachowywały się idealnie. Prawda, że miejscami miały drogę urozmaiconą różnymi nowymi dla nich obserwacjami, które je interesowały, ale też nudy i umęczenia – niemało. Dzięki Bogu, że były one zdrowe i z wyjątkiem najmłodszej Teofilki, która czasem popłakiwała, żadne nawet nie pisnęło; raz tylko – z tęsknoty za pozostawionym domem. Lena też pomimo wielkiego zmęczenia dzielnie się trzymała.

Nareszcie – Warszawa. Ta która jakby nic nie wiedziała o wojnie. Sklepy, restauracje, kawiarnie, teatry – pełne. Ruch na ulicach normalny. Tylko czasem wieczorem przemknie cicho tramwaj, pełen złożonych na ławkach rannych, lub wioząca ich karetka Czerwonego Krzyża. Ale wyczuwało się, że pod tą zewnętrzną niezmienną powłoką tętni puls życia żywej, niż kiedykolwiek. Wywołana potrzebą chwili, wre praca obywatelska. W niej hartuje się wola i wyrabia duch stolicy, a z nią – całej Polski, do wielkich zadań, mogących ją czekać w niedalekiej przyszłości. Że ta wojna przyniesie jej wolność i niepodległość – w to wszyscy, kochający kraj, niezłomnie wierzyli.

Zaraz po zainstalowaniu u krewnych Justyna, Klarnerów, Lena wysłała długą depezę do wujostwa swoich Romanów Jotyków w Ławocznej, z podaniem okoliczności i

zapytaniem, czy by nie mogli dać im z całą rodziną gościny u siebie. Po kilku dniach przyszła odpowiedź przychylna, choć była już tam Mama Komarowa z córką i wnukami.

Po wielu trudnościach i opłaceniu się na kolej Justynowie dostali w samą wigilię Bożego Narodzenia miejsca w wagonie. Zamiast do stołu wigilijnego, trzeba było zasiąść do zapasów podróжных, a w miejsce kolęd – słuchać monotonnego stukotu wagonów. Dziaćwa myślała o świeczkach na choince, jakie innych lat tam hen, we dworze Borowińskim, przyświecały jej co roku w tym dniu uroczystym. Justynom ścianach osieroconych, czy je sroga ręka oszczędzi, czy będzie jeszcze do czego wrócić?...

W południe w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia nowego stylu (na Litwie wówczas stosowano jeszcze kalendarz, jak w Rosji o 14 dni późniejszy), jadąc na Brześć nad Bugiem i Baranowicze, stanęli Justynowie szczęśliwie z całą dziecięcą gromadą na gościnnej Nowogródzkiej ziemi.

Rozdział XIV

- Dzień dobry, kochani! Jak wam się spało na nowym miejscu? Czy wam nie chłodno, nie głodno? – pytała troskliwie Justynów, przyszedłszy na drugi dzień rano do ich mieszkania, ciągnącym litewskim akcentem ciotka Romanowa Joteykowa.
- Dziękuję, cioteczko. – Spało się nam i dzieciom po zmęczeniu drogą doskonale. A chłodno i głodno być nie może, skoro piece do dzisiejszego dnia gorące, a jedzenia całe góry przyniesiono nam na śniadanie. Ciągłe tylko mówimy o tym, jacy wujostwo strasznie dobrzy i uczyni, że, mając już u siebie mamę Komarową i Halę z dziećmi, zgodzili się jeszcze nas przyjąć, i to z taką wielką gromadą.
- Moi drodzy, sami jesteście, dzieci nie mamy, to miło nam zamiast nich innym bliskim to oddać i u siebie w domu przyjąć. Dom ten stał pustką; zdrowiej mu będzie być zamieszkałym; a przychodząc do nas, uprzyjemnicie nam tylko szare dni i wieczory zimowe. Możecie spokojnie siedzieć u nas, dopóki tylko wam będzie potrzeba. Trudno chyba przypuścić, żeby Niemcy tu aż mogli przyjść. To jest najzupełniej nieprawdopodobnym.

Lena bardzo się ucieszyła z zobaczenia matki i siostry, których od początku wojny nie widziała. Hala była za doktorem Potockim, który powołany został, jako lekarz, do wojska, a ona została sama z dwojgiem ślicznych dzieci i na zaproszenie wujostwa Romanów przyjechała wraz z nimi i matką do Ławocznej. Mieszkały, jak i wujostwo w głównym domu, jak służba nazywała „pałacu”. Nazwa ta trochę za szumna, bo dom, choć duży, murowany, z pięknym podjazdem i dwustronnych schodach i dużą werandą od strony ogrodu, wewnątrz miał cech pałacowych. Ot, obszerny i zamożny dwór wiejski.

Justynowie dostali cały opodal dworu leżący dom drewniany 5-pokojowy z wielką oszkloną werandą, w którym wygodnie z dziećmi i całym personelem pomieścić się mogli.

Dom wujostwa Romanów, o wysokim poziomie form, kultury i inteligencji, stanowił środowisko niezwykle przyjemne, społecznie aktywne, pogodne, ale zarazem owiane pewnym smutkiem. Pochodziło on stąd, że przed kilkunastu laty stracili oni jedyną, jaką mieli, już siedemnastoletnią córkę, Terenię, całą osłodę ich życia. Dotąd żyli tylko jej pamięcią. Wobec odległości w tych stronach kościołów katolickich, chcąc jej ciało mieć blisko, pochowali ją na jednym z licznych pagórków leśnych poza parkiem. Od parku od grobu założyli wspaniałą dekoracyjną długą aleję, ozdobioną zielonymi świerkami, trawnikami i klombami kwiatów. Na samym grobie na wzgórzu, wzniesli zaraz po śmierci córki cudnej piękności pomnik z wysokimi kondygnacjami prowadzących do niego schodów. Krzyż na wysokiej stylowej podstawie, a obok niego odtworzona wiernie postać zmarłej, obejmująca krzyż. Całość – wysoce artystyczna. Justynowie ją widzieli, będąc raz w Ławocznej jeszcze przed ślubem. Cóż, kiedy artysta, rzeźbiący swoje arcydzieło, nie obliczył się widocznie przy wyborze materiału z tamtejszym ostrym klimatem. Kamień zaczął się powoli kruszyć, co zwłaszcza przy portrecie zmarłej, przekreślało całą jego wartość. Wujostwo Romanowie zdecydowali się pomnik rozebrać i postawić w jego miejsce trwałą pamiątkę – kaplicę, w której co pewien czas odbywały się nabożeństwa dla tamtejszej katolickiej ludności. Doskonała myśl, zwłaszcza w tamtych, pozbawionych kościołów, stronach. W podziemiach kaplicy obok trumny córki osieroceni rodzice przygotowali też już trumny dla siebie.

Ten stan rzeczy zastali Justynowie, przyjechawszy teraz do Ławocznej. Z parku otwierała się piękna perspektywa na śliczne zawsze utrzymaną aleję i stylową, wzniesioną na pagórku kaplicę. Idąc na spacer, sami bądź z dziećmi, chętnie tę obierali drogę.

X

I rozpoczęło się dla Justynów nowe życie, choć w niektórych momentach zbliżone do tego, jakie prowadzili w Borowinach. Dzieci się systematycznie uczyły. Lena zajmowała się nimi i gospodarstwem, ale ponieważ personel pomocniczy miała skompletowany i należycie wyszkolony, posiadała więcej czasu dla siebie, który częściowo spędzała z matką i siostrą. W stosunku do Justyna wydawała się jakby nieco ochłodzona i bardziej martwa. Nie czuć było w niej tego ciepła i oddania, jakie cechowało ostatnie ich lata w Borowinach. Justyn obserwował ją pilnie, ale nie mógł zdać sobie sprawy z tej pewnej nieuchwytniej zresztą zmiany. Czy to była tęsknota za Borowinami, którą sam tak żywo odczuwał? Czy wynik większej ilości czasu wolnego i zatapiania się w myślach i rozważaniach, które dla natury tak przewrażliwionych i skłonnych do przerostu wyobraźni i uczuć, nie jest pożądane? Czy też może niezadowolenie z zajęcia Justyna, któremu się teraz gorliwie poświęcił?

Nie mogąc żyć bez pracy, wiedząc przy wyjeździe z Borowin, że go w Ławocznej nie znajdzie, a zdając sobie sprawę z drugiej strony, że nigdy lepszej sposobności do uporządkowania swojego archiwum mieć nie będzie – Justyn zabrał ze sobą wszystkie papiery rodzinne i osobiste, mogące mieć jakiś większe znaczenie, zarówno te znalezione w starym biurze ojca w Brzozowie, jak i zbieranie przez siebie później, kupił w Warszawie odpowiednią ilość potrzebnych tek, i gdy się już w Ławocznej zainstalowali i urządzili,

przystąpił do swojej roboty. A robota to była niemała, jeżeli zważyć, że trzeba było różne, często bardzo stare i nie czytelne dokumenty polskie i łacińskie odcyfrować, nieraz dla lepszego zrozumienia tekstu tłumaczyć je i przepisywać, a potem je z sobą logicznie i chronologicznie wiązać, segregować i do odpowiednich poumieszczać teczek. Z biegiem pracy Justyn doszedł jeszcze do wniosku, że mając taką objętość materiału, może się pokusić o opracowanie na jego podstawie monografii poszczególnych pokoleń swoich przodków i dotyczących ich tablic genealogicznych. Była to już praca bardzo duża i żmudna, ale powoli jej dokonał. A im się bardziej w robocie swojej zagłębiał, tym więcej nabierał do niej smaku i zamiłowania. Stwierdził moralną wierność sentencji, znalezionej w tych starych dokumentach rodzinnych: (tekst niewyraźny – przyp. T.K.).

Wnukowie są z dziadami złączeni pewną niewidzialną wstęgą i krwi, i dążeń, i cnót i wad.

Ale cała ta absorbująca go praca sprawiała, że się nieraz potrafił, nie chcąc utracić wątku i ciągłości w swoich badaniach, zakopać w papierach przez całe długie godziny.

Lenie, która sama nie miała i nie mogła u męża zrozumieć, sentymentu do tych starych szpargałów, cała ta praca Justyna się nie podobała. Chciałby go widzieć więcej przy sobie, czuła się jakby poniżoną w swojej godności, że teraz właśnie, kiedy ma on dużo wolnego czasu, przekłada nad nią jakieś bezsensowne zajęcie, któremu się całkowicie poświęcił. Wyczuwał Justyn w niej jakiś żal do siebie i pretensję, i tej sprawie przypisywał jeden z powodów tego pewnego ku sobie ochłodzenia.

Nie można zresztą powiedzieć, aby Justyn poza swoim zajęciem nigdy już dla niej i dzieci wolnego czasu nie miał. Przeciwnie. Chętnie szukał z nią rozmowy i starał się rozproszyć jej do niego urazy; w zimie zapewne mniej, ale z nastaniem wiosny chodził z nią i z dziećmi na spacer i wycieczki; lubiąc sam i chcąc chłopców wdrażać do pracy fizycznej, przecinał z nimi i gracował różne nowe estetyczne uliczki w najbliższym otoczeniu ich domu. Wieczorami chodził z Leną do domu wujostwa; tam poza ogólną rozmową coś czytali, bądź słuchali pięknego czytania wuja Romana.

Trochę, choć bardzo niewiele, oddawał się Justyn i pracy literackiej oraz publicystycznej.

Napisał wspomnienia z wojny i ich podróży na Litwę.

Nieustającej tęsknocie swej za Borowinami dał wyraz w następującym krótkim wierszu, stanowiącym poniekąd kontynuację dawnego wiersza pt. „Borowiny”:

Wiosko cicha, miała, droga! Pisałem o tobie,
Gdyśmy w błogie dni spokoju wspólnie żyli sobie,
Gdyśmy mogli dać ci pracę, wszystko, co ci potrzeba,
A tyś się nam wypłacała tym kawałkiem chleba.

Dziś się wszystko odmieniło. Dni niedoli smutne
I na tobie wycisnęły swe piętno okrutne.
Twoje krasy spustoszone, zdeptane zagony,
I twój cichy biały dworek stoi opuszczony.

Tęskna myśl ku tobie bieży, wiosko nasza miła,
Bodajby cię sroga ręka wroga oszczędziła,
Byś mogła z niedoli powstać, z bólów odetchnęła,
I swe dzieci po dawnemu k' sobie przygarnęła ...

W jakiś czas potem uznał Justyn za konieczne, niezależnie od uczuć osobistych, danie publicznego wyrazu ich wdzięczności dla gospodarzy Ławocznej, pp. Markiewiczów – Joteyków za wysoce obywatelski czyn przyjęcia ich na tak długi okres czasu z całą tak liczebną rodziną. Napisał wiersz pod tytułem „Przystań” z imienną dedykacją: „Państwu Romanostwu Markiewiczów – Joteyków w dowód szczerzej wdzięczności” i postarał się o umieszczenie go w prenumerowanym przez nich wileńskim „Kurierze Litewskim”. I myśl, i wiersz Justyna, całkiem niespodziewanie przez nich w Kurierze przeczytany, w swej treści i formie bardzo miłe na wujostwu Romanach zrobił wrażenie i szczerze mu za niego podziękowali.

To znowu kiedyś w odpowiedzi na zamieszczony w wyjątkach w „Kurierze Warszawskim” artykuł Aleksandra Świętochowskiego, ujęty, jak zwykle u niego, w duch silnie demagogicznym, na temat zasług chłopca polskiego w wojnie obecnej z całkowitym pominięciem roli innych klas – odpowiedział Justyn dłuższym artykułem polemicznym, który przeczytawszy, wuj Roman się wyraził: „No, no, Kongresowiaki umieją pisać”, którego jednakże ze względu na sędziwą i skądinąd zasłużoną postać Świętochowskiego, a ostry ton krytyki w artykule Justyna „Kurier Warszawski” ostatecznie nie zamieścił.

Nadeszło lato, a z nim 10 lipca – 15 rocznica ślubu Justynów. Ponieważ w tym właśnie czasie starsi trzej chłopcy mieli przystąpić do pierwszej Komunii św., urządzono tak, żeby tę ich uroczystość połączyć z tym dniem. Rano w kaplicy wszystko miło i podniosłe się odbyło. Ale Lena tego dnia, niewiadomo z jakiej przyczyny, była podrażniona i dla Justyna niedobra. Jemu, przeciwnie, jak zwykle w tym dniu, najmiłsze chodziły po sercu i myśli wspomnienia, był nastrojony pogodnie i serdecznie, i podwójnie mu było przykro, że Lena wrażeń tego przełomowego w ich życiu dnia tak jak on, nie odczuwa. Siadł i napisał wiersz następujący:

Lat piętnaście upływa od dnia, gdzieśmy, droga,
Klękneli do przysięgi u stopnia ołtarza,
Gdyśmy nieznaną doli stanęli u proga,
Co z dwóch odrębnych istnień jedno życie stwarza.

Ta chwila, niby dłutem, w pamięci mi się wryła,
Jako ziszczzenia pragnień najszczerzych godzina.
Ty w swojej śnieżnej bieli jakżeś cudną była,
Szczęście mi się przy tobie otwarła kraina.

I pamiętam te twarze życzliwe dokoła,
Kościół pełen zieleni, piękny dzień lipcowy,
Deszczyk, co w blaskach słońca przy wyjściu z kościoła
Jakby na dobrą wróżbę, pokropił nam głowy.

I wstąpiliśmy w życie. W to życie, co z sobą
Niesie dnie złote szczęście i ciernie krwawiące,
Mieliśmy więc i chwile gniotące żalobą,
To znów – pełne radości, jasne i kojące.

Ty z swą naturą czystą, podniosłą, wrażliwą
Nieraz z życiem i z sobą bywałaś w rozterce,
Nieraz czułaś się bardzo, bardzo nieszczęśliwą
Godząc z prawami życia gorące twe serce.

Mojej prostej natury może była winna,
Że cię dość miękkiem słowem krzepić nie umiałem.
Możem błędził, więc przebacz; lecz to wiedz, jedyna,
Że cię głęboko kocham i zawsze kochałem.

I błogosławię zawsze twoje białe dłonie,
Coś je w dniach słabości i ducha i ciała
Kładła miękko na moje pulsujące skronie
I dobre, ciepłe słowa do duszy wlewała.

Byłaś wówczas tak moją, dobrą i kochaną,
Żebym rad był z wdzięczności stopy twe całować.
By cię mieć przy mnie zawsze tak słodką, oddaną,
Zgodziłbym się najchętniej pół życia darować.

I jakiegokolwiek dzielić nas mogą różnice
Usposobień – ja zawsze uczuciem mym całym,
Kocham cię, serca twego oceniam skarbnice,
I wiernym ci od ślubu do dziś pozostałem.

I szło to nasze życie cicho, pracowicie,
Póki burza dziejowa z gniazd nas nie wyniosła,
Błogosławieństwem nieba darzone obficie:
Liczna gromadka nasza w duchu bożym rosła.

I w dzisiejszą rocznicę trzy główki chłopięce
Ot, u stopni ołtarza klęczą pochylone,
By przy pierwszej Komunii swe dusze dziecięce
Przyoblec w szaty nowe, winą nie splamione.

Wraz z innymi my Cię, Panie, prosimy gorąco,
Abyś strzegł nas w dniach, ciemną przyszłością zamglonych,
Oszczędził wrażeń przykrych, co spokój nasz mącą
I pozwolił nam wrócić do gniazd – wyzwolonych.

W wiersz ten Justyn włożył wiele najszczerzego uczucia, jakie niezmiennie miał dla Leny, pomimo jej wszelkich dawnych i obecnych bardzo zmiennych dla niego nastrojów. Ona, zdaje się, ducha tych strof i prawdy w nich tkwiącej – nie zrozumiała.

Rozdział XV

A wojna toczyła się dalej. Przez całą zimę i wiosnę front stał nieprzerwanie nad Bzurą i Rawką. Gazety przychodziły z Warszawy, ale komunikaty wojenne przez długi szereg miesięcy były zupełnie identyczne. Aż tu w drugiej połowie maja front drgnął. Widocznie Niemcom przyszły znaczniejsze posiłki, bo kolos rosyjski zaczął się powoli cofać ku Modlinowi i Warszawie. Modlin, silna przecież forteca, okrążony, bronił się czas jakiś, ale wkrótce upadł. 5-go sierpnia Niemcy weszli do nie bronionej, zapewne dla zaoszczędzenia miasta, Warszawy. I ze strony niemieckiej, i rosyjskiej, ukazały się wkrótce sztuczne odezwy, zapowiadające uznanie niepodległości Polski oraz różne dla niej prawa i przywileje.

Ciężkie wątpliwości wstąpiły w serca mieszkańców Ławocznej. Choć zajęcie stolicy nie przesądza jeszcze o losach wojny, dalszego posuwania się Niemców wbrew wszelkiemu, zdawało się, prawdopodobieństwa, należy widocznie oczekiwać.

Twierdze Brześć nad Bugiem i Ossowiec nie wytrzymały również naporu. Fala niemiecka rozlała się po wszystkich ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej. Czy to była rosyjska taktyka wciągnięcia przeciwnika jak najdalej i w głąb kraju – nie wiadomo.

Dość, że pewnego dnia wrześniowego Niemcy zjawili się i w Ławocznej. Jakiś sztab. Szereg bardziej gładkich, kulturalnych, mówiących po francusku, oficerów. Trzeba im było dać obiad we dworze. Nieliczne, towarzyszące im wojsko, rozłożyło się w podwórzu. Rozmowę podtrzymywała głównie Lena, która nawet nie potrzebowała się uciekać do francuszczyzny, bo dobrze mówiła po niemiecku.

Ledwo się skończył obiad – nagły świst i wybuch. Za nim – drugi, trzeci, dziesiąty. To ciężka artyleria rosyjska, stojąca zaledwie o trzy kilometry od Ławocznej, stwierdziwszy, że Niemcy do niej weszli, rozpoczęła bombardowanie dworu. Sytuacja stała się zupełnie groźna. Wszyscy mieszkańcy schronili się do piwnicy pałacu. Justyn, pomimo świszczących mu też nad głową pocisków, prznosił jeszcze z ich domu jakieś rzeczy, potrzebne dla dzieci. Szrapnele w jego oczach rozrywały się w powietrzu, granaty wyrywały leje w ziemi jeden obok drugiego. Gdy byli zgromadzeni w piwnicy, rozległ się ostry świst. Oczekiwali w tejże sekundzie wybuchu tuż obok. Ale wybuchu nie było. Okazało się później, że to ciężki granat padł przy samym okienku piwnicy, w której siedzieli. Gdyby był się rozerwał, rozniósłby w puch wszystkich. Ale obryzgał tylko ziemią ścianę dworu, zarył się głęboko w rabatę kwiatową i nie wybuchł. Ludzie mówili, że ktoś z obecnych ma łaskę u Boga, że się na tym bez katastrofy skończyło.

Po pewnym czasie, widocznie pod wpływem otwarcia ognia przez stojącą w Ławocznej artylerię niemiecką, bombardowanie ustało. Wszyscy wyszli obejrzeć poczynione szkody. Okazało się, że poza niezliczoną ilością lejów w otoczeniu domów, w ogrodzie, parku i podwórzu, nie ucierpiał żaden człowiek, żadne zwierzę, żaden budynek. Naprawdę Pan Bóg opiekował się Ławoczną. Że sytuacja była groźna, można wnosić z tego, co mówił po bombardowaniu do Leny major niemiecki, prowadzący bitwę, że napisał właśnie w tej chwili do żony, donosząc jej, iż przeżył dziś najcięższy dzień od początku wojny.

Ten sztab niemiecki wkrótce wyszedł, a przez Ławoczną, tak jak kiedyś przez Borowiny, zaczęły przechodzić najrozmaitsze inne formacje wojsk.

Potem nastął zupełny spokój. Ruchomy teraz front przesunął się daleko na wschód.

A w związku z tym zjawilo się przed Justynami zagadnienie, czy nie należało by korzystając z chwili wrócić teraz z całym domem do Borowin? Nie wiedzieli wprawdzie, co tam zastaną; raczej przypuszczali, że - jeżeli nie gruzy, to ogołoconą ze wszystkiego pustkę; ale dokąd że siedzieć tu tym zacnym ludziom na głowie, skoro droga się otwarła i można wrócić do własnych kątów? Przecież już około dziesięciu miesięcy, bezmała rok, korzystali z ich gościnności.

Im więcej myśleli, tym projekt stawał się bardziej realny. Państwo Joteykowie, choć osobiście po życiu przez dłuższy czas, woleliby może Justynów zatrzymać i bardzo serdecznie ich do dalszego pozostania zapraszali, ale jednocześnie oświadczyli, że jeżeli zdecydowaliby się ostatecznie na wyjazd, postarają się zrobić im wszelkie możliwe udogodnienia.

Rzeczą bardzo ważną było, żeby mogli dostać od Niemców dobrą i mocną przepustkę, która by nie tylko dawała im pozwolenie na wyjazd, ale drogę wśród wielu trudności, jakie w tych warunkach przewidywać można, ułatwiała.

I taką właśnie przepustkę od jakiegoś uprzejmego, stojącego właśnie w tym czasie w Ławocznej wyższej rangi generała niemieckiego udało się Justynom otrzymać. Okazało się potem, że otwierała im ona wszędzie drogę na oścież. Znowu – dowód szczególny Boskiej nad nimi i dziećmi opieki.

Pozostały do znalezienia środki lokomocji. Wujostwo Joteyków oddali im do całkowitej dyspozycji karetę i cztery konie fornalskie z tym, że zaprzęg ten mogą zabrać, dokąd im się będzie podobać, choćby do samych Borowin. Ale do karety 12 osób, masy rzeczy i paszy nie zmieszczą. Potrzebne były jeszcze dwa pojazdy. Jeden z nich zdobył Justyn, pojechawszy do Nowogródka, w postaci tzw. w tamtych stronach „bałagoły”, to jest długiego wozu z czterema siedzeniami, przykrytego w całości grubym nieprzemakalnym płótnem, zaprzęzonego w parę doskonałych mocnych koni. Właściciel ich zgodził się jechać z Justynami, dokąd będzie potrzeba. Kwestia pomieszczenia całego towarzystwa i bagaży

była w ten sposób rozwiązana. Pod paszę dla koni wynajął Justyn na wsi niewielki wózek w jednego dobrze utrzymanego konia.

8-go października po serdecznym pożegnaniu z właścicielem i domem, w którym rok bezmała przemieszkali – wyruszyli. Kochani wujostwo od wypadku zaopatrzyli ich jeszcze w kilkaset rubli gotówki.

Zatrzymali się najpierw w bardzo zniszczonym przez wojnę powiatowym mieście Słonimie nad Szczurą. Ponieważ niedaleko od Słoniema w majątku Jagnieszycy mieszkali krewni Leny, hr. Tyszkiewiczowie, a hr. Tyszkiewicz, człowiek rozumny i ustosunkowany, cieszył się, jak wiadomo było Justynom, dużymi względami tak w okolicy, jak i u Niemców, postanowili do nich zjechać, aby poradzić się ich, co do dalszej marszruty. Żeby nie szukać noclegu, mieli jechać tegoż samego dnia po załatwieniu formalności podróżnych w Słonimie. Ale z nimi zeszło niemal do wieczora. Wieczory były wczesne i ciemne. Chociaż szosa prowadziła do Jagnieszyc na samo miejsce, zdecydowali się jednak wieczorem nie jechać i zanocowali. I znowu w tej decyzji Opatrzność Boska widocznie nad Justynami czuwała. Bo oto kiedy jechali na drugi dzień rano, w jednym miejscu przedstawił im się widok następujący. Ostry spadek szosy, a na dole – most, którego jednak nie ma; na jego miejscu – ściana przyczółka, stromo spadająca na jakieś półtora piętra. Przed samym tym miejscem dopiero – ostry i spadzisty skręt w bok celem objazdu wysadzonego w powietrze mostu. Dla kogoś, pierwszy raz tą drogą po ciemku jadącego i nie wiedzącego o nieistnieniu mostu, było po prostu niepodobieństwem zatrzymanie na dużym spadku koni w porę, a nawet w razie zorientowania się w sytuacji – skrócenie na miejscu koni, idących w szybkim tempie z górki w ciężkiej karecie, którą jechali. Katastrofa jej rozbicia wraz z całym ładunkiem była nieunikniona. Ale Bóg dobry od wypadku uchronił.

Od hr. Tyszkiewicza Justyn się dowiedział, że niedaleko od w miejscowości Sienkowice, stoi niemiecki park samochodowy, wysyłający w miarę potrzeby ciężarówkę w najrozmaitsze strony, przede wszystkim naturalnie w stronę najbliższej kolei – w Białymstoku. O ile więc na podstawie dobrej przepustki można byłoby taką krytą dużą ciężarówkę uzyskać, sprawa dostania się do kolei byłaby rozwiązana. Pojechali tegoż dnia do kierownictwa parku, przedstawili okoliczności, pokazali przepustkę.

- Takie rzeczy podczas wojny się nie praktykuje, żeby prywatne osoby wojskowymi samochodami wozić, ale przepustka jest tego rodzaju, że odmówić nie mogę. Proszę, niech państwo stawią się jutro do Sienkowic na godzinę 9-tą rano.

Stawili się i jedną krytą ciężarówką wszyscy razem do Wołkowyska pojechali, skąd dalej – do Białegostoku. Wszędzie Niemcy byli dla nich bardzo uprzejmi, a w Wołkowysku poczęstowali nawet całą ich gromadę zupełnie możliwym obiadem.

W Białymstoku wśród obsługi dworcowej – wprost zachwyty dla uroczej mamusi z tą gromadą dzieciarni. Trudności z dostaniem się na kolej nie robili żadnych. Naczelnik stacji

dał im osobne przedziały drugiej klasy i zatrzymał pociąg, żeby mogli wsiąść spokojnie z dziećmi i wszystkimi rzeczami.

Na Osowiec, Grajewo, cudowne jezioro mazurskie, a potem – Toruń – Aleksandrów okólną drogą dotarli do Warszawy od zachodu. Zwykła trasa – Białystok Warszawa była w licznych miejscach poprzerywana.

W Warszawie, aby dać odpoczynek sobie i dzieciom, Justynowie zostali przeszło tydzień, zatrzymawszy się znów u poczciwych Klanerów. Zobaczywszy ze zdziwieniem na afiszach teatralnych patriotyczną sztukę „Kościuszko pod Raławicami”, Justyn zaprowadził na nią chłopców ku ich wielkiej radości. Złożyli też parę wizyt, m.in. u znanego sobie dawniej, jeszcze jako zwykłego profesora seminarium, i ich spowiednika, dziś ks. Arcybiskupa Warszawskiego, który mając już nominację na kardynała, rewizytował ich w parę dni w całej okazałości purpury kardynalskiej w mieszkaniu Klarnerów, co zwłaszcza na dzieci, zrobiło ogromne wrażenie.

Z Warszawy na Częstochowę przyjechali Justynowie do swojej stacji Włoszczowa, skąd dwoma wypełnionymi furmankami stanęli w końcu października u zupełnie nie spodziewających się ich sąsiadów, Kowerskich w Karczewie. Okrzykom radości nie było końca.

Lena z dziećmi odpoczywała po męczącej drodze, a Justyn z Tomaszkiem, jako przejawiającym najwięcej skłonności na przyszłego gospodarza, pojechali zobaczyć Borowiny.

Było to dla Justyna jeden z najbardziej radosnych dni w życiu. Zamiast spodziewanych ruin i pustki zobaczył gospodarstwo w pełnym biegu, o znacznie zmniejszonej wprawdzie ilości inwentarza, ale też odpowiednio ustawione i wykorzystane. Oziminy dobre, konie i krowy utrzymane doskonale, uprawy przed zimą posunięte normalnie. Młody p. Szablowski wywiązał się z zadania zupełnie w porządku. To samo – jego towarzyska od gospodarstwa kobiecego. Drobiu dosyć, dom utrzymany w porządku. Niemcy, którzy nieraz, zwłaszcza z początku, kwaterowali we dworze, zachowywali się zupełnie kulturalnie. Raz podobno nawet, splamiwszy obrus czerwonym winem, odkupili nowy. Dużo zapewne do tego przyzwoitego zachowania się przyczynił się i takt gospodyni, bo w innych pozostawionych przez właścicieli domach najczęściej inaczej bywało.

Lena też, przyjechawszy z Karczewa po paru dniach z dziećmi, była uradowana i oboje serdecznie dziękowali pozostawionym zastępcom za ich pracę, dbałość i sumienne spełnienie przyjętego na siebie obowiązku.

Dając wyraz swojej najwyższej radości z powodu zastania wszystkiego w takim porządku, Justyn uzupełnił swój wiersz „Borowiny” w jakiś czas po przyjeździe następującymi strofkami:

Witajże nam, witaj, droga nasza wiosko!
Próżno o cię myśl tam nasza chmurzyła się troską,
Widziała cię spustoszoną, przygniecioną klęską,
Bo, jak dotąd, z zawieruchy tyś wyszła zwycięsko.

Ludzie dobrzy cię ustrzegli, i Boża opieka;
Ona rządzi niepodzielnie losami człowieka,
Bo gdy tam, het, ponad nami burza się srożyła,
Tyś tu w ciszy i spokoju dnie wszystkie przeżyła.

I stanęłaś znów przed nami, niby dziewczka hoża,
Przystrojona w błękit rzeki, w cudne runa zboża,
I zabłyśłaś nam znów żywo, jak promień radosny,
Co po długiej, chmurnej zimie padnie z tchnieniem wiosny.

Bądźże nam błogosławiona z twym ludem i polem,
Stań się całej ziemi polskiej proroczym symbolem,
Aby, jak ty, po dniach klęski z krwi, łez odrodzona,
Dowodła, że „nie zginęła”, choć tak umęczona.

Rozdział XIV

Minęły jesień i zima, i zaczynała się wiosna 1916 roku. Wojna wciąż trwała, ale z dala od tutejszych okolic, tak że się jej bezpośrednio nie odczuwało. Z tymczasowego podziału terytorialnego kraju pomiędzy dwóch okupantów – Niemcy i Austrię wypadło, że południowa jego część, a więc Radomskie, Kieleckie i Lubelskie, stanowiło okupację austriacką, północne i zachodnie ziemie polski – okupację niemiecką. Podobnie jak dawniej w Galicji w stosunku do zaboru pruskiego, tak i teraz w okupacji austriackiej, do którego należały Borowiny, obywatele polscy mieli znacznie większe swobody, szczególnie w dziedzinie szkolnictwa. Stolicą powiatową dla Borowin były Końskie, w niektórych sprawach – Radom. W Końskim istniał powiatowy Komitet Obywatelski, który pobierał składki od obywateli ziemskich i z utworzonego w ten sposób funduszu udzielał zapomóg rodzinom, bardziej poszkodowanym przez wojnę. Powiatowe Komisje Szacunkowe powoływały komisje lokalne celem dokonania szczegółowej rejestracji strat wojennych po wsiach i miasteczkach. W ogóle praca obywatelska w okolicy rozwinięta była dość szeroko.

Justyn po powrocie też nie uchylił się od niej, choć miał dosyć i swojego zajęcia w gospodarstwie, połączonego m.in. z usiłowaniami powiększenia inwentarza do normy przedwojennej i podniesienia umniejszonego przez wojnę dochodu, jak również z pełnieniem swoich społecznych funkcji przedwojennych – Delegata Taksowego Komisji Kontroli Obór. Wszystkie te czynności w sumie poza absorbowaniem myśli wymagały wielu wyjazdów. Z nowoprzyjętych obowiązków społecznych, od których uchyłać się, wobec bardzo niewielkiej ilości ziemian w okolicy, była niepodobna. Najwięcej czasu zabierały mu szacunki strat wojennych w paru okolicznych gminach, bo musiał wyjeżdżać czasem na kilka dni z rzędu, wymierzając na przykład przy stratach leśnych każdy niewielki chojaczek z osobna.

Lena po powrocie z Litwy nie zdradzała tej chęci pracy, jaka ją cechowała przed wojną. Czy to był skutek pewnej beczynności i rozleniwienia w Ławocznej, czy jakieś istotne osłabienie fizyczne, ale często całymi długimi godzinami leżała w łóżku, bądź ubrana na łóżku z książką do czytania w ręku, bądź nudząc się i chętnie widząc, żeby ktoś ciągle przy niej siedział. Z młodszymi chłopcami spisywała tylko w dalszym ciągu ich „złe i dobre czyny”. Starsi odrabiali lekcje z p. Szablowskim, przygotowując się do wstąpienia od wakacji do szkoły w Kielcach. Chłopcy siadali czasem przy leżącej matce, ale – jak to dzieciom – prędko im się to siedzenie na miejscu przykrzyło i woleli po skończonych lekcjach wybiegać się po dworze. Wszyscy chłopcy lubili bardzo wieś i gospodarstwo; każdy z nich miał własnego kuca, jeździli też doskonale konno. Justyn z obawą myślał, w jaki sposób da się ich kiedyś w miejskiej ciasnocie utrzymać.

Jedyną osobą w domu, która miała więcej czasu do siedzenia z Leną w czasie jej poobiednich sjest wypoczynkowych, był pan Władysław Szablowski. Skończywszy lekcje z chłopcami, które zresztą bardzo sumiennie odrabiał, miał czas wolny i dotrzymywał Lenie towarzystwa. Ona lubiła z nim rozmawiać i dysputy na różne tematy prowadzić, chociaż poziom jej inteligencji i kultury był bez porównania wyższy, niż jego. Był to młody chłopiec, bardzo porządny, syn zanego ojca, sumienny i obowiązkowy, poważnego i spokojnego usposobienia, w porównaniu z Leną niemal dzieciak, bo zaledwie przeszłoroczny maturzysta, podczas gdy Lena miała już lat 36. nie wiedział więc Justyn w tych ich rozmowach czy wspólnych czytaniach czegoś niewłaściwego, bądź mogącego budzić jakieśkolwiek zastrzeżenia czy obawy. Chłopcy bardzo go lubili, nazywali „pamutkiem” i nieraz dłuższy czas z nim przy mamusi spędzali. Justyn, oddany pracy, nie miał czasu na dotrzymywanie im towarzystwa, zaglądał tylko czasem i obserwował stosunki, jakie się układały.

Obserwacje te po jakimś czasie doprowadziły go do pewnych niepokojących wniosków. Pierwsze rzecz, która go niemile dotknęła, to było pisywanie przez Lenę do „pamutka” w dniach, w których on czy to w niedzielę, czy w święto, czy krótki urlop wyjeżdżał do rodziców. Ponieważ było to tylko niecałe trzy kilometry, a chłopcy, już nie tylko starsi, ale i młodszy, jeździli chętnie konno, oni to było dostawcami tych listów i przywozili matce na nie odpowiedzi. Czynie to w najlepszej wierze, nie czyniąc naturalnie ze swojej misji żadnego sekretu.

Ale Justyn od tej chwili spojrzał na ten stosunek bardziej krytycznymi oczami. Jeżeli Lena jednego dnia, w którym on wyjeżdża z domu, nie może się obejść bez rozmowy z nim, to jest u niej coś więcej, niż lubienie go i zwykła życzliwość, czy przyjaźń. Czysty i prawy jej charakter, godność matki, wiek jej wreszcie o 16 lat starszy od niego, sprawiał, że trudno było w tych stosunkach dopatrywać się czegoś niebezpiecznego, niemniej Justyna zaniepokoiły one i zasmuciły głęboko. Oddziaływanie na Lenę było trudne; raczej wydawał się Justynowi bardziej taktycznym udawanie, że nie bierze tych rzeczy serio; chłopcom też niezręcznie było zabronić wozić listów do ich kochanego „pamutka”; Justyn więc ograniczył się do zupełnie spokojnej uwagi, zrobionej Lenie, że te listy mogą być przez służbę w niepożądany sposób komentowane i lepiej byłoby ich zaniechać.

Ale dalszy ciąg nie dał długo na siebie czekać. Szablowski pojechał kiedyś do rodziców i tam, jak widocznie z listu jego Lena się dowiedziała, lekko zaniemógł. Popołudniu wyszła z domu. Justyn sądził, że – przejść się na spacer. Gdy jednak wieczór się zrobił, i nie wracała, mocno się zaniepokoił. Przyszła, gdy już lampy były zapalone. Ponieważ dzień był gorący, zastała go siedzącego na ganku i czekającego na nią. Na jego pytanie gdzie tak długo była, odpowiedziała otwarcie:

- Szablowski jest chory. Poszłam do Ciężkowic go odwiedzić. Nie mogłam go nie widzieć, bo go kocham. Nie chcę tego przed tobą ukrywać. Ale bądź spokojny, bo w tym uczuciu nic złego nie ma.

To było 15-go maja.

X

Serce Justyna rwało się w kawałki. W miłości swojej do Leny czuł się podeptany, ambicja jego cierpiała za nią boleśnie. Jak to, więc ta jego najdroższa, najmilsza istota, piękna nie tylko fizycznie, ale i duchowo Lena, jego nieskazitelna dotąd żona, matka sześciorga dzieci, powszechnie szanowana i kochana dziedziczka Borowin, może zapomnieć i poniżyć się do tego stopnia, żeby pozwolić sobie na tego rodzaju uczucie i odważyć się iść pierwsza do niego, do domu jego rodziców, aby po jednym czy paru dniach niewidzenia odwiedzać go w wymaginowanej przez nią chorobie? Wymaginowanej, bo na drugi dzień „chory” już był przy swoich obowiązkach w Borowinach. Justyn, znając ją, zdawał sobie sprawę, że to pójscie, podobnie, jak i cała jej dotychczasowa miłość, to – nic innego, jak wytwór jej szalonej egzaltacji, ale jej otoczenie po takim fakcie ma pełne prawo inne wyciągać wnioski i komentować postępowanie Leny, jak mu się żywnie podoba. Pocóż brukać swoje tak czyste i jasne dotąd imię i rzucać je bez żadnych skrupułów i zastanowienia na języki ludzkie? Zresztą Justyn, mając już przeszło lat 40, a tym samym doświadczenie życiowe, wiedział, że te rzeczy choćby najbardziej na razie platoniczne, nigdy nie stoją w miejscu, zwłaszcza przy uroku takim, jak u Leny, bo natura ludzka jest słaba, ułomna i grzeszna, i niewinny płomyczek uczucia, znalazłszy ku temu odpowiednie warunki, może się łatwo przerodzić w pożar już niższego rzędu, którego, zwłaszcza przy zapalnej i gwałtownej naturze Leny, się nie opanuje, i który pociągnąć ją może nawet wbrew jej woli w krainę zupełnego zatracenia.

Tak mówił zdrowy, trzeźwy rozsądek, a jako jedyny wynik logiczny tego głosu, powinno być, zdaniem Justyna, przerwanie sprawy w zarodku i zażądanie wyjazdu Szablowskiego. Ale jednocześnie należało zadać sobie sprawę, że przy silnej indywidualności i zaciętym charakterze Leny trzeba być przygotowanym na przeprowadzenie tej rzeczy siłą, bo ona dobrowolnie nie ustąpi. A siła w tych wypadkach to – broń obosieczna. Prowadzić może nie tylko do doraźnej awantury – to mniejsza, ale do zupełnego rozbicia tego, co się chciało ratować i kleić.

Justyn stanął wobec ciężkiej wali z sobą. Trzeba było tę albo tę drogę wybrać. Mniejsza, że jego miękka natura ciągnęła go w stronę bardziej łagodnego stawiania sprawy. Gra szła o wysoką stawkę, i dla dobra Leny, swojego, dzieci, całej rodziny, naturę tę potrafiłby w sobie przewalczyć. Ale miał poważne wątpliwości, czy ostrzejsze środki – właśnie w stosunku do Leny – będą rzeczywiście skuteczne i wskazane. Czy zwłaszcza w początkach, kiedy w postępowaniu jej nic jeszcze prawdziwego karygodnego nie było, poza samym uczuciem, doprowadzeniem do głośnego skandalu, zamiast polepszyć, nie pogorszyłby sytuacji, dając Lenie właśnie skuteczną broń do ręki dla przeprowadzenia swoich planów? Dzisiaj, widząc jego łagodne postępowanie, słysząc tylko miękkie jego do jej postępowania przestrogi, jest dla niego dobrą i serdeczną, a tym samym on ma jeszcze w ręku klucz do jej serca. A co będzie, gdy przez inne z nią wyjście klucz ten bezpowrotnie utraci?

W każdym razie, gdy sprawa się przeciągała, a ich długie poufne rozmowy trwały w dalszym ciągu, Justyn powiedział kiedyś do Leny:

- Lenko, jednak sama chyba widzisz, że sprawa dalej w obecnym stanie trwać nie może. On musi wyjechać.

A Lena na to:

- Justysiu kochany. Nie żądaj tego. Znasz mnie, że ja łatwo nie ustępuję. On wyjedzie, to i ja z nim wyjadę, i nic mnie nie powstrzyma. Pozwól, niech zostanie przez wakacje. Tak cię proszę. Potem on wyjedzie na studia do Taboru, sprawa automatycznie się przerwie, a ja zostanę z tobą, jeszcze ci bliższa i bardziej kochająca, niż dawniej. Wierz, że w całym tym stosunku nic złego, brudnego, nie ma. Kocham jego jasną duszę; nie więcej. To jest moje słońce – życie. Tyś w dotychczasowym postępowaniu ze mną w tej sprawie najmądrzejszą, jaką można było, drogę wybrał, bo ona mnie najwięcej krępuje. Surowością nic byś ze mną nie zrobił.

Cóż biedny, stojący na rozdrożu, Justyn miał z taką jej mową zrobić? Czy odtrącić ją, zmrozić i do świadomego doprowadzić skandalu? Wierzył jej słowom, jej jasnej duszy, ulegał przemożnemu wpływowi jej indywidualności, kochał ją pomimo wszystko po dawnemu i ... ustępował.

A Lena nie zawsze była taka spokojna i zrównowazona, jak w tej rozmowie. Czasem przychodziła na nią okresy rozterki, tęsknoty za swobodą, przestrzenią, słońcem.

- Justysiu, ja w tutejszej atmosferze długo nie wytrzymam. Czuję się chora i zupełnie z sił wyparta. Muszę gdzieś wyjechać. Mnie to rozdwojenie zje bardzo prędko. Duszę się bez powietrza i przestrzeni. Puść mnie! Puśćcie mnie wszyscy! Wrócę silna i uzdrowiona. I tak nic teraz ze mnie nie macie.

Justyn, traktując te jej wybuchy za przejaw chorobliwej hysterii podniecony skomplikowaną sytuacją w jaką się wprowadziła, zdając sobie przy tym sprawę, że, wyjeżdżając, nie chciałaby wyjechać sama, ale jego też ciągnęła za sobą – starał się nie wypowiadać w sprawie tego wyjazdu. Może przy zmienionym nastroju ona sama nie będzie go brała serio.

X

A tymczasem – niezależnie od tej ciężkiej duchowej rozterki Justyna – życie praktycznie i społeczne wołało go do pracy.

Jeszcze przed paru miesiącami, zważywszy na ułatwienia, jakie komenda austriacka w Końskich robiła w sprawie zakładania nowych szkół, Justyn powziął myśl – i rzucił ją do rozważenia gospodarzom Borowińskim, żeby w Borowinach założyć szkołkę wioskową, nie gminną, jak to było dotąd w zwyczaju, ale nowego typu – własną, miejscową, utrzymywaną poza środkami, jakie dawały władze okupacyjne, przez dwór i wieś Borowiny. Od gminy nie żądałoby się wówczas żadnych na utrzymanie szkoły funduszków, ale też żadnych składek publicznych do gminy na rzecz szkół nie opłacało. Byłaby to posiadająca prawa szkół publicznych szkoła czysto prywatna, w której uczyłyby się jedynie dzieci miejscowych włościan i dworskiej służby folwarcznej. Na tej wyłączności własności szkoły i związanych z nią ambicjach, jako pobudce działania, polegał cały sens pomysłu Justyna. „Nasza własna borowińska szkoła; nikt inny, tylko my sami, mamy do niej prawo”. To było hasło, rzucone w swoim czasie przez Justyna.

Ale nie od razu się ono przyjęło. Zeszło parę miesięcy, zanim posiane ziarno zaczęło kiełkować. Forsować zaś projektu świadomie Justyn nie chciał. Niech jego realizacja będzie aktem wyłącznej dobrej woli i decyzji zainteresowanych.

I oto w czasie najmniej dla Justyna pożądanym, bo i duszę miał bólem rozdarta, i żniwa w bliskiej perspektywie, i wezwania na czynności przewodniczącego Komisji Szacunkowej rejestracji strat wojennych w dalszej okolicy – przyszła do dworu gromada włościan miejscowych.

- Namyśliłiśwa się, proszę wielmożnego pana. Chcemy szkoły. Chcemy naszej własnej szkoły. Na inne nie damy, a na naszą damy, ile trzeba. I czym tylko kto z nas będzie mógł, przyczynimy się do tego, żeby tę naszą szkołę, w której nasze dzieci będą się uczyć, jak najbardziej i jak najlepiej i najoszczędniej poprowadzić. A panu dziedzicowi do śmierci wdzięczni będziemy za tę namowę i za starania, celem założenia szkoły podjęte.

Justyn uśmiechnął się z zadowoleniem. Celem jego idea tej „naszej własnej” szkoły odzwierciedliła się w tym przemówieniu gospodarzy borowińskich. Rzucone ziarno nie padło na opokę.

Ale konsekwencją tego stanu rzeczy była konieczność, pomimo wszelkich przygód, energicznego zajęcia się sprawą, jeżeli się chciało, żeby od jesieni dzieci mogły zacząć się uczyć.

Na drugi dzień Justyn wybrał się 60 kilometrów do Końskich. Uzyskał formalne zezwolenie na otwarcie szkoły, pokupował niezbędne rekwizyty, zobowiązał najgoręcej inspektora szkolnego do wyznaczenia dla nowej szkoły jak najlepszego nauczyciela. Po powrocie zajął się gruntownym remontem izby, przeznaczonej na szkołę, zrobieniem nowych ławek, tablicy itp. We wszystkim znajdował jak najlepszą wolę i ofiarną pomoc ze strony gospodarzy borowińskich.

A tymczasem musiał podjąć uciążliwe wyjazdy na czynności szacunkowe rejestracji strat wojennych do oddalonych gmin – Przedborza i Skotnik. Nie mógł z tak daleka powracać za każdym razem do domu. Pied à terre obrał sobie w Przedborzu i tam z górą tydzień nocował. Niepokoił się, co się dzieje z Leną i swoje urzędowe czynności zaprawione miał zgryzotą i bólem.

Ona to odczuwała i przez codziennie niemal okazje pisywała do niego częste kartki i listy.

Justysiu drogi – pisze w jednym z nich między innymi – myślę o Tobie i cierpię Twoim smutkiem. Życie bym dała, żeby Ci mogło być dobrze i wyrzucam sobie strasznie i cierpię. To niech mi zawsze będzie usprawiedliwieniem: „oto i moje łzy są tu zmieszane”, bo są, i to ciężkie i gorzkie. Nic się nie dzieje bez celu i to będzie miało swój cel; życie gdzieś prowadzi.

Napisz parę słów – prosi w drugim – jak się czujesz, czyś spokojny i nie smutny. Nie bądź smutny i jedz dużo, bo twoja mizerność mnie dręczy. Zobaczysz, mam przecucie, że życie Twoje będzie jeszcze dobre. Wyproszę to. To cierpienie nie bez celu – wyrobi Twoją duszę, a ponieważ jesteś dobry i Bogu miły, przyjdzie znów dla Ciebie okres dobry i spokojny. Myślę o Tobie i zdaleka najlepsze mam dla Ciebie uczucia.

Jak się tam czujesz ze zdrowiem – pyta znowu w innym liście

- na ten czas okropny? wiedz, że pragnę dla Ciebie zdrowia i dobra, choć Ci oprócz smutku i bólu nic dać nie mogę. Nie kochaj mnie, a lżej Ci będzie. Wiele słów dobrych przesyłam. Lena.

A tymczasem myśl Leny wyjechania gdzieś w szeroki świat dojrzewała. Gdy Justyn przyjechał po tygodniu z Przedborza, Lena przyjęła go gotowym już projektem. Pojedzie wzmocnić siły do Rabki, może potem – do Zakopanego. Chciałaby też zajechać, będąc niedaleko, do siostry Justyna, Pii, dziś już zakonnicy w Jarosławiu; pragnęłaby jej wpływu u rady w obecnej swojej rozterce. To ostatnia myśl bardzo Justyna zadziwiła, ale jednocześnie ucieszyła. Jednak w jej dwoistej naturze odzywa się czasem sumienie, skoro chce szukać siły

i rady w religii i klasztorze. Tylko cóż to może być za rada, skoro całą tę podróż Lena miała odbywać w jego towarzystwie, czemu – choć sama się z tym nie wypowiadała – nie przeczyła.

W końcu sierpnia wypadł Justynowi wyjazd kilkodniowy za interesami do Radomia. Niespokojny o Lenę, wysłał do niej telegram. Ona mu odpowiedziała kilkoma słowami na kartce:

Telegram twój otrzymałam. Nie odpowiadam, co zrobię, bo sama nie wiem. Zawsze gdzieś pojedę, a zresztą bądź spokojny o wszystko. Staraj się nie niepokoić o mnie. Wiedz zawsze, że musi być ciężko i módl się o siłę, aby można wszystko przetrwać. Myśl o całości, nie o drobiazgach. Pamiętam o Twoich życzeniach.

Zaraz po powrocie z Radomia musiał znowu Justyn jechać do Kielc odwiedzić starszych chłopców do tamtejszych szkół. Te nieustanne wyjazdy w tym szczególnie niebezpiecznym dla Leny czasie podwójnie mu ciążyły. Ale nie było na to rady. Chłopcom trzeba było jeszcze umówić ostatecznie stancję, którą mu znajomi rekomendowali, i co do której był już w korespondencji. Justynowi odpowiadała ona m.in. dlatego, że domek tej pani położony był na końcu miasta – choć niedaleko od szkoły – w świeżym, nie zduszonym miejskim powietrzu, właścicielka przy tym utrzymywała kilka koni, którymi zarabiała na życie. Chłopcy więc, tak kochając wieś i życie z nią, nie odczuliby tak dotkliwie raptownego przeflancowania na grunt miejski. Co do warunków utrzymania dzieci łatwo się porozumieli; pani Bielińska obiecała troskliwie się nimi zająć. W szkole oddał je Justyn w opiekę zacnemu dyrektorowi oraz znanemu sobie ks. prefektowi i zaraz wyjechał. Chłopcy, jak w listach pisali, czuli się i w szkole i na stancji, dość dobrze. Rozumieli, że uczyć się muszą, i uczyli się nieźle, choć bez entuzjazmu.

Lena, pomimo swojego dzisiejszego rozdarcia, troskliwa zawsze o dzieci, zaopatrywała wyjeżdżających pierwszy raz z domu chłopców w następującą, dotyczącą ich zachowania się, instrukcję, charakterystyczną nie tylko ze względu na treść dawanych im przez matkę zleceń, ale i na jej obecną psychikę:

Rano przeżegnać się i poprosić myślą Boga o pomoc. Wstać od razu, umyć zęby, umyć się porządnie, wyczyścić paznokcie, uczesać się, ubrać i zmówić pacierz z myślą i sercem, do Pana Jezusa zwróconym. Przy śniadaniu zasłonić się serwetą i jeść porządnie. Iść poważnie do klasy. Wróciwszy na obiad, zmienić kurtkę na gorszą, umyć dobrze ręce, uczesać włosy. Potem zastawić się serwetą, przeżegnać się i jeść bez łakomstwa, nie rzucając się tylko na to, co się lubi, a jeść wszystko po trochu; nie tłuszczyć się i nie walać. Po obiedzie podziękować pani Bielińskiej i odejść spokojnie, bez popychania się i kuksania. W ogóle być uprzejmym i grzecznym dla każdego, przede wszystkim dla służących i, o ile możliwości, każdemu w dniu zrobić coś miłego, oddać jakąś małą przysługę. Wieczorem do kolacji przyjść też ze świeżo omytymi rękami, przed spaniem umyć się porządnie mydłem, ubranie powiesić i ułożyć, książki przygotować na dzień następny. Po pacierzu spać spokojnie.

Po powrocie do domu czekała Justyna bardzo ciężka decyzja, dotycząca wyjazdu Leny. Pozwolić na ten wspólny wyjazd, to – rzucić imię jej na języki ludzkie, to – świadomie współdziałać ze złem, to – własnymi rękami rozniecać ogień, który w jej sercu tkwi, to – gotować ostateczne nieszczęście jej, sobie, dzieciom i rodzinie. Nie pozwolić – bo wszelka perswazja była w danym wypadku wobec charakteru Leny wykluczona – to wywołać jej gwałtowny sprzeciw i bunt, to – zbliżyć ją tym bardziej do niego, właśnie na przekór zakazom; to – zburzyć cały jej dobry jeszcze, przebijający z jej listów i powieści, nastrój w stosunku do Justyna i wszelką drogę jakiegokolwiek na nią wpływu, to – zrobić z niej swego wroga, a zwrócić ją bez podziału w tamtą stronę, jako ku jednej po zerwaniu z domem ostoi i deski ratunku.

Obie alternatywy w wynikach swoich przedstawiały się katastrofalnie, gdyż sam wyjazd Leny w założeniu był nieszczęściem, ale z dwóch dróg wołał Justyn wybrać tę, która pozostawiała jakakolwiek, choć nadzieję wyjścia z sytuacji, podczas gdy twardy zakaz wyjazdu przekreślał ją z punktu, według jego głębokiego przekonania. Być może, że to było przekonanie życiowo błędne, ale Justyn podejmował je na trzeźwo, z zastanowieniem. Pomimo przytłaczającego go nieszczęścia, dziwnie nie tracił równowagi wewnętrznej i spokojnego, beznamiętnego sposobu myślenia. Nie miał na swoje usprawiedliwienie tłumaczenia, że działał w stanie afektu, słabości, czy podniecenia. Nie mając nikogo z bliskich, czy to swoich, czy Leny, w pobliżu, był w swoich ciężkich decyzjach bardzo boleśnie osamotniony i brał całą swoją przyszłą dołę i niedołę na swoją własną odpowiedzialność. Jediną osobą, której w tej fazie sprawy zwierzał się ze swoim bólem i prosił o radę i wskazówki, a którą zresztą widywał teraz bardzo rzadko, był zdawna z nimi zaprzyjaźniony ksiądz Bronisław Ewert z Radomia.

Wyjazd Leny postanowiony został na 10-go września z tym, że w Rabce zabawi około trzech tygodni. Jedno Justyna na niej zdołał wymóc, że wyjazd ich nie nastąpi z domu razem, tylko – jeżeli już ona bez niego obejść się nie może – spotkają się gdzieś w drodze, i że pisząc o nich, będzie używać rodzaju żeńskiego jakby z jakąś kobietą drogę tę odbywała. Niech choć wobec ludzi pozory będą zachowane. Niech nie mają dowodu czarno na białym co do charakteru tej podróży.

Wyjechała z Borowin rano ze łzami w oczach. Justyn też głęboko był wzruszony i patrzył za nią długo, dopóki mu na skrócie z „nowej drogi” z oczów nie znikła. Zaraz z Włoszcowej otrzymał od niej przez powracającego furmana karteczkę następującą:

Justysiu drogi, kochany! Jeszcze Ci parę słów posyłam. Im dalej odjeżdżam, tym więcej i lepiej myślę o Tobie. Będę bardzo niespokojna o Ciebie. Zrób to dla mnie, jedź i śpij! Widzisz, mnie trzeba było wyjechać, i może właśnie to dobrze na wszystko wpłynie. Chcę wpływu Jarosławia, chcę wrócić do obowiązków. Gdy jadę, mam trochę ulgi. Justysiu drogi, proszę Cię, dbaj o siebie. Bądź spokojny o wszystko. Widzę Cię ciągle, i jest mi to strasznym wyrzutem. Do widzenia! Lena.

A w kilka godzin potem – karteczka od niej z Kielc przez następczą się okazję; w kartce tej m.in. pisze:

Za godzinę wyjeżdżamy z Krakowa. Myślę o Was, i o Ciebie tak jestem niespokojna. Bądź o wszystko spokojny. Taka Ci jestem wdzięczna, że mogłam jechać. Koniecznie to już było, bo strasznie się czuję zmęczona. Może w Krakowie odpocznę.

Z dalszej drogi Lena ciągle pisywała: z Rabki – do Justyna, Jacka, do którego spośród dzieci najwięcej zawsze miała sentymentu, oraz do p. Kowerskiej z Karczewa, potem znowu do Justyna – z Jarosławia. Pisze, że pobyt w Rabce bardzo jej dobrze zrobił. Justyn wysłał do niej serdeczny list do Jarosławia. Jednak te jej wszystkie listy, dowodzą, że to nie jest jeszcze człowiek stracony, że sumienie jej czuwa, że szuka dobrego wpływu i rady i chce wrócić do obowiązków. Rozsadza ją tylko rozterka duchowa, bo łudzi się, że zdoła pogodzić w swym życiu dwa kolidujące z sobą uczucia, a widzi, że to rzecz niemożliwa. I męczy się, i szarpie, i błąka po bezdrożach, nigdzie sobie miejsca znaleźć nie mogąc. Więcej nieszczęśliwa, niż zła. Więcej w swym uczuciu egzaltowana, niż istotnie świadomie kochająca przedmiot swego sentymentu. Prędzej czy później tam przyjsć musi rozczarowanie, a szczerb, które w swoim własnym gnieździe poczyni, odrobić już, niestety, nie zdoła. Ot, dopust Boży. W każdym razie Justyn dotąd, szczegółowo analizując swoje z Leną postępowanie, miał poczucie, że właściwą obrał drogę. Serce przynajmniej nic mu nie wyrzucało.

Rozdział XVII

Chcąc z jednej strony oddziaływać na psychikę Leny i podtrzymać ją w jej dobrych postanowieniach, które od czasu do czasu wpływały na powierzchnię oceanu jej skłębionych myśli w obecnym jej rozdwojeniu u rozdarcia duchowym, a z drugiej strony – dać ujście swoim własnym myślom, nieustannie koło jej osoby krążącym – Justyn w czasie jej nieobecności napisał dla niej z myślą wręczenia jej po przyjeździe rzecz treści następującej:

NA MORZU Opowieść

Żonie mojej w godzinę powrotu.

1. W przestwór

Wpłynęła Atma w wątlej łodzi z przystani na pełne morze.

Wpłynęła, bo jej serce, rozgorzałem miłością, z prawami życia rozbieżną, ciasno i duszno było w otoczeniu małego domku na wybrzeżu. Ona łaknęła światła, powietrza, przestrzeni, swobody, pełni.

Więc wzięła z sobą to, co na tę chwilę jedynie ukochała, i poszła.

A w białym domku pozornie nic się nie zmieniło. Słońce podawnemu rzucało w jego wnętrze snopy blasków i barw, kładąc je to na jasne główki dziecięce, bo na opuszczone ściany, to na próżne, przez nikogo niezajęte miejsce przy stole, to na wiązanki kwiatów zdobiące, jak dawnej, kącik tej, która odeszła.

W ogrodzie tak samo róże rwały oczy szkarłatem, różnobarwne powoje miłośnie oplatały ściany białe, a winograd, zwieszający się długimi warkoczami, poruszony wiatrem, bił zlekka o szyby okienne.

Tylko drzewa musiały jakąś bardziej tęskną pieśń nadchodzącej jesieni.

Zwłaszcza dwie wierzby stare jakby boleśniej skarżyły się na dotkliwą i dziwną krzywdę, jaka je jeszcze wśród skwarnych dni letnich spotkała. Jedna tuż przy domu, wyniosła, rozłożysta, potężna, że jej stali każdego lata, a mili goście z za morza, jakby wzgardziwszy corocznym na jej wierzchołku mieszkaniem, lub w przeczucie czegoś złego, zrzuciły z wysokiego gniazda młode i wyniosły się w inne strony; druga, dalej przy drodze stojąca – że zły wichur, w czas burzy przypadłszy i oddarłszy bezlitośnie jedną jej połowę, ją śmiertelnie okaleczył, i wizerunek święty na niej przytwierdzony, na podobne poniżenie wystawił.

W domku białym pozornie nic się nie zmieniło.

Tylko dusza z niego wyszła.

A druga, co została, podobna do tej wierzby na dwoje rozdartej, poczęła rwać się z tęsknoty, niepewności, i bólu, i męki.

I przychodziły na nią chwile straszne, do śmierci podobne. To znowu zrywała się do czynu i życia, aby po jakimś czasie popaść w poprzednie odrętwienie i rozpacz.

Tak szły dnie jeden za drugim w smutku, tęsknocie i oczekiwaniu.

A Atma w tę porę płynęła po morzu szerokim.

Miała przed sobą przestwór wód, pod sobą – głębie nieprzeniknioną, nad sobą słońce – życie lub gwiazd miliony.

Miała przy boku to, co jedynym jej szczęściem teraz było na ziemi.

Nikt kroków jej nie śledził, nikt słów nie odmierzał, nikt pęt nie nakładał jej snom i łzom, nikt na nią nie patrzył, jeno Bóg ...

Toteż twarzyczka jej, cudna zawsze, w tej atmosferze nieziemskiej rozkwitła niebywałym blaskiem. Oczy jej rzucały promienie światła, usta rozchyłały się cudnie, a cera, zwykle blada, nabrała koloru jutrzenki.

Gdy na morzu nastawała cisza przedwieczorna, w lustrze wód odbijała się ta dobra o subtelnych rysach twarzyczka, obramowana dokoła, niby koroną, warkoczem ciemnych włosów, suknią barwy kości słoniowej, przybrana czarną koronką; pęk kwiatów fioletowych u piersi, pęk kwiatów fioletowych we włosach.

I była cała, jak kwiat uroczy, nieziemski, rwący oczy – tylko smutny.

Bo też Atma, pomimo wszystkiego, co w tej chwili posiadała, pomimo pełni, której tak łaknęła, pomimo wdychania pełną piersią atmosfery swobody i przestworu, nie czuła się szczęśliwą.

Była, jak ta wisząca kiedyś nad jej łóżkiem głowa Chrystusowa, której oczy zdają się raz zamknięte w ciszy i spokoju, to znów rozwarte łzami i bólem wielkim.

Nieraz, gdy wiatr zadął z północy i morze poruszył, a fala, porwawszy łódź na grzbiet wyniosły, strącała ją w otchłań spienioną, strach okropny przejmował biedne serce Atmy. Wtedy dopiero czuła, w jak kruchej spoczywała łupince, i jakim jest atomem maleńkim na tym rozhukanym morzu.

I nie o życie jej chodziło, bo go teraz nie ceniła, owszem, pragnęła umrzeć. Ale drżała, przyrównując ten żywioł do swego serca, rozgorzałego kochaniem. I w nim obok smutku cichego pełno burz i walk. I w nim fale wysoko piętrzących się uczuć, przewalają się jedną za drugą, a ona wśród nich jest, jak owa łupinka krucha, niezdolna zapanować nad siłą żywiołu, który lada chwila strącić ją może tam, gdzie zatracenie, śmierć i zagłada ...

1. Widzenie

Raz, gdy w podobną myśl z lękiem wpatrzona, w śmiertelnym znużeniu usnęła na dnie łodzi, zdało jej się, że jakowaś postać biała i wyniosła zbliża się ku niej po fali. Morze było ciche, niebo usiane gwiazdami, noc widna – ale ona ciężkich jak ołów powiek rozewrzeć nie może i poprzez nie patrzy na tajemnicze i cudne zjawisko.

Postać podeszła do niej, rękę miękką jak aksamit na głowie jej złożyła, i dał się słyszeć głos jej, do dźwięku harfy podobny:

- Nieszczęsna, coś uczyniła? Przecz błądasz się po tych bezludnych przestworzach w zapamiętaniu bez granic, zamiast rozgrzewać własne ognisko i strzec tego, co dane od Boga?

Przecz nie umiałaś w porę postawić tamy uczuciom grzesznym i wyrwać z korzeniami chwastu, który wyrósł w twej duszy?

Przecz miłszym co jest towarzyszem ten, dawniej ci nie znany, a nie tamten, z którym cię Bóg złączył, z którym lata długie przeżyłaś, który jest ojcem dzieci twoich, a który tam hen, rzucony przez ciebie, w łzach i udręce myśli od ciebie oderwać nie może?

Przecz zapomniałaś złożonej przysięgi: a iż cię nie opuszczę aż do śmierci?

A Atmę, która miała krew gorącą i nie przywykła woli niczyjej nad sobą uznawać, podniosła głowę. Twarz jej spłonęła rumieńcem i przybrała wyraz dumy i siły. Szybkim ruchem zsunęła rękę, na jej głowie wspartą i rzekła:

- Ktoś jest, kto śmiesz wglądać w tajniki serce mojego?

Dla nich ja nikogo nie wpuszczę!

Tłumaczyć ci się nie będę, ani usprawiedliwiać, ani upokarzać.

To mogę tylko przed Bogiem.

Ta Najwyższa Głowa sądzić mnie będzie.

Niczym są dla mnie więzy i prawa przez ludzi nakładane. Zerwę je i zdepczę, gdy prawa mego serca w poprzek drogi staną.

Nie poczytuję też za prawo przysięgi w nie świadomości składanej.

Odeszłam, bo długie lata wspólnego życia nie zapełniły pustki serca mojego.

Szukałam pełni. Tu ją znalazłam. I poszłam.

To jest moja ukochana dusza.

To, co nazywasz chwastem, ja mam za kwiat najpiękniejszy, jaki mógł wyrosnąć na ziemi.

Tu ja jestem promieniem. Tamtemu nic dać nie mogę, prócz bólu i męki.

Dlatego odeszłam.

Jeśli chcesz prawdy, to ją masz.

A postać biała tą mową gwałtowną nie zdała się dziwić, ani oburzać. Postąpiła krok jeszcze, dłoń miękką położyła na drobnej ręce Atmy i rzekła.

- Dziecko drogie. Nie mam prostować dróg, które Bóg ustanowił i nam po nich chodzić kazał.

On silniejszy od nas, więc na nic się zda nasz bunt i wyłamywanie się spod praw Jego.

Więzy szarpane gwałtownie, tym boleśniej tylko ciało nasze ranią.

Tyś biedna bardzo, dziecko moje, i żal mi cię z całego serca.

Ja, widzisz, przychodzę, jako dusza, bardzo ci bliska.

Wypowiedz mi ból twój, to lżej ci będzie, a może ci coś pomóc będę w stanie ... Nie lękaj się ...

A wzburzone myśli Atmy pod tymi miękkimi słowami uspokajać się poczęły. Nie gniewała się już, nie odrzuciła dłoni, która rękę jej wciąż trzymała, lecz, zapatrzona w dal bezbrzeżną, tak mówiła:

- Nie wiem dotąd, kto jesteś, ale czuję, że choć od surowej mowy zaczęłaś, przychodzisz nie aby karać i potępiać, ale aby w niedoli rękę podać i bóle łagodzić.

Choć przywykłam krzyż mój sama dźwigać, nie zataję ci męki swojej.

Tylko że mi słów do jej wypowiedzenia brak.

Bo ona jest, jak owo bóstwo pogańskie, trzy posiadające oblicza. Cierpię za siebie, cierpię za tego, cierpię za tamtego.

Gdy przed wypłynięciem na morze siedziałam przy dawnym swym ognisku, szarpałam się połowicznością życia, przymusem, obłudą, fałszem.

Choć tamten, muszę przyznać, robił nadludzkie wysiłki, by zostawić mi swobodę, była ona swobodą ptaka w obszernej klatce.

Gdy chciała czasem wkraczać w tajniki serca mojego i kłaść pęta mowom moim i czynom, nie wpuściłam go ani na krok i nienawidziłam z całego serca.

Gdy mówił, że moje uczucia obecne jest tylko porywem młodzieńczym, stanem ekstazy, który trwać będzie dopóty, dopóki życie do niego twardą się ręką nie dotknie – patrząc na niego z politowaniem, pragnęłam dowieść jednej chwili, że to fałsz i nieprawda. Chciałam w tejsze minucie rzucić wszystko i uciekać gdzieś w dal bez końca, byle dalej, byle nigdy nie wrócić!

Tylko gdy patrzyłam na gromadkę otaczających mnie jasnych główek dziecięcych, z ufnością bez miary i miłością we mnie wpatrzonych, odzywał się we mnie silniejszy głos obowiązku. Rozumiałam, że im się krzywda dzieje, że nadużywam ich zaufania, i choć wmawiam sobie, że taka jak jestem, i im na nic przydać się nie mogę, postanowiłam sobie jednak dla nich niedługo, choć na próbę ...

Ale wtedy znów jak polip wkręcało mi się w mózg pytanie : jak odejść od tego?

Jak żyć, jego przy sobie nie mając?

Jak wrócić bez duszy do dawnego życia i realnej rzeczywistości?

I ta dwoistość, ten rozłam, to rozdarcie męką mi były niewypowiedzianą. Czułam, że każde spojrzenie, każde słowo cieplejsze, zwrócone w jedną stronę, cierniem stawało się dla drugiej.

W każdym razie dopóki tam byłam, całe serce moje stało niepodzielnie po tej stronie.

Po tamtej był obowiązek, lata przeżyte wspólnie, przyzwyczajenie, czasem litość ...

Ten był moim promieniem, siłą, ukochaniem, wszystkim. Tamten – tyranem, może mimowolnym, ale nie mniej okrutnym, stale wpatrzonym w zwykłą wąską i utratą kolejną życiową, stale zciągającym z błękitów na ziemię ...

Toteż stałym zakończeniem długich moich z nim rozmów był mój, okrzyk: Ah, żebyście wy mnie puścili! Ah, żebyś ty mnie puścił!

I puścił ... Puścił nie tylko na chwilę, ale powiedział, że jeżeli się okaże, że życie w domu mi nie do wytrzymania i zechcę stanowczo odejść na zawsze, on mi przeszkód czynić nie będzie ...

Tylko głuchy był na jedną moją prośbę, aby sobie bezemnie życie urządził. W tym był nieprzejednany. Mówił, że czekać będzie choćby bardzo długo i wymógł na mnie przyrzeczenie, że każdej chwili, w której z jakich bądź przyczyn zapragnę do niego wrócić, ma wrócić bez skrupułów, a miejsce przy ognisku do końca czekać mnie będzie.

Odetchnęła, zmęczona długą mową i oczy cierpieniem przyćmione, podniosła ku gwiazdom. Po chwili zaś mówiła dalej:

- Dziś, gdy uwolniona osiągnęłam cel upragniony i mogę swobodnie korzystać z praw wolnych duchów, nie oglądając się na prawa świata, gdy nie potrzebuję, przed nikim zdawać rachunku z moich słów i snów, i być nareszcie sobą – zdawałoby się, że cierpienie moje skończyć, a przynajmniej złagodzić się powinno, a myśli – przyjść do równowagi i ładu.

Na morzu, prawda, które lubię bez miary, lżej mi oddychać, puls równiejszy i pełniejszym bije tętnem, i tę duszę moją słodko nad wyraz mieć bez podziału przy sobie – ale cierpienie moje nie ustało, tylko inną przybrało postać.

Teraz tamten, zasnuty mgłą oddalenia, tyran i okrutnik, krępujący moje ruchy, tamujący oddech i istota w moich oczach niezdolna wznieść się na wyżyny ducha i woli bezwzględnej wyznawca praw ludzkich, kroczący bezkrytycznie po wydeptanych ścieżkach życiowych – zaczyna mi z oddali jakby oczyszczać się z zarzutów, wyrastać zasługą ...

Mam go ciągle w oczach z rozpaczonym wyrazem w chwili pożegnania, i ten widok jest mi nad wyraz bolesnym wyrzutem.

Pamiętam żywo, jak mi był bez miary wdzięczny za każde lepsze zwrócone do niego słowa czy spojrzenie, za każdy okrucieństwo mu rzucony, za każdą, przeznaczoną dla niego chwilę rozmowy ...

I myślę, że może ja jednak nie doceniałam jego kochania, mierząc je jedyną miarą ze swoim, i uważając tamto zawsze za płytki, martwe, roślinne?

I im dalej odpływam, tym więcej mi się krzywdą i ujmą dla tego, który jest moim światem, i siłą, i duszą, którym serce moje jest naw skroś przepełnione. Nie masz w nim dla dwóch miejsca!

Stąd dzisiejsza moja walka i rozpacz. Chętnie bym życie oddała, żeby im obydwóm było dobrze, a tu właśnie żaden z nich bezemnie obejść się i żyć nie potrafi.

Więc choć teraz niby żyję na swobodzie, męczę się i szarpię niewypowiedzianie. I modlą się w łzach i ucisku o pomoc i ratunek. I szukam wokół jakiegoś wyjścia, jakiejś drogi, a drogi tej znaleźć nie mogę! Szukam podpory, wpływu, rady ...

Skończyła. A twarz nieznajomej w miarę słuchania tej długiej spowiedzi, nabierała jakichś blasków nieziemskich, i coś, jakby radość, przebijało w oczach jej jasnych.

- Duszo droga! A więc nie na próżno przyszedłam do ciebie. Przyszedłam w niebezpiecznej chwili zwątpienia, aby ci rękę podać i uchronić cię, ustrzec od upadku i zguby.

A teraz, słuchając twej opowieści, z ulgą widzę, że życie twe, choć bardzo potrząskane, jeszcze nie jest stracone, i że po dniach cierpienia i męki przyjdzie dla ciebie czas spokoju i uciszenia.

To, co się stało, przyszło na ciebie jako nieszczęście i jako próba.

Nie powiem, żeś bez winy, ale Ten, który będzie ważył na szali tę winę i zasługi, i ból, i cierpienie – znajdzie dla ciebie zmiłowanie.

Albowiem On sam zesłał na ciebie tę próbę.

To, co wam się zdawało, że przyszło z ziemi, przyszło z nieba.

A zesłanie było na ciebie dlatego, żeś Mu bliższa od innych, żeś wiele ukochała, że umiesz cierpieć i czuć, że masz serce wrażliwe na nędzę i ból, że dusza twa w gruncie rzeczy piękna i szlachetna.

On ci zesłał próbę, On ci też rękę w niej poda i wyprowadzi z niej zwycięsko ku większej twej chwale i zasłudze.

Z Jego pomocą wyjmiesz z serca nie chwast, jak po otwarciu mi duszy twej widzę, ale istotnie jakiś kwiat, może i piękny, ale trujący, któryś w bólu i męce wyhodowała, i również w bólu i męce wyjąć musisz.

A wyjąwszy, złożysz go na ołtarzu obowiązku.

W on czas czcić i wielbić cię będzie każdy, a ty, przeszedłszy przez otchłań bólu, spokoju zaznasz i radość, i jeszcze jaśniejsze niż dawniej promienie słońca będziesz dokoła.

Jeżeli ty dzisiaj, w godzinie upojenia, wracasz jednak tęskną myślą do tego, coś porzuciła, jeżeli nie odrzucasz hardo, a raczej szukasz pomocy i drogi, jeżeli w sercu twoim znajdzie się dziś miejsce na wyrzut i upokorzenie, choćby tylko przed Bogiem, to godzina kresu twojej próby bliska.

Możesz mi wierzyć, bo mam dar sięgnięcia wzrokiem dalej, niż oko ludzkie sięgnąć jest zdolne, *bo mowa moja nie jest z ziemi.*

Gdy Atma w tej chwili spojrzała w twarz mówiącej, dziwna uderzyła ją jasność. Jakaś moc i potęga, jakaś świętość biła z tej postaci. Skrzydła urosły jej u ramion, a głowę otoczył blask jakiś nieziemski.

Atma osunęła się na kolana, głowę swą nieszczęsną wtuliła w fałdy płaszcza białego i łkające pytała:

- Ktoś jest, któryś potrafił tak rychło skruszyć serce moje, ukoić rozpacz, usunąć zwątpienie i drogę jasną mi wskazać?

A w odpowiedzi usłyszała głos, jak na początku, do dźwięku harfy podobny:

- Jam jest wysłannik Tego, który na cię ciężką próbę zesłał, który winy twe i zasługi położy na szali, przed którym gotowa jesteś się upokorzyć.

Jam twój Anioł – Opiekun.

Przyszedłem do ciebie i po ciebie.

Chcesz – li, aby cię odprowadziła do domu twojego?

A przed Atmą zarazem niebo i przepaść się otwarły. Pełnymi uwielbienia, ale i przerażonymi oczyma spojrzała w twarz Anioła i cichy rozpaczonym szeptem spytała:

- A z tym co będzie?
- On w imię twoje przecierpi i pójdzie swoją drogę.
- Nie zginie?
- Nie, nie zginia. A ty odpowiedz mi, chcesz – li wrócić?

Atma głowę niżej do stóp Anioła schyliła i zapłakawszy płaczem wielkim za tym, którego na zawsze pożegnać miała, odpowiedziała jednak cichym ale stanowczym głosem:

- Chcę.
- Wówczas i jej skrzydła wyrosły u ramion i stała się w swej szacie jasnej sama do aniołów podobna.

Anioł zaś ujął ją za rękę, wyprowadził z łodzi, która samotna ostała na morzu, i jął cicho prowadzić po falach z powrotem ku przystani dalekiej.

Atma raz jeszcze pożegnalne spojrzenie na łódź rzuciła.

I poszła.

A w księdze niebieskiej zapisano jej tę godzinę złotymi zgłoskami.

Noc już schodziła, gwiazdy bladły. Tylko na wschodzie gwiazda poranna świeciła jasnym oślepiającym blaskiem.

W ten punkt świetlany wpatrzone stąpały dwie białe postacie, do duchów niebieskich podobne.

Nad nimi gdzieś tam w górze rozbrzmiewał hymn radosny aniołów, a ich usta poruszały się szeptem modlitwy ...

X

Zeszyt z taką oto fantastyczną opowieścią położył Justyn Lenie w chwili jej powrotu obok kwiatów na jej nocnym stolyczku. W karty te włożył całą głębię swego do niej uczucia, całą wiarę w możliwość jej do niego i do rodziny powrotu, cały swój ból i tęsknotę.

Lena zapewne opowieść czytała, powiedziała ogólnikowo, że jej się podobała, ale merytorycznie wypowiadać się o jej treści i wnioskach z niej płynących, nie miała ochoty. Wyjazd nie wpłynął jednak niestety na jej usposobienie. Przeciwnie, była ciągle rozdrażniona, nie związana z rzeczywistością, ciągle rwące się dokąds i do czegoś, czego określić nie umiała. Stan jej obecny fizycznie nazwać by można chorobliwą neurastenią. Na palcu nosiła jakiś nieznany Justynowi pierścienek, najprawdopodobniej pochodzący od niego. Dla Justyna – poza chwilowymi podrażnieniami – nie była nawet zła. Ale ogólna jej psychika nie wróżyła nic dobrego. Ledwo wróciła, stanęła przed nim wizja nowego jej wyjazdu, o którym niejednokrotnie w rozmowach natrą cała, co – rzecz prosta – doprowadzało go do rozpacz. Niechętnie się wypowiadał, natomiast, choć była w domu, wołała przesyłać Justynowi swoje myśli na piśmie. W jednym takim krótkim liście pisała:

Justysiu drogi! Żal mi zawsze i boleśnie bardzo, że mówię niepotrzebnie to, co Ci przykrość sprawia. Ale, widzisz, ja już mam czasem męki za dużo, a nadmiar męki czyni człowieka złym. Nie gniewaj się i nie kochaj mnie, bom zła. A bardzo nieszczęśliwa. Wiem, że cóż ty możesz dla mnie zrobić. Przepraszam Cię za wszystko.

Drugi list długi i śliczny, jeżeli chodzi o grę jej uczuć, ale ze względu na poufny charakter nie nadający się do przytoczenia w całości, zawierał następujące charakterystyczne a szczerze momenty.

Justyn drogi!... Chcę, żebyś wiedział na zawsze, co było w mojej biednej duszy. Chcę, żebyś wiedział, że serce moje wiele, wiele ma dla Ciebie dobrych uczuć. Gdy jestem od Ciebie daleko, serdecznie myślę o Tobie. Wdzięczna Ci jestem za Twoje uczucie, za dobroć Twoją dla mnie, za ustępstwa, które choć z trudem, i ciężkością, i ofiarą robiłeś dla mnie. Czuję krzywdę, którą Twemu życiu uczyniłam ... Stałam się dla spokojnej, utartej, dobrze zregulowanej drogi Twego życia tym, czym strumień rwący i burzliwy, który drogę tę powyrywał i poszczerbił ... Czuję się wobec Ciebie winną bardzo i upokorzoną ... Gdy pójdę, Justysiu, daruj mi, mów sobie, że taka jak jestem teraz, niczym dla Ciebie i dla nikogo jestem, bo żeby żyć i ożywiać, trzeba mieć w sobie życie wewnętrzne; ja go nie mam. Ty wiesz – tu jest tylko nędzne ciało moje. Myśl, serce, dusza i tęsknota są gdzie indziej. To nie szal, Justysiu, nie zapamiętanie, mówię Ci to szczerze tak, jak przed sumieniem swoim. To tęsknota nad wszystko silniejsza za tą swoją jedyną duszą, dla której też wszystkim jestem. Uwierz w to. Życie tak chciało. Nie ma w tym nic niebieskiego. Wiesz, jak bardzo mało jestem fizyczna, a teraz wprost prawie z tego ziemskiego prochu otrząśnięta. Nie chcę z nim chwil. Chcę dzielić jego dołę, a prędzej jego niedołę. To mus, to moje przeznaczenie. Weź to spokojnie ... Ja Ci przyrzekam najuroczyściej, że gdy się losy moje różnie może ułożą, lub gdy wrócić zapragnę, wrócę do Ciebie może, jak ten romantyczny, połamany i rozbity ... Wrócę cicha i pokorna, przygarniająca się do nóg Twoich i do

nózek dzieci moich ukochanych, by do końca życia służyć Wam nie promieniem – tym być bym już nie mogła – ale dobrym, kochającym duchem. I wtedy nie wrócę zbrukana, tylko winna bardzo wobec Was, drodzy. Kocham Cię Justysiu. Raczej z całym sercem i przywiązaniem całym, będę z Tobą z daleka. Nie gnęb się. Przyjm spokojnie moje odejście. Powróci ... Zawsze ci mówiłam prawdę, wiedz, że i teraz dotrzymam ... Teraz muszę odejść od tego życia, muszę, Justysiu. Puść mnie, wrócę ... Módl się za moją duszę. Przedstawiaj Bogu, że ona miała dużo dobrej woli. Niech jej Chrystus daruje, niech jej nie potępi. Gdybym umarła, módl się bardzo.

Jakiż szalony tragizm, jakie rozdarcie duchowe przebija z tych kart, z całą szczerością, jak się wyczuwa, pisanych! To już ciężka choroba nie tylko fizyczna, ale i psychiczna. Czy jest jakiś sposób jej leczenia? Czy miałby jakieś realne szanse zabronienie jej wyjazdu, choć można było być pewnym, że za tym wyjazdem leży już całkowita jej strata, dla rodziny i całkowite jej osobiste zatracenie? Justyn, którego serce stało się jedną wielką krwawiącą raną, zajął stanowisko bierne. Nie wyrażał swej zgody, ale też w obecnym stanie psychicznym Leny nie widział możliwości opanowania. Modlił się, żeby Bóg duszę jej odmienić, zdał się na wolę Boską i nie przestając na nią moralnie oddziaływać – czekał.

Widząc, że wpływ ten jest całkowicie beznadziejny, a chcąc wyczerpać wszelkie możliwe środki, postanowił – choć to było dla niego nad wyraz ciężkie – pomówić jeszcze raz z Szablowskim. Może on, mając szlachetne pierwiastki w charakterze, zdoła jeszcze na nią wpłynąć, szaleństwo wyjazdu przedstawić, zając wobec jej nieopanowanych impulsów zdecydowanie męskie stanowisko.

Szablowski, zbierając się już do Taboru, część czasu spędzał teraz u rodziców, część – w Borowinach. Dużo, zwłaszcza wieczorami, rozmawiał z Leną. Justyn znalazł kiedyś odpowiednią chwilę.

- Widzi pan – rzekł – jaka się sytuacja wytwarza. Żona moja jest psychicznie chora i w postępowaniu swoim szalona i nieobliczalna. Ja wpływu na nią nie mam. Rodzinie naszej grozi rozbitcie. Dużo zależy od pańskiej postawy. Czy na pana poczucie honoru w tej sprawie mogę liczyć?

Zdecydowanie odpowiedział:

- Może pan.

Chociaż wobec silnej przewagi indywidualności Leny niewiele Justyn mógł do jego oświadczeń przywiązywać wagi – aby tym mocniej pobudzić jego ambicję, powtórzył wkrótce potem swoje pytanie drugi raz, dodając, iż powinien zdawać sobie sprawę, że w razie ostatecznego podeptania jej godności jeden z nich żyć nie może. Zapomniał Justyn, mówiąc to, że poza Leną miał jeszcze sześcioro dzieci na swej wyłącznej opiece i odpowiedzialności, więc nie mógł swoim życiem dysponować.

Szablowski odpowiedział, jak poprzednio, że na jego poczucie honoru Justyn może liczyć.

X

Niezależnie od ciężkiej duchowej rozterki, w jakiej się Justyn znajdował, życie odciągało go w stronę praktyczną.

W połowie października po szczęśliwym załatwieniu wstępnych formalności nastąpiło uroczyste otwarcie szkoły wioskowej w Borowinach 40-ro dzieci zasiadło w ławkach do pracy. Nauczyciel okazał się bardzo po myśli Justyna. Umiał do dzieci trafić, uczył dobrze. Zrozumiał przewodnią myśl Justyna w założeniu szkoły.

W tym też czasie przyszło do terytorialnego powiększenia Borowin, częściowego wyrównania ich granic, a to z następującego powodu.

Kiedy przed kilkadziesiąt laty poprzedni właściciele Borowin państwo Regulscy sprzedawali las – na tartak parowy i skład drzewa sprzedali nabywcy, żydowi, w środku terytorium majątku, w pobliżu Pilicy, 20 – morgowy kawałek ziemi. Chociaż to był przeważnie liche piasek, niemal nieużytek, wyłącznie go bardzo psuło figurę majątku i Justyn od dawna powiązał myśl, żeby go odkupić, co było pożądane tym więcej, że chodziło o ręce żydowskie. Wszedł więc w pertraktacje z zamieszkującymi w Przedborzu sukcesorami nabywców gruntu, a że im też miłsza była gotówka, niż bezużyteczna, daleko położona posiadłość, więc za minimalną cenę Justynowi grunt zgodzili się sprzedać. W tym właśnie czasie doszło do aktu rejentalnego, i Justyn stała się właścicielem drugiej obok Borowin jednostki hipotecznej „Piła”.

Na wszystkich Świętych przyjechał do Borowin odwiedzić Justynów ich dobry przyjaciel, ksiądz Bronisław Ewert. Justyn bardzo był rad z tej bytności, bo liczył trochę na to, że, będąc wtajemniczony w sprawę Leny, może będzie mógł w tym decydującym momencie jakiś wpływ na nią wywrzeć. Rozmawiali istotnie szczerze i dużo, ale Lena, jak zahipnotyzowana, powtarzała w kółko to, co pisała w swoim liście do Justyna. Dał on księdzu do przeczytania swoją napisaną dla Leny opowieść „Na morzu”. Był nią zachwycony i powiada z całym entuzjazmem do Leny:

- Niechże pani to czyta!
- A ona, pochyliwszy głowę, odrzekła:
- Jeszcze nie jestem warta.

Śliczne skądinąd powiedzenia, ale na tle dzisiejszej realnej rzeczywistości jakież smutne i beznadziejne!...

Rozdział XVIII

W tydzień po bytności ks. Ewerta Lena wyjechała do Kielc z tym, że ma stamtąd jechać do Krakowa i Zakopanego. W Kielcach odwiedziła kilka razy chłopców na stacji u p. Bielińskiej i, jak się Justyn później od nich dowiedział, rozmawiała z jakimś nieznanymi jej dotąd osobami, m.in. o Czechach i zakładach leczniczych w nich leżących. Z Kielc napisała do Justyna obszerny serdeczny list, w którym m.in. donosi, że z sercem czuje się bardzo niedobrze i za dwa dni wyjeżdża do Krakowa poradzić się doktorów, że tęsknota i smutek rozpaczliwy idą za nią wszędzie, że ludzie męczą ją strasznie. Jedno ją ciągnie, to jechać gdzieś bez końca.

Tam u Was źle mi też – pisze dalej – choć tęsknie bardzo. Teofilki jasny lebek widzę ciągle i wasz wszystkich, którzy mnie kochacie, a jednak źle mi z Wami. Tyś taki dobry, a mnie źle i źle. Żebyście wiedzieć mogli, jak Was z oddali coraz więcej kocham, jak o Was myślę serdecznie ... Ilebym ja mogła zrobić dla chłopców, gdyby życie było we mnie, ale jedynie poza życie. Pozwólcie mi na to, nie ma dla mnie innej rady ... bądź błogosławiony, Justysiu, że masz dla mnie zrozumienie, wrócę za to dobra i cicha ... Będę pisała, ale nieregularnie. Nie niepokój się, gdy dłużej kiedy mieć nie będziesz listu. Ty wiesz, że ja nic regularnie robić nie mogę.

Ta sama więc wciąż szarpanina z powodu niemożności pogodzenia sprzeczności, ale jednocześnie brnięcie dalej w tamtym kierunku. Te rozmowy o Czechach, zapowiedź, że może od niej dłużej nie być listu, podobnie jak i niektóre inne zwroty w tym liście kieleckim, nasuwają wyraźnie myśl, że chodzi jej po głowie szaleńczy pomysł jechania do niego do Taboru.

Listu istotnie długo tym razem od Leny nie było. Tymczasem na Justyna przyszła w Borowinach choroba. Nie długa, ale dość poważna. Około tygodnia przeleżał w gorączce 40°. Mająca jego myśl była bez ustanku przy Lenie. Podczas najgorszych nocy przyciskał do ust jej różową matinkę, z którą się nie rozstawał. Nie mając imaginacji, miał jednak wrażenie, że źle z nim będzie; myślał o księdzu i rozporządzeniach.

Sąsiedzi, m.in. ojciec Szablowskiego, go odwiedził, pytając o Lenę, jak się czuje, kiedy wróci. A jemu dusza rwała się z męki, ale opowiadał pogodnie, że świeżo pisała z Kielc na wyjezdnym do Krakowa i Zakopanego, że nie czuje się niestety dobrze.

Dowiedziawszy się przez Ciężkowice o chorobie Justyna Lena telegrafowała z zapytaniem o jego zdrowie do Kielc do chłopców, ale ten telegram przez wiele rąk przeszedł, odpowiednie komentarze wywołał i dzieci w niejasną, tajemniczą grę wprowadził.

Zdrowy organizm Justyna zwyciężył. Choroba się przesiliła. W parę dni po wstaniu otrzymał od Leny list z pieczętką krakowską, ale, jak się okazało, nie z Krakowa.

Justysiu drogi! Jestem w Czechach od paru dni. Dowiedziałam się, że jest chory i że wkrótce grozi mobilizacja – nie mogłam go nie zobaczyć. Jechać samej do

Zakopanego, siedzieć tam z rozpaczą w duszy i ze swoimi myślami, nie czułam siły. ... Justysiu, ty wiesz, że bez tej próby nigdy bym naprawdę z Wami być nie mogła, a tak strasznie cierpię, że Ci muszę to napisać i sprawić Ci ból ... Nie wiem, nie śmiem pisać do Ciebie. Zmiłuj się, nie gniewaj się na mnie, weź to spokojnie. Bez tej próby nikt by mnie nie utrzymał – widziałeś sam. Lepiej, że prędzej do niej przyszło ... chcę, żeby nikt nie wiedział. Proszę Cię, błagam, nie mów nikomu. Mów, że na kuracji. Ciężkowicom – też ... Pamiętam Twoje ostrzeżenia, pamiętam wszystko. Spisywać dla Was będę wszystko ... Rozterkę mam wieczną. Widzę, że życie nie łatwe, z koryta wyjść nie pozwala. Napisz o dzieciach, o sobie wszystko, wszystko. Tak bardzo się czuję winna i biedna. O ile nic nadzwyczajnego nie znajdzie, wrócę do Was pewnie niedługo i wtedy już na zawsze.

W krótkim czasie podobnej treści list napisała Lena do starszych chłopców – Janusza i Tomka w Kielcach. Nie pisze im, że przyjechała do Czech, ale nie ukrywa, że jest z nim.

Pamutek kaszle i słaby – pisze m.in. – Jak o którym z Was wspomnieć, płacze rozpaczliwie. Czemu ja Was wszystkich razem kochać nie mogę? ... Piszę ten list tylko do Was, synki moje. Nie pokazujcie go nikomu. Ludziom, niestety, nic mówić nie można. Tomaszku, Janusiu, kochajcie swoją Mamusię, biedną, darujcie jej. Nie mam słów, jak bardzo dusza moja jest z Wami ... Zanadto ludzie mnie zdusili i zamęczyli; musiałam od nich uciec ... Żeby nie niepokój i tęsknota do Was, ukochani, byłoby mi anielsko.

Aczkolwiek pojechania Leny do Taboru mógł Justyn na podstawie poprzednich przesłanek oczekiwać, konkretna wiadomość o nastąpieniu faksie wstrząsnęła nim do głębi. Zatargały jego sercem z jednej strony współczucie dla jej niedoli, godny uznania fakt szczerego jej wypowiedzenia się względem niego, jako kogoś jej bliskiego, wyraźne uznanie swojej winy, z drugiej – rozpacz, że już wszystko stracone, bo jeżeli dotąd, jest niezbrukana, to już stamtąd niezbrukane wrócić nie może; nieludzki ból, płynący z tak aż daleko idącego samo podeptania jej godności osobistej, jako żony i matki, świadomość nieuniknionego sieroctwa jego i dzieci, wprowadzenie dzieci w tę skandaliczną sprawę, przy niesłusznym, tak wysoce niepedagogicznym uformowaniu ich pojęć, że ludzie ich matkę zdusili i zamęczyli, kiedy przeciwnie, ona sama się zdusiła, i zamęczyła, a z ludźmi od pierwszej chwili swoich obłądnych dróg w ogóle się nie stykała.

Jedyny jaśniejszy punkt w jej liście to – wizja powrotu, ale po pierwsze to wizja na niczym realnym nie oparta i z dzisiejszą rzeczywistością nie związana, po drugie – jakież by to mógł być ten powrót przy tak daleko posuniętym zaawansowaniu tak niezdrowego z nim stosunku.

Pomimo tych restrykcji, Justyn otrząsnąwszy się trochę z pierwszego przytłaczającego wrażenia, postanowił coś działać. Może niezależnie od innych logicznych przesłanek da się ją jeszcze przed hańbą i ostatecznym zatraceniem moralnym uratować. Nie widząc możliwości ze względu na drażliwy charakter sprawy telegrafować z poczt

miejscowych, uznał za wskazany natychmiastowy wyjazd do Krakowa i ściągnięcie tam Leny celem przeprowadzenia decydującej realnej z nią rozmowy, ewentualnie sprowadzenia jej do domu. Wszystko to, co ona dotąd pisze, jest bardzo wzruszające moralnie, ale życiowo sprawy nie tylko nie rozwiązuje, ale, przeciwnie, pograża ją coraz bardziej.

Na drugi dzień wyjechał. Nie chcąc i tam, na obczyźnie, rzucać jej imienia i nazwiska na języki ludzkie, obmyślił specjalny tekst depeszy z użyciem drugiego imienia Leny i wysłał ją z tekstem następującym:

Powiedz (tekst zatarty – przyp. T.K.), że czekam w Krakowie jej powrotu, jeżeli chce wrócić, zaklinam niech wraca zaraz. Odtelegrafuj Hotel Drezdeński.

Z drżeniem niepewności, ale i nadziei otwierał depeszę, będącą odpowiedzią na jego wezwanie. I oto, co w niej wyczytał:

Do Krakowa przyjechać nie mogę. Ponieważ wzywasz, przyjadę na święta prosto do domu.

Pierwszy raz od rozpoczęcia tragedii z Leną w duszy Justyna, tak dotąd miękkiej i ustępliwej, zadrgała nuta twardsza i rozzalona.

- Jak to? A więc po poprzednich tak ciepłych i serdecznych w stosunku do niego wynurzeniach ona może, na jego głębi duszy – na skutek grożącego jej śmiertelnego niebezpieczeństwa, wrywające się słowo „zaklinam, wracaj zaraz”, które jeszcze tak niedawno odczuć i zrozumieć by potrafiła, - odpowiedzię lodowatym, bezlitosnym i okrutnym „ponieważ wzywasz, przyjadę”! więc jej szaleńczy ostatni wyjazd już tak prędko wywołał swoje nieuniknione następstwa, w wyniku których serce jej tak zobojętniało i wyziębło, a cała psychika jej uległa tak daleko idącej, rozumiałej zresztą życiowo, zmianie! I cóż za rezultat z Leną postępowanie? I co wreszcie jemu i dzieciom przyjdzie z takiego jej przyniewolonego przyjazdu? Przyjdzie z żalem i zawziętością w duszy, by zapytać: po cóżeś mnie wzywał? I po tygodniu znowu z powrotem wrywać się będzie.

Nie w rozdrażnieniu i pod impulsem, lecz po głębszym zastanowieniu się wysłał zaraz z Krakowa do Leny telegram następujący:

Jeżeli Walentyna ma wracać przymuszona, tylko dlatego, że ją wzywam, może nie wracać.

Inna rzecz, ile go wewnątrz kosztowało wysłanie do niej po raz pierwszy tych twardszych słów, ale w sumieniu swoim czuł się spokojny. I serce zranione, i godność podeptana, i prosta logika życiowa nie pozwalały mu inaczej napisać.

Z sercem rozdartym wracał Justyn do domu. Obrócił tym razem drogę na Częstochowę, chcąc w tym ciężkim ucisku oddać się w opiekę Matce Boskiej, prosić Ją o radę, o siłę, o jasne rozeznanie dróg, którymi iść mu dalej wypada. Modlił się bardzo gorąco. I doznał wyraźnego pokrzepienia i utwierdzenia w przeświadczeniu, że nie błędził. A co im życie przyniesie, to już w rękach Boskich zostawia. Jego świętej woli poddać się musi.

X

Nadchodziły właśnie święta Bożego Narodzenia. Pomimo wszystko Justyn w głębi duszy nie przestawał się jeszcze łudzić, że Lena przyjedzie. Konie co dzień chodziły na stację, pokój czekał gotowy. Gdy przyszedł telegram od Oli Przyborowskiej z zawiadomieniem, że przyjeżdża na święta, Justyn, przejęty jedną myślą, nie przeczytał dobrze podpisu i dzieciom oświadczył, że Mamusia przyjeżdża. Po spostrzeżeniu omyłki – tym przykrzejsze rozczarowanie. Nie przyjechała!

Przyszła wigilia i święta, beznadziejnie smutne. Ola nastrojem, jaki zobaczyła, była wprost przytłoczona. Starsi chłopcy przyjechali z Kielc, tak że byli wszyscy zgromadzeni w komplecie. Tylko jakże osieroceni! Justyn odmawiał z dziećmi modlitwy – ogólne i za Mamusią. Nawet mała Teofilka rączki składała i prosiła: „Boziu, wróć nam Mamusią. Spraw, żeby Mamusia wróciła nasza. Daj jej zdrowie, światło i siłę!”

Zaraz po świętach, gdy Ola już wyjechała, u najmłodszego z chłopców 8-letniego Andrzejka przyszła jakaś gorączka. Justyn i wszystkie dzieci siedziały wieczorem przy jego łóżeczku. Pokojówka Dorotka przyniosła pocztę. Na wierzchu – koperta, zaadresowana dużymi literami znanym drogim pismem. Chłopcy krzyknęli razem: „List od Mamusi!”. Ale jednocześnie dostrzegli na kopercie żółtą naklejkę z napisem „Tabor”. Justyn spytał ich, czy wiedzą co to znaczy. Janusz i Tomek, spuściwszy oczy, odpowiedzieli: „Wiemy”, a Tomek dodał ze smutkiem: „Ja już dawno rozumiem”. Żeby się wiadomość nie rozeszła, musiał im Justyn powiedzieć, żeby w razie czyjegoś zapytania mówili, że nie było listu od Mamusi. (tekst wytarty, nieczytelny – przyp. T.K). Lepiej żeby nie wiedziano, że pisuje stamtąd. Ale jak to ciężko uczyć dzieci kłamstwa i wprowadzać je w jakąś tajemną grę, zwłaszcza dla osłonięcia własnej ich matki!

List, pisany bezpośrednio po otrzymaniu depechy „przymuszona możesz nie wracać” nie był właściwie listem, a oficjalną odezwą. Data 19 grudnia u góry, a za nią bezpośrednio:

Gdy wyjeżdżałam prosiłeś, bym ci napisała prawdę, gdy tam będę. Obiecałam – dotrzymałam. Dwa listy wysłałam szczerze i dobre ... Chciałam wrócić wtedy, gdy to uznam sama za konieczne, tak jak z tobą o tym mówiłam ... Tymczasem przychodzi wzywająca depecha, by wracać zaraz ... Dlatego zatelegrafowałam: „ponieważ wzywasz, przyjadę na święta”. Dziś znów druga depecha, w niej „możesz nie wracać”.

Głupio ja dotąd brałam całą tę sprawę – uczuciowo tylko i sentymentalnie. Czas postawić ją realnie ... Faktycznie stało się nieszczęście, niedola, ale na to nie ma rady. Trzeba omówić to tylko, co nadal zrobić można. Wrócić chcę jedynie dla dobra dzieci. To, zdaje się, dla Ciebie i dla mnie powinno stanowić jedyny punkt najważniejszy. Nasze życie wrócić nie może. Dzieci krzywdy mieć nie mogą. Nie ludźmy się sentymentami, nie walcujmy ciągle około drobiazgów, około naszego życia osobistego ... Wiem i czuję, że ja Ci krzywdę zrobiłam, ale tego co do Ciebie naprawić nie mogę ... Silne moje i wielkie, a promienie zawsze uczucie poświęcam jednak dla dzieci, bo czuję ich krzywdę boleśnie. (dalej tekst zatarty – przyp. T.K). ... Oczekuję odpowiedzi listownej treściwej i jasnej, czy ten powrót traktować zechcesz, jako dla dobra dzieci, czy chcesz obmyślać to ułożeniu i rozdzielenie naszego życia tak, żeby każde z nas obowiązki względem dzieci mogło spełniać trzeźwo i pożytecznie, nie torturując się wzajemnie, nie rozpraszać na szczegóły, co tylko odbiera siły.

Jeżeli uznasz za słuszne to, co piszę, odpowiedz listem poleconym. Wtedy przyjadę do Kielc lub Radomia, Staszowa (dawna Borowińska panna Zofia) lub Warszawy. Następnie mogę wrócić i chcieć sumiennie zająć się dziećmi, zamknąwszy wszystko w sobie ...

Co do ludzi, wracając, silnie i jasno robiąc ofiarę ze swego uczucia, stanąć się postaram na tak wysokim punkcie, że wszystko cokolwiek o mnie myśleć lub mówić będą (do tego jestem przygotowana), milczeniem przyjmę, a swoje robić będę.

Tak mi się przedstawia ta sprawa. Wiele przemyślałam i przecierpiałam teraz i doszłam do pewnego jasnego sądu, do którego nie doszłabym nigdy w Borowinach. Zostawiając to do Twego uczucia, kończę, przesyłając pozdrowienia.

Leontyna

Przeczytawszy list, Justyn w ogólnych złagodzonych zarysach przedstawił treść jego zaciekawionym co matka pisze, chłopcom, posiedział jeszcze chwilę z nimi, powiedział dzieciom dobranoc i poszedł do siebie. Musiał, chcąc Lenie na odezwę jej odpowiedzieć w spokoju raz jeszcze przeczytać niezwykłą jej treść. Pierwszą (tekst zniszczony) tonie.

Po głębokim przemyśleniu sprawy nasunął się Justynowi cały szereg refleksji dotyczących listu Leny oraz sytuacji, jaka się dziś w rodzinie ich wytworzyła.

Przede wszystkim musiał sobie, niestety, powiedzieć i z tym się pogodzić, że nie ma już i nie będzie jego dawnej i jasnej Leny, która, staczając walkę ze swoim rozplamianym się coraz bardziej uczuciem i szukając drogi wyjścia, do niego tak jeszcze niedawno tak dobre i serdeczne pisywała listy. Jest ktoś zupełnie inny, obcy, daleki. Ona już dziś nie walczy; swoją drogę znalazła: Jest kochanką Szablowskiego, oddaną mu duszą i ciałem, mieszkającą z nim na prawach prawowitej małżonki.

Ten jej stosunek do niego automatycznie odepchnął ją, oddalił i zniechęcił do bliskiego jej dotąd, pomimo rozterki, jaką przeżywała, męża, choćby tylko, jako do tego, który jej drogę do tamtego umiłowanego zagradzał. Jest on dziś dla niej nie tylko obcy, ale niemal nienawistny. Nie tylko pragnieniem jej największym jest uwolnienie siebie od niego, ale rada by odsunąć go i od dzieci, aby w ogóle jej swobodnym ruchom nie przeszkadzał. I nad tym pozbyciem się jego, jako rzeczą zupełnie prostą i naturalną, bardzo łatwo, obojętnie i spokojnie przechodzi w (tekst nieczytelny – T.K.).

A dalej – uderza w nim leżące w jej naturze wyniosłość, pycha i zarozumiałość, przytłumiona w ostatnim czasie ... (tekst nieczytelny – T.K) nieskrępowanego życia z tamtym i punktem oparcia, jaki w nim znalazła, na nowo rozbudzona i przepajająca całą jej psychikę. Ona, Lena, która rzuciła męża i sześcioro drobnych dzieci, nie waha się dla swoich wyegzaltowanych uczuć usuwać ojca tych dzieci, trwającego przy obowiązkach, poza nawias rodziny; ona ośmiela się dyktować mu warunki, które o ile on przyjmie, ona może wrócić wtedy „kiedy to sama uzna za konieczne, zamknawszy wszystko w sobie”; ona zamierza po ewentualnym powrocie stanąć wobec krytykującej jej postępowanie opinii na jakimś „wysokim punkcie”; ona te zuchwale myśli uważa za jakąś, pod jego opiekuńczymi skrzydłami wyrobiony „jasny sąd”, do którego nie doszłaby nigdy w Borowinach. Jakżeż ciężkie bielmo rzucił jej Pan Bóg na oczy!

Powrócić chce tylko dla dobra dzieci, nigdy – do Justyna. Ich życie musi być rozdzielone. Nie zdaje sobie sprawy z tego, że jeżeli stosunki w rodzinie nadal mają się układać z pożytkiem dla dzieci, nie ma powrotu matki do nich bez powrotu jej do ich ojca i przyjęcia jej z dobrą wolą przez tegoż ojca. Chce niby wrócić do dzieci i obowiązków, a trzyma się kurczowo tego, co z tym powrotem w biegunowej stoi sprzeczności.

Czy myśli, że zajęcie się dziećmi tylko z obowiązku i bez duszy, którą w całości tkwi w tamtym jej życiu, przyniesie owoce?

Czy jest pewna, że za pierwszym podmuchem namiętności, tęsknoty czy niepokoju nie rzuci ich znowu i nie poleci tam, jak to już nieraz bywało? Jakże dać może co do tego istotne i godne zaufania gwarancje?

Czy sądzi, że dzieci z biegiem czasu nie będą coraz silnie odczuwały tego, że jej serce i myśl jest nie przy nich, a gdzie indziej, i że ojca, do którego są serdecznie przywiązane, z jej powodu przy nich nie ma?

Czy przypuszcza, że w tej niezdrowej nienaturalnej atmosferze rozdziału zdoła dzieci normalnie wychować? Kto z nich za to ich wychowanie wobec rozdźwięków między rodzicami będzie odpowiedzialnym? Czy ona może oczekiwać, że on, który nie odchodził od dzieci, szanuje swą godność ojcowską i ma zdrowy zmysł pedagogiczny, może zrezygnować ze swoich praw, jako ojca i wychowawcy? Czy tu paragrafy jakiejś umowy pomiędzy nimi mogą być czynnikiem decydującym? Czy nieuniknione rozbieżności w ich kierunku

pedagogicznym nie odbijają się w fatalny sposób właśnie na tych dzieciach, w imię dobra których rzekomo tej wiwisekcji rodziny ma się dokonać?

Wreszcie – żeby już wymienić tylko najważniejsze Justyna refleksje – Lena z dziwną uporczywością nazywa drobiazgami to wszystko, co jest istotą i treścią ich tragedii rodzinnej. W tak wielkiej, jak ta, sprawie nie ma drobiazgów, bo, jak życie pokazało, najbliższe początkowo przejawy spowodowały z biegiem czasu skutki najzgubniejsze. I jeżeli Justyn coś może sobie wyrzucać, to właśnie to, że zbyt ufać Lenie, drobne niewłaściwości w jej postępowaniu traktował w swoim czasie zbyt miękko i pobłażliwie.

Te drobiazgi krok za krokiem doprowadziły do dzisiejszego stanu rzeczy i sprawiły, że Lena była w stanie przysłać mu dzisiejsze pismo, które nie jest niczym innym, jak zapowiedzią ostatecznego zerwania. Bo pomimo jej wszystkich płynących z jej iluzji dowodzeń Justyn doszedł do końcowego generalnego wniosku, że z sytuacji dzisiejszej są tylko dwa wyjście: albo ona bez żadnych zastrzeżeń, zrywając całkowicie ze swoim życiem dzisiejszym, wróci do męża i rodziny, albo musi wyrzec się tego życia na korzyść tamtego. Trzeciego wyjścia nie ma. Wiązanie tych żyć z sobą przeczyłoby wszelkim prawom Boskim i ludzkim.

Nie chcąc jednak listownie stawiać sprawy w sposób tak ультимatywny, Justyn w odpowiedzi wysłał do Leny krótki list treści następującej:

Droga moja! ... Miałbym ci bardzo wiele do powiedzenia, ale wyniosły ton, treść i forma ostatniego Twego listu, całe nowe stanowisko, jakie zajęłaś, dyktowanie warunków w chwili najmniej do tego odpowiedniej, zamykają mi usta i uniemożliwiają wszelkie, zwłaszcza listowne, porozumienie. Uważam, że spełnienie obowiązków na gruncie jak go przedstawiasz, owoców nie przyniesie. Przyjedź, może z tych źródeł, które masz na myśli, padnie tu gdzie na Ciebie światło, iż poznasz drogę swoją i urządzisz życie jak Ci będzie dogodniej i lżej.

Pieniądze na pobyt w Warszawie, Staszowie czy Radomiu, taki, jak ja go rozumiem, możesz mieć zawsze. 200 rubli złożę na ten cel na Twoje imię w Kielecki Wzajemnym Kredycie.

Oto wszystko, co Ci dziś mogę napisać. Modlimy się za Ciebie z dziećmi. Czekam Twego powrotu i Bogu Cię polecam.

Lena zaraz na ten list odpisała, podtrzymując swój punkt widzenia – argumenty z odezwy z 19 grudnia, tłumacząc się tylko z niektórych swoich powiedzeń, ale ton jej listu jest znowu miękki i łagodny. Zapowiada swój prędki przyjazd. Jedno tylko wyrażenie z jej listu Justyna silnie zastanowiło:

..... Dodaję jeszcze, że czuję się zupełnie godna powrotu do domu i dzieci.

Nie wiadomo, jak ona, na miarę jakich kryteriów, godność tę dziś rozumie. Ale jeżeli rozumie ją tak, jak Justyn, to błędna byłaby, a przynajmniej przedwczesną, jego pierwsza refleksja po jej odezwie z 19 grudnia, dotycząca jej obecnego stosunku z Szablowskim, tak życiowo zrozumiałego, skoro ona pierwsza decyduje się jechać tam do niego na obczyznę, gotowa widocznie i zrezygnowana na wszystko. Nie jest wszak nieświadomą dziewczynką, ale mężatką w 16 lat po ślubie, więc zdawać sobie musi sprawę, jak się te rzeczy zawsze kończą. Justyn więc nie zrobił sobie z tego powodu wyrzutów, ale przeproszał ją w myśli za to ewentualnie niesłuszne posądzenie.

Przechodząc te wszystkie wrażenia i bóle w całkowitej samotności, Justyn uczynił sobie w tym czasie towarzysza i powiernika swych myśli w wspomnieniach, które podobnie jak wtedy, ową powieść „Na morzu” z myślą o Lenie spisywał, zwracając się w nich do niej bezpośrednio. Może jej się kiedyś, w dniach bardziej trzeźwego zastanowienia przydadzą? Obecnemu zeszytowi dał tytuł „Głazy”, rozumiejąc pod tą nazwą ciosy, jakie z ręki Leny spadły na jego głowę w ostatnim okresie – jej wyjazd do Taboru, depesza „ponieważ wzywasz, przyjadę”, wreszcie jej list z 19 grudnia.

Po wymianie paru jeszcze telegramów pomiędzy Taborem a Radomiem, do którego Justyn specjalnie w tym celu pojechał, Lena w końcu stycznia przyjechała do Borowin. Ponieważ pociągi miejscowe wtedy nie chodziły, Justyn pojechał po nią końmi do Kielc.

Psychika Leny, pomimo powrotu nie uległa zmianie. Myśl odejścia jej nie opuszczała. Woląc wyrazić na piśmie, niż mówić, napisała po przyjeździe do Kielc do bawiących w Borowinach młodszych chłopców list, w którym daje im na przyszłość wiele słusznych rad i wskazówek, ale zaczyna go w sposób następujący:

Dzieci moje ukochane! Darujcie mi jeżeli odejdę. Nie potępiajcie mnie. Powiedzcie tylko: nasza Mamusia nieszczęśliwa, cierpiała dużo, niech jej Pan Jezus daruje! Wiedźcie, że zrobiła źle, że nie wolno mi było odchodzić od Was i od Tatusia. Przepraszam Was za krzywdę, którą Wam robię, dzieci moje. Darujcie mi ją dlatego, że bardzo cierpiała i że były takie okoliczności dziwne, których wy nie rozumiecie, a które tak losy moje pokierowały.

Bądźcie dobre, dzieci moje, Jacusiu i Andrzejkę itd.

Wkrótce potem Lena znalazła się w Borowinach, a tydzień po przyjeździe wyjechała do Warszawy, tam szukać spokoju i rady na swoją ciężką chorobę.

Rozdział XIX

Ten list do dzieci był dla Justyna bardzo ważną wskazówką. Jasnym jest, że na jej jakikolwiek trwały powrót w jej obecnym stanie psychicznym liczyć w ogóle nie można. Trzeba się z tym faktem pogodzić i realnie zacząć myśleć, jak dalsze ich życie urządzić, żeby dzieci jak najmniej ucierpiały. I wszelkie decyzje musi on już teraz brać na własną odpowiedzialność.

Wszyscy czterej chłopcy są już w wieku szkolnym. Janusz i Tomek w Kielcach, przechodzą 1-szą i 2-gą klasę gimnazjalną. Jacek i Andrzejek mają przed wakacjami zdawać egzamina do wstępnej i 1-szej. Ale Borowiny na utrzymanie czterech chłopców na stacji nie wystarczą. Zresztą obecne szkoły kieleckie Justynowi nie odpowiadają. Może je traktować tylko tymczasowo dla starszych; młodszych od biedy można by jeszcze rok potrzymać z nauczycielem w domu. Ale jeżeli chodzi o dalszą perspektywę, wydaje się nieuniknionym dokonanie głębokiego cięcia, mianowicie opuszczenie przez niego ukochanych Borowin i przeniesienie się z dziećmi do Warszawy. O sprzedaży ich nie myślał. Zanadto byli wszyscy do nich przywiązani. Ale pozostawały dwie alternatywy: wypuszczenie majątku w dzierżawę, albo administrowanie nim własne z Warszawy przez rządcę. Pierwsza z nich poza zniszczeniem majątku, który zawsze powoduje dzierżawa, miała dwie poważne strony. Jedną, że przesądzała o opuszczeniu go na dłużej, przynajmniej na okres dziesięcioletni, a nie wiadomo jeszcze jak się okoliczności ich życia ułożą. Druga – że przekreślała zupełnie możliwość powrotu Leny do dzieci i rzucało ją bezapelacyjnie na zatracenie w odmęt tego życia, jaki żyje obecnie. To – взгляд aktualny, niezmiernie ważny, którego nie wolno było nie doceniać.

Pozostało więc administrowanie na siebie przy mieszkaniu w Warszawie. Ale tu nastroczało się też wiele poważnych trudności. Przede wszystkim trzeba było jakąś możliwą posadę znaleźć. A dalej – dom z sześciorgiem dzieci i potrzebnym personelem od razu brać do Warszawy było więcej niż ryzykownym, bo było mało prawdopodobne, aby Justyn mógł znaleźć zaraz taką lukratywną posadę, która by mu, nawet z pomocą Borowin, pozwoliła ponieść tak wielkie wydatki. Należało więc dwoje, albo czworo młodszych dzieci pozostawić na razie w Borowinach. Ale w tym wypadku potrzebna byłaby dla nich inteligentna opieka, i odpowiednią osobę należało się postawić. Wreszcie całego gospodarstwa nie można zostawić poza oczami byle komu, i koniecznie jest znalezienie odpowiedniego zarządzającego. Wszystko to są rzeczy niełatwe.

Ale długo namyślać się też nie było można. Justyn postanowił natychmiast pojechać do Warszawy, w stosunkach się rozejrzeć, posady oraz osób do dzieci i gospodarstwa męskiego poszukać, a znalazłszy, odpowiednie decyzje powziąć.

Nie zwracając już uwagi na to, że Lena w tym samym czasie znajduje się w Warszawie, zaraz w pierwszych dniach lutego pojechał. I tu znowu, jak już wiele razy w życiu, doznał szczególnej opieki Boskiej.

Zaraz po przyjeździe dowiedział się, że odbywają się obecnie w Warszawie 3-miesięczne wieczorowe kursy dla wyższej administracji z profesorami wyższych uczelni, jako wykładowcami, których to kursów zdaniem jest przygotowanie spośród słuchaczy, mających już wyższe wykształcenie, pracowników na wyższe stanowiska państwowe i społeczne. Ukończenie ich może dużo ułatwić znalezienie w przyszłości posady, gdyby ta, która teraz by się Justynowi nastroczyła, nie odpowiadała jego kwalifikacją czy upodobaniom. Wieczorowe godziny kursów pozwalają godzić je z przyjętą ewentualnie

posadą. Kursy mają się odbywać seriami. Niedługo kończy się seria 1-sza, a od 1-go marca rozpoczyna się seria druga.

Posada, i to nie tylko materialnie wystarczająca, ale leżąca w płaszczyźnie upodobań i uzdolnień Justyna, sama mu niemal w ręce weszła. Przed rokiem założona została w Warszawie społeczna organizacja ziemiańska pod nazwą „Związek Ziemia” z płatnym zarządem i personelem biurowym. W tym roku, rozszerzając swoją działalność, Związek postanowił stworzyć swój miesięczny organ prasowy. Szukano właśnie człowieka z odpowiednimi kwalifikacjami na jego założyciela i redaktora. Zacny pan Szeliski z Poręb mieszkający obecnie z rodziną w Warszawie i będący w bliskim kontakcie z władzami „Związku Ziemiaków”, zaproponował kandydaturę Justyna, motywując swoją propozycję jego skończonymi studiami Rolniczymi w Krakowie, szeregiem drukowanych już materiałów naukowych, zdolnością i zamiłowaniem do pióra, znaną mu wreszcie sumiennnością i obowiązkowością w pracy proponowanego kandydata.

Kwalifikacje te wydały się Zarządowi Związku zachęcające, i zavezwał on Justyna celem porozumienia się. W rozmowie wyraził Justyn tylko swoją wątpliwość, czy kwalifikacje jego wystarczą tam, gdzie chodzi o zakładanie nowego pisma, gdyż pracą redakcyjną dotąd w ogóle się nie zajmował. Poza tym charakter pracy bardzo mu odpowiada i na podane warunki się zgadza. Zastrzegł tylko, że zostawiając gospodarstwo na rękach nowego rządcy, chciałby co pewien czas dojechać do siebie. Powiedziano mu, że pismo, wydawane co miesiąc, na takie parodniowe wyjazdy by pozwalało, a we wszelkich trudnościach, jakie by miał z prowadzeniem nowego pisma, może liczyć na życzliwą pomoc Zarządu. Sprawa była załatwiona. Od 15-tego marca miał Justyn rozpocząć prace przygotowawcze do wydania pierwszego zeszytu pisma.

Ze znalezieniem odpowiedniej osoby do dzieci też poszło Justynowi dość łatwo. Pragnieniem jego było znaleźć kogoś ze strony Leny. Rozmawiał w Warszawie z szeregiem osób, i najodpowiedniejszą wydała mu się dawna jej nauczycielka w Mroczkowie, panna Maria Śliwowska, osoba o kilka lat od Leny starsza, zacna, z sercem i rozumem. Ale ona, niestety, czując się w tym czasie niedobrze ze zdrowiem, jechać na razie nie mogła, choć zasadniczo nie odmawiała, bo do Leny podczas pobytu w Mroczkowie bardzo się przywiązała. Zaproponowała, jako zastępczynię, swoją kuzynkę pannę Irenę Chołoniewską, z tym, że może później zdrowie jej samej się dziećmi zająć pozwoli. Za p. Irenę ręczyła, że swoje poważne zadanie spełni sumiennie i ze zrozumieniem. Na podstawie tej rekomendacji Justyn p. Chołoniewską, która mu się też wydawała bardzo odpowiednią, zaraz zaangażował.

Pozostała sprawa zarządzającego. Ta poszła również bez większych trudności. Ludzie dobrzy i życzliwi Justynowi pomogli. Miał więc pomyślnie na razie wszystkie sprawy załatwione.

Leny, choć była jednocześnie w Warszawie, Justyn prawie nie widywał. O sprawie jej było już głośno. Miała w związku z tym z szeregiem krewnych i bliskich jej osób męczące na

jej temat rozmowy. Nie chciał jej więcej męczyć. Ona też do widzenia się z nim nie dążyła. U Klarnerów, wiedział, że jej będzie dobrze i wpływ należyty znajdzie.

Spotkał ją tylko raz na chwilę, będąc u wspólnej ich znajomej i obojgu życzliwej pani Kaliszewskiej, która silnie i serdecznie ubolewała nad tym, co się stało. Znała Lenę z zupełnie innej strony, i w głowie jej się to pomieścić nie mogło. Zastanawiała się nad tym, czy dobrze, że Justyn dawał jej pieniądze na te jej podróże, Justyn wyjaśnił, że to przecież w założeniu były wyjazdy na kurację, trudno więc było jej nie dać. Pani Kaliszewska też ostatecznie, zdaje się ten pogląd dzieliła i od siebie jakąś większą kwotę pieniędzy, będąc osobą zamożną, Lenę obdarowała.

Ale spotkał się Justyn także wśród bliskich, serdecznie jej dotąd życzliwych, znajomych Leny z opinią, w najbardziej bezwzględny sposób ją potępiającą. Dla porzucenia męża i sześciorga dzieci nie może być żadnego usprawiedliwienia. Powrót jej, nie tylko bez wszelkich zastrzeżeń, ale w uczuciu najgłębszej skruchy i upokorzenia jeszcze nie byłby wystarczający do okupienia jej winy. Justyn grzeszył swoim łagodnym i wyrozumiałym z nią postępowaniem.

Cóż, kiedy Justyn nie umiał postępować inaczej. Najboleśniej sam odczuwał jej winę, ale wiedział jednocześnie jej szarpanie się i walkę. Na mocniejszy krok zdobyć się mógł tylko w wyjątkowych momentach.

Do takich momentów należały sprawy dotyczące ich dzieci. Czuł, że będąc teraz jedynym istotnym ich opiekunem, musi do spraw tych odnosić się ze szczególną czujnością. Zaraz w Warszawie nastąpiła się ku temu sposobność.

Lena wręczyła mu kartkę do ukochanego jej Jacusia z prośbą, żeby mu ją oddał, gdy pojedzie do Borowin. Justyn rzucił okiem na kartkę i oświadczył od razu Lenie, że chłopcu kartki tej nie odda. Wyczytał w niej bowiem mniej więcej takie oto słowa:

Sama jestem i biedna bardzo, mój synku drogi. Wszyscy ludzie – to katy dla mnie, męczą, aż domęczą wasza biedną mamusię.

Jakież fatalny wpływ na dzieci, z wielkim zaufaniem wciąż się do matki odnoszące, może mieć wpajanie im – i to nie pierwszy raz – takiego stosunku do ludzi, zresztą niczym nie usprawiedliwionego. Lena się zorientowała i na wręczenia dziecku kartki nie nalegała.

Drugą rzeczą, którą – mając perspektywę nowego jej wyjazdu – uważał Justyn za konieczne zarobić, było uprzedzenie jej, aby, jak to już bywało, starszych chłopców w Kielcach do żadnych pośrednictw w swoich sprawach miłosnych nie używała. Powiedział jej to mocno w liście, wysłanym na ręce kuzynki Klarnerowej, u której mieszkała Lena w Warszawie. W liście tym jednocześnie zaznaczył, że na dalszą kurację zostawił na jej imię w Radomiu 2 tysiące rubli, że o ile po jakimś czasie, otrzeźwiona, zechciałaby wrócić ostatecznie, dom w Borowinach może dla siebie uważać za otwarty; natomiast w razie

nowego wyjazdu jej do tego pana, byłby zmuszony przestać ją za swoją żonę uważać. Mógłby on nastąpić dopiero po zupełnym z Justynem zerwaniu.

Zaraz po powrocie do Borowin napisał Justyn do Leny obszerny i serdeczny list, komunikując jej o swoich decyzjach warszawskich, o tym, że p. Irenę do niej skierował, żeby mogła poznać przyszłą wychowawczynię dzieci, bo prawdopodobnie nie tylko dziewczynki, ale i młodszych chłopców zostawi w Borowinach jeszcze przez rok, a tylko może starszych, rozejrzawszy się w stosunkach i możliwościach, weźmie z sobą od wakacji do Warszawy. Ona, Lena, ile razy będzie chciała, może do dzieci do Borowin przyjechać.

Lena tymi decyzjami Justyna była zaskoczona, tym więcej, że dotąd zawsze wspólnie nad tego rodzaju sprawami się zastanawiali. W liście, który był odpowiedzią na decyzje Justyna, wyraziła głębokie z ich powodu ubolewanie oraz pogląd, że aczkolwiek p. Irena bardzo dodatnie na niej zrobiła wrażenia, on przede wszystkim teraz, skoro jej, Leny, nie ma, powinien być z dziećmi. W końcu listu jednak jakby pogodziła się z powziętymi przez Justyna postanowieniami, życzyła mu spokoju i dobra. „Bądź zdrow – pisze – i myśli dobrej; może się kiedyś wszystko ułożyć.”

Wkrótce potem, po miesięcznym przeszło pobycie w Warszawie, który jej zresztą żadnej ulgi nie przyniósł, Lena wyjechała, nie zajeżdżając już do Borowin – do Kielc i Radomia i stamtąd już odpisała Justynowi na otrzymany przed samym wyjazdem jego list, przesłany na ręce Klarnerowej. Ton jej listu jest podrażniony, ale myśli wypowiedane – dość trzeźwe. Pierwszy raz mówi wyraźnie o rozwiązaniu ich życia, które przy obecnym rozdzieleniu pokleić się nie da.

Gdybyś chciał – pisze – dostałbyś rozwód. To wyjście jedyne. Za żonę swoją, nie tylko gdybym odjechała uważać byś mnie przestał. Dawno już żonę twoją nie jestem i nigdy nią nie będę. Prawą i szczerą zanadto jestem, żebym, mając pełną duszę tamtego uczucia, twoją żoną być mogła. List mój prześle Ci ksiądz Ewert w razie mojej decyzji. Poza tym wieści ode mnie mieć już nie będziesz nigdy ...

Przez miesiąc nie było od Leny żadnej wiadomości. W połowie kwietnia dopiero przyszły od niej karty pocztowe do jej ciotki Zofii Porzyckiej – Komarówny w Warszawie. Karty – z Taboru. A więc już długi raz zdecydowała się tam do niego pojechać. Cóż za obłądna siła ją tam ciągnie! W karcie m.in. pisze:

Czy Justyn nie myśli o rozwodzie? W ciągu paru miesięcy musi się ta sprawa wyjaśnić zupełnie. Co do mego uczucia, jest ono i pozostanie silne i stałe. Czy życie nie każe nam się go wyrzec, nie wiadomo, ale w nas zostanie ono, i, mając je, nigdy z Justynem żyć bym nie mogła. P.Wład. cenię coraz więcej. Piękny jego charakter i silny. Czy J. nie da mi pisywać di dzieci? Po kryjomu nic robić nie chcę, a wyrzec się dzieci nie mogę.

Jakaż to chorobliwa plątanina uczuć i pojęć! Mówi wyraźnie o rozwodzie, a wyrzec się tych dzieci nie chce. Jakież rozwiązanie?

X

Ale Justyn nie miał już możliwości teraz rozplątywać tej zagadki, bo pogrążył się cały w pracy. Od 1 marca chodził na swoje kursy wieczorowe, od 15 marca objął redakcję pisma, któremu nadano nazwę „Ziemianin”. Obydwa zajęcia bardzo mu odpowiadały.

Kursy interesujące i na wysokim poziomie, prowadzone przez samych profesorów wyższych uczelni. Program – umiejętnie ułożony. Kilkanaście przedmiotów o praktycznym charakterze z zakresu nauk prawnych, administracyjnych, skarbowych, przemysłowych, handlowych itp. Wszystko naturalnie w skrótach, trafnie zestawionych o treści bardzo skondensowanej. Nauki te dla każdego, choćby nie myślał o służbie publicznej, były niezmiernie pożyteczne i kształcące. Okupanci – oni to bowiem byli inicjatorami tych kursów – wyrządzili Polakom w tym wypadku niezaprzeczoną przysługę.

Większość wykładów była przez słuchaczy opracowana i wydana drukiem. Do tego dorobku przyczynił się i Justyn, drukując opracowany przez siebie cykl wykładów prof. Orzechowskiego ze Lwowa „O budżetowaniu i rachunkowości państwowej”.

Słuchaczy na tej drugiej z kolei serii wykładów około stu, z paroma zaledwie wyjątkami z uniwersyteckim wykształceniem, na różnych już będących stanowiskach państwowych i społecznych. Stanowili oni środowisko kulturalne i inteligentne. Podczas przerw pomiędzy wykładami prowadzono interesujące i pouczające dyskusje.

Stosunki koleżeńskie układały się dość przyjaźnie. Jeden z kolegów, p. O. znakomita głowa, późniejszy minister przemysłu i handlu, w niedzielę i święta zbierał u siebie w prywatnym mieszkaniu na popołudniową herbatę kilkudziesięciu kolegów i inicjował dyskusje na tematy, związane z wykładami przedmiotami, organizacją kursów, stosunkiem z władzami okupacyjnymi, które na terenie kursów reprezentował profesor Uniwersytetu Warszawskiego dr. Ł., itp. Te dyskusje ponosiły jeszcze znakomicie wartość kursów. Zbierano się też czasem u innego kolegi, hr. R..

Każda seria kursów wybierała spośród swego grono trzech tzw. „gospodarzy”, których zadaniem było reprezentowanie kursu na zewnątrz i utrzymywanie kontaktu pomiędzy ogółem słuchaczy i kierownictwem kursów. Justyna spotkał – zapewne z powodu referatu, który wygłosił na zebraniu – ten zaszczyt, że obok jednego profesora i tego kolegi, który urządzał u siebie herbatki dyskusyjne, powołano go na jednego z tych trzech gospodarzy. Honor większy niż praca, bo jej w gruncie rzeczy prawie wcale nie było.

Po skończeniu trzymiesięcznych kursów koledzy zebrali się na bankiecie pożegnalnym w Hotelu „Polonia”. Z tytułu godności gospodarza, Justyn wygłosił przemówienie pożegnalne. Potem zrobioną wspólną fotografię na zebraniu u kolegi hr. R.

X

Praca Justyna, jako redaktora „Ziemianina” przedstawiała się poważnie. Musiał starać się o materiał do poszczególnych działów każdego zeszytu pisma o kilkudziesięciu stronach objętości, otrzymany materiał kwalifikować, przyjmować lub odrzucać, względnie poprawiać, w razie potrzeby uzupełniać go własnymi artykułami czy wzmiankami, układać treść numeru, odsyłać materiał do drukarni, robić korektę. Musiał czytać inne wydawane w innych dzielnicach kraju pisma ziemiańskie i rolnicze i z nich robić sobie wyciągi, mogące czytelników „Ziemianina” zainteresować. Poza stroną redakcyjną do niego należała i strona administracyjna wydawnictwa, rachunki z drukarnią, obliczanie i wypłacanie honorariów autorskich, ekspedycja pisma itp.

Autonomię w prowadzeniu pisma pozostawioną miał Justyn zupełną, w pierwszych tylko miesiącach sam z własnej inicjatywy zanudzał dyrektora zarządzającego w Związku pytaniami, głównie co do treści zamieszczanych artykułów, aby będąc nowicjuszem w tej pracy, jakiegoś błędu w nadaniu fizjonomii pisma nie popełnić. Duch jego i prowadzona polityka musiały naturalnie odpowiadać duchowi i ideologii Związku Ziemian i być wyrazicielem jego zdań, celów i zamierzeń na przyszłość. Że zaś Justyn sam był ziemianinem i jego poglądy osobiste pokrywały się w zupełności z ideologią organizacji, w której pracował, więc to nadawanie właściwego tonu pisma nie przedstawiało dla niego większych trudności. Wkrótce też pozyskał sobie zupełnie zaufanie i życzliwość władz Związku. Stanowisko prezesa Zarządu Związku po I. Targowskim zajmował wtedy p. Jan Stecki, stanowisko Dyrektora Zarządzającego – p. Feliks Wojewódzki. Stosunki koleżeńskie z pracownikami miał Justyn też bardzo miłe.

Po skończeniu kursów dla administracji przybyło mu parę popołudniowych godzin do pracy. Nabierając coraz więcej żyłki pisarskiej, pisywał w wolnych chwilach artykuły do innych pism, najczęściej do „Kuriera Warszawskiego”. Tematami, które najchętniej poruszał były: sprawy społeczne, rodzina, szkoła i wychowanie młodzieży.

X

Mając bezpośrednio po wydaniu numeru więcej wolnego czasu, Justyn niemal co miesiąc dojeżdżał do Borowin, wstępując po drodze do starszych chłopców w Kielcach. Na każde święta, urlopy itp. też bywał u dzieci. Widział z zadowoleniem, że nie są one zaniedbane. Chłopcy młodszy uczyli się z nauczycielem, p. Irena bardzo troskliwie dbała i ich i dziewczynek potrzeby. Moralny kierunek też mieli właściwy i traktowanie serdecznie, tak że brak matki nie tak dotkliwie dawał im się we znaki. W początku czerwca i p. Maria Śliwowska, czując się lepiej ze zdrowiem, przyjechała też do Borowin, jako gość, i we dwie z p. Ireną opiekowały się dziećmi.

Podczas bytności swoich Justyn kontrolował naturalnie i gospodarstwo. Nowy rządcą wywiązywał się w porządku ze swoich obowiązków.

Chociaż, rzecz prosta, jego osobiste zajęcie się tak dziećmi, jak i gospodarstwem, dałoby im więcej, mógł sobie powiedzieć, że przeniósłszy się do Warszawy z myślą o edukacji dzieci, nie popełnił błędu. Już od wakacji postanowił wziąć mieszkanie (na razie mieszkał w pensjonacie) i dwóch starszych chłopców zabrać ze sobą. Gimnazja warszawskie postawione były znacznie lepiej, niż prowincjonalne, i pod jego osobistym dozorem chłopcy mogą już prowadzić naukę prawidłowo. Za rok, w podobny sposób może wziąć młodszych chłopców. Z dziewczynkami zobaczy się, jak się do tego czasu okoliczności ułożą.

X

Podczas swoich bytności w Borowinach Justyn pamiętał zawsze o założonej przez siebie szkole. Rozmawiał dużo z nauczycielem, który dla danych warunków okazał się idealny, zapraszał go do siebie, stosunek z nim postawił na tak bliskiej stopie, że ten wcale nie czuł się dotkniętym tym, iż Justyn bywał na lekcjach, przesłuchiwał dzieci, stawiał im stopnie itp. Rodzice dzieci, widząc postępy, jakie one robią, też byli bardzo zadowoleni i chętnie zaspokajali potrzeby szkoły i nauczyciela.

Ale oprócz nauki dzieci szkoła borowińska spełniała pośrednio i inne pozytywne funkcje. Poprawiła przede wszystkim znacznie stosunek wsi z dworem, który, choć nie był na ogół zły, ale czasem na tle jakichś lokalnych zatargów pozostawiał nieco do życzenia. Wprowadzony przez Justyna do zarządu szkoły jeden z gospodarzy, najbardziej niechętny dworowi, stał się najgorliwszym jego zwolennikiem.

Z wielkim też zadowoleniem widziała wieś urządzenie dla niej w izbie szkolnej wieczorowe pogadanki, czytelnię i „koncerty”. Na odgłos dzwonka wypełniała się izba dorosłymi i młodzieżą. Justyn przynosił harmonię i przy jej akompaniamencie odbywały się śpiewy chóralne łatwych ludowych i innych piosenek. Podziwiać można było prędkie chwytywanie przez młodzież mniej znanych podsuwanych jej melodii i łatwe zapamiętywanie słów. „Koncerty” te stały się niedługo słynne w okolicy. Przystępnie podawane pogadanki i czytanie rozjaśniały w głowach i bardzo chętnie były przez uczestników zebrzań słuchane. Władze okupacyjne jakoś żadnych kwestii z ich powodu nie robiły. Justyn był zadowolony, że szkoła poza nauką dzieci i inne pozytywne spełniać może zadania.

Rozdział XX

Lena tymczasem od pierwszych dni kwietnia bawiła w Taborze po raz drugi. Naturalnie co do charakteru tego pobytu i stosunku jej do Szablowskiego trudno było już mieć jakiegokolwiek złudzenia. Justyn, któremu pierwszy jej u niego pobyt zadał cios okrutny i druzgocący, ten drugi wyjazd przyjął bardziej spokojnie, traktując go już, jako przejaw nie dającej się, niestety, uleczyć choroby. Kobieta tego poziomu, co Lena, będąca w pełni władz i samopoczucia, na taki krok by się nie odważyła. Ostre zarzuty jego zbladły, a ich miejsce zajęła wielka litość nad jej niedolą i chęć dalszego ratowania jej już nie tyle dla swojej rodziny, bo w dzisiejszym jej powrocie przyszłości nie widział, ile jako człowieka i duszy.

Nastęczył mu się jeden środek działania. W końcu maja wyjeżdżała na kurację do Zakopanego ciotka Leny, p. Zofia Komarówna. Justyn zaproponował jej, czy, będąc już bliżej Czech, nie mogłaby na jego koszt dojechać do Leny, przypatrzeć się jej życiu, oddziaływać na nią w granicach możliwości i, gdyby się dało, wyrwać ją z tamtego życia, zabrać z sobą, a potem ewentualnie odwiedzić do domu. Ciotka się zgodziła. Justyn nie łudził się wprawdzie, żeby ta misja mogła dać większe rezultaty, ale nawet przy małych szansach nie chciał pominąć tej nadarzającej się okazji bezpośredniego wpływu starszej osoby z jej strony.

Przez p. Komarównę Justyn napisał do Leny w ciepłym tonie list, w którym wyłuszczył powód złagodzonego obecnie swego poglądu na jej sprawę, zachęcał ją do podjęcia poważnej kuracji i upoważniał ją do pojechania, gdyby tego chciała, do dzieci. Donosił jej następnie, że w myśl jej życzenia był u Arcybiskupa w sprawie ich rozdziału, że Arcybiskup nie uważa go po poznaniu okoliczności za wykluczony, że jednak stroną, o rozdzielenie życia występującą, musi być ona, a nie Justyn. Radził jej dalej Justyn przyjechać i robić starania; on jej przeszkód czynić nie będzie. Komunikował jej, że bywa co kilka tygodni w Borowinach i może stwierdzić, że dzieci mają, o ile to możliwe, dobrą opiekę. Zaznaczył wreszcie, że pisywać do dzieci może, ale tylko w tym wypadku, o ile z Taboru z ciotką wyjedzie. W dzisiejszym stanie rzeczy korespondencji tej nie życzy sobie stanowczo.

P. Komarówna bawiła w Taborze pięć dni, ale mentalności jej – poza istotną trudnością sytuacji – nie dorosła do tego, aby móc nad Leną zapanować, sprawę brała ze zbyt ciasnego, jednostronnego stanowiska, nie miała przy tym swojego zdania. Stało na tym, że może Lena przyjedzie do niej do Zakopanego. Z tym wyjechała.

X

Tymczasem na horyzoncie sprawy Leny ukazał się w Warszawie nowy czynnik – jej szwagier, specjalista chorób nerwowych dr. Adam Potocki. Wrócił świeżo z niewoli, podczas gdy żona jego, Hala z dziećmi i matka Komarowa po wyjeździe z Ławocznej przebywały jeszcze w Mińsku Litewskim. Jego zdaniem, jako bliskiego krewnego Leny i specjalisty od neurastenii, na którą ona cierpiała, było dla Justyna bardzo miarodajne.

Doktor naturalnie z Leną się nie widział, ale miewał karki od ciotki Komarówny z opisem jej stanu u na jego podstawie urobił sobie pogląd na sprawę. Bawił obecnie u rodziny na wsi i przyjechawszy do Warszawy, przyszedł do Justyna, aby z nim sprawę omówić. Ale Justyn akurat był w Borowinach u dzieci, więc go nie zastał. Napisał tedy do niego list z przedstawieniem swojej w sprawie Leny decyzji. List brzmiał, jak następuje:

Kochany Justysiu! Bardzo żałuję, że nie zastałem Cię w Warszawie. Kartę otrzymaną od cioci Zosi, zostawiam Ci do przeczytania i pewny jestem, że myślisz tak samo, jak i ja, że pozornie na razie koniecznym jest przyjąć wszystkie warunki Leny, nawet najbardziej niedorzeczne, gdyż tylko w ten sposób możemy ją dostać w swoje ręce i odpowiednio pokierować, aby ją odzyskać dla Ciebie i dla dzieci. Cała więc sprawa

powrotu jej do zdrowia, a zatem całego Waszego losu na przyszłość, leży wyłącznie w Twoich rękach ... Uważaj ją za osobę chorą i, jako taką, musisz traktować z nadzwyczajnym wyrozumieniem i dobrocią, dopóki jej umysł zupełnie się nie rozjaśni. Należy więc w obecnym czasie unikać z nią wszelkich dyskusji, nawet lekarzowi; tym bardziej nie można dziś z nią rozstrzygać najbardziej patologicznych w jej stanie, chociaż dla niej pozornie niezbitych i jakoby bardzo zrozumiałych i jasnych, zasad życiowych. Najusilniej, jak tylko mogę, proszę Cię więc o to, abys zechciał uwierzyć, że pozornie chwilowe zgodzenie się na jej warunki ratuje jej życie, a sobie i dzieciom przywrócisz to szczęście, może nawet pełniejsze, niż zażywaliście go dotąd, które dało Wam jednak tyle dobrych chwil.

Dalej – już o innych sprawach. Chociaż z wywodami doktora Justyn nie we wszystkim się godził, to jednak bardzo zdecydowany ton jego listu, wkładanie na Justynu niemal całej odpowiedzialności za przyszłość, zdrowie, a nawet i życie Leny w wypadku, o ile by jego zalecenia nie posłuchał, z Leną – decydowały o tym, że Justyn, czy tak optymistycznie na sprawę powrotu patrzyłby, czy nie, nie mógł do jego wskazówek się nie zastosować. Nie odzywając się więc, czekał na ewentualny powrót Leny do kraju. Być może, że wtedy w rękach doktora spocznie cały kierunek jej sprawy.

W początku lipca Lena wyjechała z Taboru do Ciotki Zofii do Zakopanego, w połowie tego miesiąca przyjechała do Kielc. Jednocześnie p. Komarówna wróciła do Warszawy.

X

Cały miesiąc zszedł Lenie w Kielcach. Chciała koniecznie zobaczyć się z ks. Ewertem, mając do tego ważne powody. Ale on właśnie wyjechał na dłuższy letni urlop i znaleźć go było niepodobna. I Lena, i Justyn, który właśnie z chłopcami przyjechał na wakacje do Borowin i dowiedział się o tych poszukiwaniach, rozsyłali telegramy w różne strony, ale na próżno.

Bawiąca przez lato w Borowinach p. Maria Śliwowska na prośbę Leny pojechała do niej do Kielc. Wróciła pod strasznym wrażeniem jej oplakanego stanu. Stało się rzeczywistością to, czego w naturalnym porządku rzeczy dawno można było oczekiwać. Lena, zrozpaczona, decyduje się na dokonanie operacji, a potem chce pojechać do Radomia do ks. Ewerta i do Warszawy. Ale nie może się tam dostać bez przepustki, bo to jest okupacja niemiecka. I tylko Justyn mógłby ją jej wyrobić. Chce być u spowiedzi.

Wchodząc w stan psychiczny Leny, wszyscy chcą jej jak najserdeczniej dopomóc. Wkrótce po powrocie p. Marii pojechała do niej do Kielc p. Irena. Pojechała końmi, bo ruch kolejowy był akurat wstrzymany. Po ruszeniu pociągów Justyn zajął się sprawą jej przepustki. Ale w tym momencie była to sprawa trudna. Aby ją prędko załatwić, odbył w ciągu tygodnia drogę Końskie, Radom, Warszawa, Radom i Kielce. Dobrze, że miał właśnie urlop i mógł sobie na to pozwolić. Ofiarował jej zrobiony z dwóch dobrych fotografii

starszych i młodszych chłopców o różnych wymiarach jeden powiększony portrecik całej czwórki, rzeczywiście udany. W Kielcach nie mając zamiaru być u Leny, napisał do niej w ciągu jednego dnia trzy listy. Starał się jej okazać jak najwięcej współczucia. Wyrażał zadowoleni, że chce zwrócić się do religii, choć pogodzenie z nią aktualności dzisiejszej było więcej niż trudne. Siedząc w ogrodzie spacerowym, obok którego Lena mieszkała, posyłał listy przez stróża ogrodowego, i ona mu na każdy z nich odpowiadała. Nastrój jej listów dla Justyna – dobry, ale szalenie przygnębiony. Nic dziwnego. Było to w przeddzień operacji. Zaraz po niej Justyn powrócił do Borowin, a p. Maria z p. Ireną pojechały do Kielc do Leny. Pojechały końmi, bo koleje znowu stanęły. W połowie sierpnia Lena pojechała do Radomia i parę dni spędziła w towarzystwie ks. Ewerta, który już wrócił z urlopu. Potem zaraz wyjechała do Warszawy. Cały ten miesiąc cechowała szalona gorączkowość, a sprawa Leny przepełniła wszystkie umysły.

X

W Warszawie bardzo troskliwie zaopiekował się Lenie szwagier jej, dr Potocki. Ale poradzić sobie z nią nie mógł. Chciał ją umieścić w sanatorium dla chorych nerwowo – nie zgodziła się stanowczo. Chciał ją zaprowadzić do specjalisty dr Radziwiłłowicza – zgodziła się, ale pod warunkiem, że go się nie będzie wtajemniczać w żadne okoliczności sprawy, co znowu dr Potocki uważał za przekreślające cały sens porady. Stało wreszcie na tym, że Lena z ciotką Zosią pojedzie na jakiś czas na wieś do jego rodziny.

Tymczasem przyszedł początek roku szkolnego, i przyjechał z urlopu ze starszymi chłopcami Justyn, zamieszkawszy w miłym słonecznym trzypokojowym mieszkaniu w domu swojej siostry ciotecznej na ul. Żurawiej, tym samym, w którym mieszkał podczas swoich pierwszych lat szkolnych. Chłopcy przyjęci zostali do gimnazjum im. Zamoyskiego przy ul. Smolnej.

W parę dni potem Lena wyjechała z ciotką do Potockich. Ale bawiła tam tylko dziesięć dni. Pokutujący w niej duch niepokoju i wieczna tęsknota gnały ją nieustannie z miejsca na miejsce. Do wlokącego się łańcucha jej niedoli przybyło teraz nowe, niezwykle ciężki ogniwo. Oto po pewnym czasie przekonała się, że dokonana przez nią operacja, co się prawie nigdy nie zdarza, pozostała bez rezultatu. Wolą widocznie Boską było, aby wypła do końca swój kielich goryczy.

Postanowiła po kilku dniach jechać do Radomia, tam być u spowiedzi. Co potem – nie mówiła.

Justyn prze jej wyjazdem – jak przewidywał znowu na czas dłuższy – chciał ją zobaczyć, ale ona nie chciała. Napisała do niego dwa listy w Warszawie, wyjaśniając, dlaczego takie jest jej stanowisko. Po drugim pobycie w Taborze chciała wrócić do dzieci, z tym jechała. Cóż kiedy zaszły takie okoliczności, które jej tego uczynić nie dały.

Największą – pisze – jaką mogłam ofiarą chciałam okupić mój powrót do dzieci. Nie dało się. Ofiara nie została przyjęta, bo już to, co jest teraz, od mojej woli było niezależne.

Pisze, że następnego dnia jedzie do Radomia. Rano przyszła jeszcze na podwórze domu na Żurawiej pod balkon Justyna. On jej rzucił z balkonu skreślonych kilka słów pożegnani. Ona w odpowiedzi przysłała mu karteczkę:

Dzięki Ci za dobre słowo. Niech Cię Bóg i Was wszystkich ma w opiece swojej. Strasznie czuję i czuć będę zawsze winę moją.

Lena

W dwa tygodnie otrzymał Justyn od ks. Ewerta kartę pocztową, w której pisze:

Wczoraj wieczorem o 9.30 p.l wyjechała do Kielc, skąd dziś w nocy via Kraków Wiedeń jedzie na dawne miejsce swego pobytu. Była szczerą i wiem o wszystkim. Ostatni fakt musiał wywołać taki, a nie inny obrót sprawy, i już teraz rady nie znajduję.

Było to 2 października. Dwie próby powrotu Leny pozostały bez rezultatu. Bez mała półtora roku trwające tragedii nie posunęły sprawy naprzód. Żywą aktualnością stał się trzeci jej wyjazd do Taboru.

Rozdział XXI

Aż tu nagle przyszła zupełnie nieoczekiwana zmiana sytuacji.

Na depeszę Justyna wysłaną z Warszawy do ks. Ewerta w tydzień po wyjeździe Leny z zapytaniem, czy nie miał od niej wiadomości, tenże odpowiedział telegraficznie krótko bez komentarza, żeby Justyn przyjechał zaraz do Radomia. Mając trudności z tak częstymi wyjazdami, Justyn zatelegrafował, pytając o co chodzi. Ale zaraz potem z datą 9-go października otrzymał kartę od p. Ireny Chołoniewskiej z Borowin, zawiadamiającą go, że wezwana przez Lenę, była u niej w Kielcach, a stamtąd – u ks. Ewerta w Radomiu, że projekt Leny się zmieniły i nie pojechała do Taboru. Był więc mniej więcej zorientowany. Gdy przyszła druga depesza od ks. Ewerta, wzywająca go natychmiast do Radomia, 15-go października tam pojechał. Dowiedział się, że już 3-go Lena wezwała pilno ks. Ewerta do Kielc, a gdy, mając swoje obowiązkowe zajęcie, przyjechać nie mógł, w kilka dni powtórzyła wezwanie. Ksiądz odpowiedział, że jest właśnie w porozumieniu z Justynem; obmyślają środki i niech czeka spokojnie na wiadomość albo przyjazdu.

Zmiana projektów Leny nastąpiła z tego powodu, że Szablowski, przekonawszy się, że stan Leny pozostał niezmienny, i on będzie zmuszony ponosić wraz z nią konsekwencje

ich stosunku, wycofał się z całego interesu i zostawiał Lenę jej własnemu losowi. Ona, słusznie zerwać z nim, radzić sobie w obecnej jej sytuacji samej, a potem powrócić do domu.

Na drugi dzień po przybyciu Justyna i Lena przyjechała do Radomia. Rano spotkali się w mieszkaniu ks. Ewerta i cały dzień do późnego wieczora z nim przerozmawiali, obmyślając wspólnie drogę dalszego postępowania. Nastrój Leny był w stosunku do Justyna bardzo uciszony i miękki. Utrata tamtego gruntu pod nogami uczyniła ją pokorną i ustępliwą. Przyrzekła stanowczo, jak bądź okoliczności się ułożą, nie widywać się z Szablowskim zupełnie. Gotowa jest potem wrócić nie tylko do dzieci, ale i do Justyna (spełniania wszelkich obowiązków żony on sam od niej nie wymagał). Justyn, widząc ten jej stan psychiczny, gotów był też zrobić dla niej jak najdalej idące ustępstwa. Cały poziom rozmowy był bardzo podniosły i szlachetny. Chodziło w niej głównie o odpowiedź na trzy pytania: 1/ co Lena ma zrobić z czasem, w którym jeszcze jej tajemnica jest dla oka ludzkiego niewidoczną – 2/ gdzie ma odbyć swoje przejście, 3/ co ma się zrobić z dzieckiem po jego urodzeniu.

Pytanie pierwsze było dla Justyna zagadnieniem o znaczeniu bardzo zasadniczym. Czy jest rzeczą dopuszczalną, aby mąż, wiedząc, że żona jego oczekuje nieprawego dziecka, godził się na jej pobyt u jego legalnych, w małżeństwie zrodzonych dzieci? Czy nie będzie to zbrodnią z jego strony, zadużyciem zaufania tych nieświadomych złego istot, pohańbieniem rodziny, której sztandar on tak zawsze wysoko w sercu nosi? Odpowiedział sobie: O ile Lena przyrzekła z całą stanowczością zerwać całkowicie z tamtym życiem i gotowa jest wrócić nie tylko do dzieci, ale i bez żalu do niego, niech jedzie do dzieci. Niech ta bytność będzie już zadatkem trwałego jej powrotu. Niech jej oczy w niemej rozmowie powiedzą im, że za ich krzywdę ofiara dokonana, że już przeminął huragan, który im matkę odebrał, że ich sieroctwo skończy się niedługo, że tylko z konieczności na jakiś czas jeszcze opuścić je musi. On ze swej strony za cenę jej powrotu chętnie tę straszną skądinąd dla niego ofiarę poniesie.

Drugie pytanie – gdzie obywać przejście – nastęczało kolosalne praktyczne trudności. W żadnym bliskim mieście – nie można ze względu na opinię i dzieci. Zamieszkanie w większym pociągnie za sobą duże koszty, którymi Justyna przecież nie może obarczać. Myśl jej zatrzymała się na Mroczkowie. Bliska jej rodzina, cisza wsi. Nikt może o niczym nie wiedzieć. Postanowiono zaraz tam napisać.

Trzecie pytanie – znowu bardzo zasadnicze. Na to bohaterstwo, żeby dziecko uznać za swoje i chować razem ze swoimi, Justyn już choć skłonny dziś więcej niż kiedykolwiek do ustępstw, zdobyć się nie mógł i Lena o to nawet nie prosiła. W jakiejś idealistycznej wizji jej dobrego powrotu stawiała sobie i tę alternatywę, i zdawało mu się, że gotów byłby dla niej i to poświęcenie zrobić, ale gdy trzeźwo na realizację tej myśli spojrzął – przeraziła go. Ojciec go wziąć nie zechce. Pozostaje oddanie go w cudze ręce. Ale na żaden przytułek ani sierociniec Lena się nie godziła. Zbyt czuła się z nim blisko związana i zbyt pragnęła, aby mu było całe życie dobrze, żeby ją takie umieszczenie go mogło zadowolić. Stało na projekcie Justyna – wyszukanie mu dobrych bezdzietnych rodziców przybranych, bo wtedy

dziecko może nawet zupełnie o swoim sieroctwie nie wiedzieć. Justyn stawiał tylko mocno warunek, żeby dziecko było zabrane w tej chwili po urodzeniu, tak, żeby matka do niego się nawet nie dotknęła, znał bowiem jej macierzyńskie instynkta o tyle, że był pewny, iż karmiąc je, bądź mając je przy sobie choćby przez kilka dni, już go nikomu nie odda, i cały z trudem ułożony plan będzie doszczętnie chybiony. Lena na ten warunek się zgodziła i Justyn, wyjeżdżając na drugi dzień z Radomia, miał to moralne zadowolenie, że może to ich tak strasznie pogruchtane życie da się jakoś jeszcze pokleić, i dzieci w tak dotkliwy sposób sieroctwa swego nie odczują. Żegnał Lenę z tym, że ona wkrótce do nich pojedzie. Oboje czuli się tą rozmową u księdza i poczynionymi z obu stron ofiarami podniesieni, uszlachetnieni i lepsi.

Po wyjeździe Justyna Lena odbyła dobrą spowiedź w Radomiu u wskazanego jej przez ks. Ewerta rozumnego spowiednika. Czuła się nią bardzo pokrzepioną na duchu i uspokojoną. Wkrótce potem, w końcu października, w dobrym pogodnym nastroju wyjechała do Kielc i dzieci. Justyn miał o tym wiadomości od zacnego księdza Ewerta, który obojgu im był serdecznie oddany. Donosił on mu m.in., że pod swoim adresem otrzymał dla przesłania Lenie od p. Szablowskiego z Taboru pocztówkę i list polecony. Zastanawiał się, co z nim zrobić, bo nie chciał być jego w tej sprawie pośrednikiem i był na niego oburzony, że w obecnej sytuacji śmie jeszcze Lenie narzucić i przypominać. Ale wręczył je podług adresu, zastrzegając się tylko, że na przyszłość będzie bezwzględnie niszczyć wszelką pochodzącą od niego korespondencję.

X

W Borowinach zabawiła Lena przez cały listopad. Wkrótce po jej przyjeździe przyjechał na kilka dni, ze starszymi chłopcami na Wszystkich Świętych Justyn, który jednocześnie chciał przypatrzeć się pracy niedawno przyjętego rządcy, o którym miał relacje, że pomimo dobrych świadectw i rekomendacji, był do niczego, niedołączy, nie umiejący sobie nadać powagi ze służbą itp. Przekonał się, że istotnie tak było i oświadczył mu, że się na samodzielnego rządcę zupełnie nie nadaje, wymówił mu miejsce i zabrał z sobą do Warszawy. Wkrótce potem do Borowin przyjechała celem zaopiekowania się Leną ciotka Zofia. Ale wpływ jej i tym razem nie zaznaczył się dodatnio. Zdania swojego nie miała zupełnie. Z nastrój Leny nie tylko nie był taki, jakiego podczas jej bytności u dzieci w dzisiejszym jej stanie można było oczekiwać, ale był przepojony rozdrażnieniem, zuchwalstwem i złością. Justyn odczuł to częściowo już podczas bytności na Wszystkich Świętych, a bardzo dobitnie – za drugą bytnością w interesach w tymże samym miesiącu. Gorzej, bo miał dane na to, że stosunki Leny z Szablowskim, bawiącym w tym czasie w sąsiednich Ciężkowicach, pomimo tak solennych obietnic i pomimo całej dobrej woli Justyna, wykazanej w pozwoleniu jej przyjechania w obecnych okolicznościach do dzieci, zostały na nowo nawiązane. Gdy jej na całą niedopuszczalność tej rzeczy zwrócił uwagę, zionęła na niego taki stekiem złości, obelg i nienawiści, że – nie chcąc robić gorszego widowiska wobec służby i dzieci, tegoż samego dnia wyjechał do Warszawy. Ciotka Zofia na tę jej nieuzasadnioną awanturę nie uznała za stosowne zareagować. Stało się dla Justyna jasnym, że nie tylko niepotrzebnie zdobył się na poświęcenie, na które mało kto z mężów w

tych warunkach zdobyć by się potrafił. Ale że próżnym złudzeniem jest myśl, aby na likwidację tamtego stosunku i jej trwały pobyt u dzieci można było liczyć. Dla jego rodziny jest to już istota całkowicie stracona.

Do tego, zdaje się, okresu pobytu Leny w Borowinach odnieść należy jej, napisany do Justyna list bez daty, zostawiony przez nią na wyjeźdnym ks. Ewertowi z tym, żeby go Justynowi wręczył, o ile ona nie wróci. Ponieważ jej powroty ponawiały się co pewien czas ciągle, i on za każdym razem łudził się, że to jest powrót stały, więc list Leny przeleżał u niego w biurku blisko dwa lata, zanim go Justyn otrzymał. List – charakterystyczny przez to, że Lena widocznie zreflektowała się, przyznaje wreszcie słuszność zasadniczym, wielokrotnie podawanym jej tezom Justyna i stosowane wyprowadza wnioski. Oto – najbardziej znamienne ustępy jej listu:

Miałeś rację, pisząc wówczas, że „obowiązki Twoje na gruncie, na jakim je stawiasz, owocu wydać nie mogą”. Prawda. Chować dzieci, wypełniać wspólne obowiązki w atmosferze takiej, jaka jest między nami, w atmosferze niechęci i nienawiści, jest niepodobieństwem. Chować Twoje dzieci w miłości do Ciebie, gdy one czują, co jest między nami, choćbyśmy nawet razem nie byli, jest niemożliwym. Ty wyrzec byś się tych dzieci nie mógł, tak, jak mówiłeś, chciałbyś nadawać swój kierunek i krytykowałbyś nieraz moje wychowanie. Zważ, że to, czego dawniej być za złe nie uważałeś, to teraz przy zadrażnieniu tak silnym raziłby Cię nieraz zabardzo może. Jakbym znów zadrażnieniem odpowiadała, i byłoby piekło, na którym jakżeby cierpiały dzieci!... Przytem sama jestem wewnętrznie rozbita, i zanim bym jakkolwiek siebie skleić mogła, przeszłyby lata ... i to nie łudzisz się chyba, że przy tem tle strasznej siły moje wrócić by nie mogły ... Wobec tego de facto cóżby ze mnie miały dzieci?

Powrót mój, obowiązki moje mogłyby być inne, mogłyby przynieść skutek, gdybym mogła wrócić do Ciebie tak, jak kiedyś pisałam, już nie jako żona fizyczna, ale cicha i pokorna, zrażona i zawiedziona tamtym życiem, spragniona domu i głównie mogąca żyć t.j. przebywać z Tobą. Rozumiesz to sam dobrze. To obecnie przy mojej całkowitej krańcowej naturze jest niemożliwym. Znadto mam pełną duszę i życie tamtego, żeby to nie było nad możność moją wrócić teraz do Ciebie. Kładę na to nacisk, bo to – tło główne, na którym budować coś można. Inaczej – niepodobna. Przy tej zawziętości, którą teraz mamy do siebie, stawalibyśmy się, będąc w jednym życiu, nawzajem dla siebie coraz gorsi i niesprawiedliwsi. Gdybym wracała, mogąc mieszkać z Tobą, oddając Ci się w opiekę, prawie niczem byłyby mi gadania ludzkie; wtedy języki, pogadawszy trochę, umilkłyby, i życie szło by znośnie o cicho ... Inaczej stałabym się może męczennicą, ale niepożyteczną, może nawet szkodliwą.

Powrót musi być zupełny, bez wstrętu, z możliwością wspólnego życia ... Mam zupełną wizję takiego powrotu. Ten taki, jaki jest, trwać nie może...

Wobec tego – winna temu pewnie krańcowa moja natura – lepiej, że jedno chować dzieci będzie. Smutne to, ale przynajmniej jednolite, bez szarpań i bez niejasności stosunku, którą dzieci smutno i szkodliwie by odczuwały.

Gdy tamtym życiem zrażona lub przekonana, że tu – mój do i to, co zostawiałam, większą jest siłą, gdy zapragnę takiego powrotu i wspólnego – nie miłosnego, to niemożliwe – ale spokojnego cichego współżycia z dobrem dzieci, wrócę wtedy na zawsze. Na to muszę przeżyć i poznać, że to – marzenie, miraż tylko. O ile się nie przekonam, a trzymać mnie będziecie, ja sama, jako ofiara, będę między Wami, zdrażniona i nieszczęśliwa. Mogę życie stracić, złamać się, a przy swoim zostanę i dzieciom raczej szkodliwą, niż pożyteczną, będę.

To, co się staje teraz, jest tylko konsekwencją smutną. Wina moja w tem, że dała zakorzenie się temu uczuciu, że pierwszym wyjazdem do Krakowa zamknęła sobie drogę i możliwość życia. To, co teraz, to – mus, konieczność, jedyna droga w tej gmatwaninie. Chcę pójść z dobrem słowem. Pójście to teraz ciężiej mi przychodzi, niż myśleć możecie.

Gdybym umarła, przeczytaj to, co piszę, dzieciom. Kocham je głęboko, i odchodzę, rozdartą bólem i żalem za nimi. Może, gdy wrócę, przeczytać to również. Niech wiedzą, że więcej w tem niedoli niż winy, i że ich Lena pomimo wszystko jasną duszę zachowa.

Tobie dziękuję za dawną Twą dobroć i wyrozumiałość dla mnie. Teraz, bywałeś okrutny i twardy. Nie Twoja wina, a nieszczęsnego położenia. Módl się za mnie i przebac mi krzywdę, którą Ci zrobiłam. Wiem i czuję, jak bardzo jestem winną wobec Ciebie i dzieci, ale ponieważ cierpię wiele, darujcie mi, jakbyście darowali, gdybym umierała.

Nie łudzę się, że będę szczęśliwą – to niemożliwe. Będę tylko mogła żyć i być choć trochę pożyteczną. Tu zaś w tych warunkach nie mogę być niczym. Złamałabym się zupełnie. Przebaczcie!

Bardzo trzeźwy i rozsądny list. Wielka szkoda, że Lena w swoim czasie wierzyć mi nie chciała identycznym, przedstawianym jej w najżycielszy sposób poglądom Justyna. Oszczędziło by jej to wiele gorzkiej rozterki i ciężkich zawodów, a może uratowało jej życie...

X

Co do odbycia swojego przejścia w Mroczkowie i w ogóle w kraju Lena się rozmyśliła. Skandal by się niewątpliwie zrobił duży. Idąc, zdaje się, za radą dr Przyrębskiego, który jej robił operację, oraz p. Marii Śliwowskiej, znającej przez siostrę te

stosunki, zdecydowała się na zakład w Krczu w Czechach koło Pragi. Dogadzało jej to zapewne i ze względu na bliskość Taboru.

Wyjechała z Borowin z Ciotką Zofią w początku grudnia. Zaraz z Kielc napisała do p. Marii, donosząc, że jedzie do Krč, że dr P. z Kielc będzie czekał na nią w Pradze. Szablowskiego widać nie oczekuje. Ciotka odwiedzie ją do Krakowa, a potem jedzie do siostry do Lwowa, dokąd i Lena się wybierała.

Nie jadę tam – pisze, by wracać w tamto życie, jadę z myślą, by wrócić tu do dzieci moich, od których tak strasznie ciężko teraz się oderwać... Maniusiu, mów i przypomnij Justynowi o pieniądzach dla mnie. Będę oszczędzać, ale koszta duże. Niech wie, że jestem tam, bo muszę z zamiarem pewnym i stanowczym, by wrócić do dzieci, gdy skończę tę sprawę.

A więc znowu – projekt powrotu do dzieci. Coraz inne nastroje. Następny list do p. Marii, już z Krczu, bardzo znowu podrażniony, być może dlatego, że Szablowski się nie pokazuje.

Maniusiu droga – pisze – Wł. dotąd nie ma. Patrzą jasno, widzę i cierpię, a ten ból wewnętrzny, jak trucizna, zjada mój organizm. Jednak on mi najbliższy; on jeden mocen jest dać mi otuchę i siłę. Gdy wiarę stracę, upadnę i dźwignąć się już nie zechcę – dla nikogo. To jednak we mnie było i jest najsilniejsze uczucie, i cokolwiek będzie zostanę z nim do śmierci.

Po co mi piszesz, że p. Justyn gotów jest dla mego powrotu wiele poświęcić i wiele zapomnieć. Nie chcę, by nic poświęcał ani zapomniał. Wracam do dzieci, a nigdy do niego. Wiesz dobrze. Chcę wrócić do dzieci, rozdzieliwszy życie swe od Justyna. Przy tem trwam, inaczej nie widzę możliwości życia. Nie zapominajcie, że do całej komplikacji przybędzie Tristunio (tak Lena swoje spodziewane dziecko nazwała), dla którego mieć muszę zawsze obowiązki i pozostawioną niezależność. Odczuwają mękę ze złożenia nowej ofiary, ale gdy wrócę, zostanę powitana dyktowaniem warunków i łaskawem oświadczeniem, „że są gotowi zapomnieć wiele i poświęcić”. A, nie chcę nic, żadnych poświęceń!! Dość wycierpię, i niech mnie zostawia w spokoju. Moje rachunki są pomiędzy mną i Bogiem. Za zrobioną krzywdę wielokrotnie już przeprosiłam. Teraz uważam, że moja szala cierpień przeważała o tyle, że już nie powinno być o tym mowy. Największą krzywdę zrobiłam sama sobie. Żeby nie to małe życie, które mam w sobie. To mię trzyma jeszcze, ale z jakiegoż bólu rośnie ono.

Co do Frydy to uważałam i uważam, że mi będzie potrzebna ...

Maniusiu, napisz mi, co myślisz o Władku, napisz szczerze ... Tak się męczę!

Co do ukrycia tego przed ludźmi, inaczej się teraz zapatruję na to. Obowiązki mam tak samo dla Tristunia, jak i dla tych dzieci. O ile go weźmie ojciec i zapewni mu

wychowanie – dobrze, o ile zaś – nie, nie wolno mi go oddać nikomu, bo dusza moja za tę duszyczkę odpowiada, i żadne ludzkie względy od tego wstrzymać nie powinny. Tak też i zrobię. Przede wszystkim jestem matką tych dzieci i Tristunia i z punktu matki powinnam patrzeć i decydować.

Jak ten list i nastrojem swoim i treścią daleki jest od postanowień, powziętych przez Lenę dobrowolnie i zdecydowanie w rozmowie w mieszkaniu ks. Ewerta!

X

20-go marca pani Koziorowska, siostra p. Śliwowskiej, otrzymała z Krczu od kierowniczkii sanatorium telegram, brzmiący: „Mamusia i synek zdrowie”. W tydzień potem Lena sama napisała do p. Marii, opisując przejście i unosząc się nad przymiotami małego przybysza. Ależ Lena wycelowwała ze swym prezentem akurat na imieniny Justyna! Ponieważ nie było komu od razu dziecka oddać, Lena sama zaczęła je karmić, co naturalnie od razu położyło krzyż nad myślą rozstania się z nim.

Maniusiu – pisze w tym pierwszym liście do p. Marii Śliwowskiej – strasznie kocham tę dziecinę, z całą pełnią macierzyństwa. Tak bardzo za nie Bogu dziękuje. Podobny jest do niego ... Wł. przyjechać ma dziś lub jutro, dbają tu o mnie wszyscy i odżywiają doskonale ...

- Przychodzi mi na myśl, że po przeczytaniu tego listu przyjdzie Ci strach, że zanadto cieszę się tym dzieckiem, że a nuż nie wrócę. Bądź spokojna. Wiem, że obowiązki matki są mojem zadaniem, i spełnić je muszę, wiem tylko, że i temu dziecku matką być muszę, i że żadna siła nie zdoła mnie od niego oderwać, a oddać je w obce ręce. Jak to będzie – nie wiem. Wierzę, że Bóg pomoże.

Już w dwa tygodnie po urodzeniu dziecka Lena napisała do Justyna, mówiąc o wszystkim otwarcie i spokojnie. Tłumaczyła, że nie może dziecka opuścić, nie może też go oddać nawet ojcu, który nie ma sam żadnego punktu oparcia, ale jednocześnie trwa przy myśli, że chce wrócić do tych dzieci i resztę życia i sił im poświęcić. W jaki sposób pogodzenie tych rzeczy sobie wyobraża – nie pisze. Prosi, żeby Justyn wyraził jej co do tego swoje zapatrywania, jak również i co do sprawy nazwiska dziecka. Dziękuje za przysłane jej pieniądze, tłumacząc się, że pobyt w sanatorium jest kosztowny. Ton listu – ciepły i miękki, jeżeli nie serdeczny.

Justyn odpisał jej długo, bardzo serdecznie, ale w tonie stanowczym. Oświadczył jej, że na tym gruncie rozwiązania sprawy nie widzi; że jedyną radą, jeżeli naprawdę chce wrócić do tych dzieci, jest wyszukać tamtemu odpowiednią opiekę na całe życie, ale od tego momentu, tamtą kartę jej życia zamknąć zupełnie, wyrzuciwszy z serca bunt i żal. W sytuacji, jaka się wytworzyła, musi poświęcić albo tamto jedno, albo te sześcioro, które – to już niech jej serce podyktuje. O ile ona na takie postawienie sprawy by się nie godziła, nie pozostawałoby nic innego, jak rozwiązanie ich życia.

Niezależnie od tego stanowiska, potrzebne na sanatorium pieniądze – choć prowadzenie trzech domów było dla niego bardzo ciężkie – Justyn uznał za konieczne Lenie posyłać. Szły już one teraz w tysiące rubli. Lena prosiła wprawdzie, żeby przysłane jej sumy zaliczane były na poczet wniesionego przez nią w swoim czasie posagu, którego zwrot Justyn jej pomimo wszystko zapewnił, ale do tego nie doszło.

Rozdział XXIII

W Warszawie tymczasem nastąpił nowy ważny fakt. W pierwszych dniach kwietnia przyjechała matka i siostra Leny z Mińska Litewskiego. Zamiast radości powrotu po czteroletniej bez mała tułaczce zaraz na progu spotkały się z druzgocącym nieszczęściem. Znając daleki od spraw erotycznych charakter Leny, nie mogły po prostu w to, co się stało, a o czym dowiedziały się od doktora i ciotki Zofii, uwierzyć. Zrozumiały jest rzeczą, że obok żalu do Leny musiały mieć i żal do Justyna. Bez jego jakiegś dużej winy nie mógł taki fakt nastąpić.

Justyn zaraz po ich przyjeździe, uważając za rzecz zrozumiałą, gdyby nawet przez dłuższy czas w uczuciu rozżalenia widzieć go nie chciały, napisał do nich list, w którym daje wyraz najserdeczniejszego dla nich współczucia z powodu tego, co się stało, stwierdza, iż nie tylko ich prawem, ale i obowiązkiem jest zavezwać go do szczegółowego rachunku i odpowiedzi, co zrobił z dobrem, które w jego ręce złożono, wyraża wreszcie gotowość dania im, gdy tego zażądają, najściślejszych i zgodnych z sumieniem wyjaśnień.

Przyszło do nich w dwa tygodnie po przyjeździe matki i Hali. Ale poza wielkim smutkiem nie wywołały one głębszej ich w stosunku do Justyna niechęci i goryczy. Brały mu oczywiście za złe zbyt miękkie z Leną postępowanie, zwłaszcza w początkach zawiązującego się romansu, znając jednak silną indywidualność Leny i wysłuchawszy wyjaśnień Justyna, nie dziwiły się, że postępował tak, a nie inaczej. Trudno było zaprzeczyć, że doprowadzenie przez niego do skandalu wtedy, kiedy poza niewłaściwym postępowaniem o nic karygodnego pomówić Leny nie było można, mogło przy jej niepohamowanej naturze silnie zaostriżyć sytuację, i odejście jej w związku z tą ewentualną represją mogło słusznie na Justyna bądź przedwczesnym naciskiem spowodować nieszczęście. Z początku nie narzucał się matce z częstszym u niej bywaniem, z czasem jednak fakt, że oboje stali się ofiarami dramatu, zbliżał ich stosunek coraz więcej.

Ale czasu na częste bywanie u matki Justyn nie miał, bo pochłaniała go praca. Wyjeżdżał przy tym często, czy to w sprawach Leny, czy ze starszymi chłopcami podczas świąt i przerw w nauce, czy wreszcie – do młodszych dzieci i gospodarstwa. Dzięki Bogu posłany przez niego do Borowin rządca, w przeciwieństwie do poprzedniego, niedołęznego, okazał się energicznym, rzutkim i dbającym o podniesienie dochodu z majątku. Z tej więc strony miał spokój.

Pracy redakcyjnej i związanej z nią publicystycznej oddawał się Justyn gorliwie i z zamiłowaniem, pisywał dużo do różnych pism, bywał na związanych z jego pracą zebraniach, opracowywał referaty i sprawozdania.

Starsi chłopcy w gimnazjum Zamoyskiego sprawowali się przy swojej żywności rozmaicie, ale uczyli się nieźle i promocje mieli prawie pewne, młodsi – w tejsze szkole zdali egzamin wstępny i od wakacji mieli chodzić do niej razem z braćmi.

Ale w związku z umieszczeniem chłopców w gimnazjum Justynowi przybyła nowa praca. Przy szkole tej, jak i przy wielu innych, istniało Rodzicielskie Koło Szkolne, którego zadaniem była wtedy głównie materialna pomoc dla młodzieży. Koło miało swój Zarząd, który był odpowiedzialny za czynności organizacji rodzicielskiej i utrzymywał kontakt z Dyrekcją i zarządem Towarzystwa Szkoły. Towarzystwo było jej prawnym właścicielem i miało swój Zarząd i Radę, do której wchodził z urzędu Dyrektor szkoły i prezes Koła Rodzicielskiego.

Otóż wkrótce po umieszczeniu starszych chłopców w gimnazjum, na pierwszym ogólnym zebraniu członków Koła Rodzicielskiego, Justyna – w związku z jakimś jego przemówieniem w dyskusji – wybrano na członka Zarządu Koła, zaś Zarząd od razu powołał go na swego prezesa. Trudno mu było jednak, choć czas miał już bardzo wypełniony, nie przyjąć wyboru. Nie chciał zarazić zaufania kolegów, przy tym ta praca charakterem swoim go pociągała. Pociągała podwójnie. Najprzód ideowo związana była z młodzieżą i rodziną, której – zwłaszcza po rozdarciu własnej – chciał pracę poświęcić, po drugie zaraz na pierwszym zebraniu zorientował się, że organizacja rodzicielska przy szkole, o ile jest serio i należycie prowadzona, ma wielkie do spełnienia zadanie, które w danym wypadku dotychczasową pracą Koła nie są objęte. Może ona obok materialnej, wziąć na siebie i moralną opiekę nad młodzieżą, być terenem współpracy rodziny i szkoły, zapewnić rodzicom mocniejszy głos w sprawach wychowania szkolnego. W tych kierunkach należałoby pracę Koła – naturalnie w porozumieniu z władzami szkolnymi – rozbudować i rozwinąć. Pole działania otwierało się szerokie.

Justyn przyjął więc wybór i zaczął pracować gorliwie i z zapałem. Miał wielką pomoc w kolegach Zarządu, którzy byli na ogół sympatycznie, rozumni i w zupełności aprobowali ideową jego linię i dążenia. Stosunki w łonie Zarządu ułożyły się bardzo życzliwie. Regularnie co tydzień o 8-ej wieczorem zbierano się na posiedzeniach. Chłopcy do tego czasu mieli zazwyczaj odrobione lekcje, kładli się spać, mógł ich więc spokojnie zostawić.

X

A Lena przez cztery bez mała miesiące od urodzenia dziecka pozostawała jeszcze w sanatorium w Krczu. Było jej tam wygodnie i miło. Odżywianie miała dobre, opiekę – doskonałą w osobie kierowniczkii zakładu, p. Bezduchowej i jej siostry Elżbiety. Wszyscy kochali ją i jej małego, którym się zachwycali. Pochodzenie jego jednym nie było znane, innym – w ten sposób przedstawione, że cała tamtejsza opinia była zdecydowanie po stronie

Leny. Kiedy p. Koziorowska, siostra p. Śliwowskiej, w jednym z listów do znanej jej p. Bezduchowej podniosła wartość znanego jej również męża Leny, ona w odpowiedzi żywo zaoponowała: „Nie wierzę ja tam – pisze – w cnoty pana Bogusza”. Ten inspirowany oczywiście przez Lenę zdecydowany sąd obcej zupełnie osoby wydawał się jednak dość dziwnym.

Dłuższy pobyt w Krczu Lena tłumaczyła chęcią zupełnego wydobrzenia po swym przejściu u moralnym wyczerpaniem, niewielką stosunkowo różnicą kosztu tam czy gdzie indziej, czekaniem na pieniądze, opóźnieniem możliwości czasowego zaopiekowania się dzieckiem przez pewną osobę, która miała je wziąć do siebie na okres wyjazdu Leny do kraju i ostatecznego ułożenia się jej dalszego życia, wreszcie – chęcią osiągnięcia jakiegoś wyniku z poprzedzającej je, prowadzonej przez nią korespondencji. Korespondencja ta była obfita, a że listy podczas wojny długo szły, jej poglądy zaś natrafiły na duże zastrzeżenia i opory, przeciągała się ponad miarę.

Listy Leny do Justyna w treść były podobne do pierwszego, pisanego do niego wkrótce po urodzeniu dziecka. Jeżeli nawet godziłaby się na oddanie go czy to ojcu, czy osobie obcej z własnego wyboru, to z bardzo silnym zastrzeżeniem, że opieki nad nim wyrzec się nie może. Równałoby się to w pierwszym wypadku utrzymywaniem przez nią ciągłych stosunków z Szablowskim, który nie przestał być dla niej przedmiotem największego ukochania, w drugim – odjeżdżaniu od tych dzieci do opiekowania się tamtym. To ciągle rozdwojenie żadnych gwarancji co do należytego spełnienia obowiązków jej zapewnić by nie mogło, i Justyn na nie z punktu widzenia stosunków we własnej rodziny i dobra dzieci zgodzić się żadną miarą nie mógł. W tym więc punkcie do porozumienia dojść nie mogło i dopóki Lena od tego swojego warunku by nie odstąpiła, nie widział celu przyjeżdżania jej do Warszawy dla jakichkolwiek pertraktacji. O niestawianym przez Lenę wyraźnie, ale z lekka podszywaniem jej dezyderacie, aby tamto dziecko przyjął i chował ze swoimi, nie mógł myśleć.

Jeżeli treść wielu listów, pisanych przez Lenę w tym czteromiesięcznym okresie czasu do Justyna była mniej więcej zbliżona, to ton ich bywał bardzo różny. Czasem – miękki i uciszony, czasem – nacechowany silnym podrażnieniem. Najdobitniej zaznaczył się on w ostatnim jej liście do Justyna z Krczu, w którym m.in. pisze:

Skąd ma być u mnie uciszenie? Jaki ciężki sąd kiedyś wydadzą dzieci, gdy się dowiedzą, przez co matce wrócić do nich nie dano, a wiedzieć to będą, jak Bóg na niebie, czy żywa będę, czy martwa, i dowody na to mieć będę! Niech wtedy one osądzą! Moja wina była straszna, gdy porzuciłam dzieci i pojechałam. Od operacji, gdy sam Bóg kazał żyć temu dziecku wbrew mej woli, od chwili urodzenia jego zaczyna się wina Wasza.

Lena po wszystkim, co zrobiła, przemawiając tym językiem! Cóż za szatańska pycha i zaślepienie, zamiast wewnętrznego upokorzenia, które powinno cechować jej powrót.

Upokorzenia nie przed Justynem osobiście, ale przed nim, jako symbolem zhańbionej przez nią i podeptanej rodziny.

Do rozdrażnienia Leny przyczyniło się także to, że nie znalazła jak się spodziewała zrozumienia i pomocy u swojej rodziny. Pisywała do ciotki Zofii, do siostry swojej, Hali po jej powrocie z Litwy, kilkakrotnie do szwagra Potockiego, i nie mogła się od nich doczekać odpowiedzi, cieplejszego słowa, zainteresowania się jej losem, chęci dopomożenia jej w ciężkim jej położeniu. Bardzo ją to bolało. Nie chciała uwierzyć w to, że ich zapatrywanie się na możliwość i celowość jej powrotu było – bez wpływu ze strony Justyna – takie samo, jak jego. Nie wyobrażali sobie jej powrotu do tego życia bez zupełnego zerwania z tamtym. Nie chcąc jej drażnić, woleli nie odpisywać.

Pisywała też bardzo szczerze do p. Marii Śliwowskiej, ale również – poza najserdeczniejszym współczuciem dla jej miłości – oddźwięku w poglądach nie znajdowała. Ponieważ ciągle chodziło jej po myśli przyjęcie jej dziecka przez Justyna do tej rodziny, pisała kiedyś do p. Marii:

Jedyne wyjście byłoby, gdzie, sądzę, ani to, ani tamte nie miałyby krzywdy, ale na to trzeba by cudu, aby Chrystus zstąpił i sam powiedział, co zrobić trzeba. Wiem, co powiesz: „jakiż byłoby to ciężkie dla p. Justyna”. Ale cóż jest lekkie?

Zaznaczając dalej, że godzi się na to, aby znaleźć kogoś, kto by się zajął dzieckiem czasowo do chwili oddania go w ręce ojca, pisze:

„... Na to trzeba, aby ktoś z nich (tj. jej bliskich) zapominając o wszelkich ludzkich względach, pomógł z dobrą wolą, mając na celu jedynie umożliwienie powrotu do dzieci i niezrobienia krzywdy niewinnej istotce. To jest w ich rękach, - Justyna i mojej rodziny, by dzieci mnie nie straciły. Tym razem nie na moje sumienie spadnie, gdy nie wrócę.”

Ślicznie, z sercem i rozumem, odpowiedziała Lenie na ten list p. Śliwowska:

Biedna Ty, droga! Czuję z Tobą, płaczę nad kołyską maleńkiego. Ale nie mogę, tak, jak Ty rozumować. Nie, nie sądzę, aby Chrystus kazał tak postąpić, jak Ty myślisz. To byłoby możliwe na jakiejś innej planecie, gdzie obowiązują inne nakazy moralne, inne ideały rodzinne. Ale na naszym świecie to się nie da pomyśleć. Odpowiesz mi: „to są względy ludzkie”. Tak! Czyż nie ludźmi jesteśmy? Czyż te dzieci, których dobra pragniesz, nie mają rosnąć wśród ludzi? Czy – co najważniejsza – nie obawiasz się, że zupełnie ich uświadomienie w tej sprawie wywołać by mogło wobec kultu, jaki mają dla Ciebie, najopaczniejsze poplątanie ich pojęć moralnych? Czy Chrystus mógłby nakazać wprowadzenie do rodziny żywego dowodu uczuć, które tę rodzinę skrzywdziły? Nie. Chrystus nie mógłby tego nakazać. A druga rzecz, także ludzka – opinia. Co to jest właściwie być ponad opinią? Czy to nie znaczy ją wyzywać? Świat mści się zawsze okrutnie za to na dzieciach, na córkach zwłaszcza. I dlatego właśnie,

*przez wzgląd na dzieci, nie powinno się ujawniać tego, co się stało ... Choć to ludzkie
względy, ale niezmiernie ważne względy ... Ja zawsze powiem swoje: Nie można
naraz iść dwiema drogami ... Czy nie ludzisz się, sądząc, że tam (u ojca) znajdzie
dziecko opiekę i serce? A ja nie wiem, droga, czy Tristunio nie byłby szczęśliwszy,
gdy znalazł rodziców przybranych, którzy biorąc dziecko za swoje, dają mu serce tym
samym. Zastanawiam się, czy młody człowiek, który dopiero życie zaczyna, będzie
mógł dać choćby za rok, za dwa lata, tę opiekę, i jaką? Czy dziś ręczyć może, że się
temu obowiązкови poświęci? Czy życie nie pociągnie go gdzie indziej? A w takim
razie jakaż dola Tristunia? Powiesz, droga, że co do tego jesteś pewna pana
Władysława, ale czego można być pewnym i kogo? Czyż człowiek sam sobie nie bywa
dziwną niespodzianką? I – co niezmiernie ważne – w ten sposób nie zerwałaby się
nigdy nić, łącząca Ciebie z panem Władysławem, a, co za tym idzie – wieczne
rozdwojenie, zawsze te dwie drogi, i męka nieskończona. Dzieciom Twoim potrzebny
Twój spokój. Nie osiągniesz go, póki nie wyrzekniesz się zupełnie.*

Tak więc biedna Lena znikąd poparcia swoich poglądów, myśli i projektów nie
znajdywała. Pomimo to postanowiła do Warszawy przyjechać. Wpierw jednak przyjechał z
tułaczki wojennej starszy jej brat, Wincenty, a także wuj Roman Joteyko z Ławocznej.
Postanowili wspólnie, żeby Wincenty, człowiek już dziś dawno dorosły i żonaty, o bardzo
trzeźwych zapatrywaniach, pojechał do Leny do Taboru, gdzie Lena po wyjeździe z Krczu
bawiła, rozejrzał się osobiście w sytuacji i dopomógł jej powziąć tę czy inną decyzję.
Wincenty też widocznie nie widział możliwości w warunkach jakie się tworzyły, i z jej
poglądami, powrotu Leny do dzieci, bo jeszcze podczas jego bytności u Leny, albo zaraz po
jego wyjeździe, matka otrzymała od niej telegram z Taboru treści następującej:

*Rozwód z Justynem postanowiłam. Po dwudziestym (lipca) przyjadę. Chcę z Justynem
mówić.*

A jakby w uzupełnieniu tej depechy Wincenty w powrotnej drodze telegrafuje z
Wiednia do matki:

Już wiecie. – oboje chcą się pobrać. On robi dobre wrażenie.

Decyzje więc w tym kierunku zapadły. Jakby ironią losu wiedziony, wieczny romantyk
Justyn, myślą będąc nieustannie z Leną, w tymże samym dniu wysłania przez nią telegramu
o rozwodzie, wkładał jej w usta słowa następujące:

Nie rzucę ziemi, skąd mój ród,
Dość mam już obcej mowy!
Wrócę, gdzie polski żyje lud,
Złożone ojców głowy ...
Nie skusi mnie już szatan – wróg
Tak mi dopomóż Bóg!

Nie będzie nikt mógł win mych tknąć,

Ni dzieci mych żałować,
Bo już pod płaszcz mój chcę jej wziąć,
Błąd muszą mi darować!
Chcę być już dotąd u ich nóg,
Tak mi dopomóż Bóg!

Już mi nie sponie wstydem twarz
Przed dziećmi, ni przed Tobą,
Bo oto swoją znów mnie masz,
Tamto – mam poza sobą.
Twierdzisz mi będzie chaty próg –
Tak mi dopomóż Bóg!

Poezje, złudzenia. A jednak, jak dalsze fakty pokazały, niezupełnie nieuzasadnione.

Lena przyjechała do Warszawy z końcem lipca. Zaraz na drugi dzień po przyjeździe prosiła przez ciotkę Zofię, u której zamieszkała, żeby Justyn do niej przyszedł. Mówili ze sobą dużo w tonie przyjaznym o dalszym ułożeniu ich życia. Jakby o rozwodzie nigdy nie było mowy. Wizja jej powrotu stawała się znowu aktualną. Znalazło się pomiędzy nimi w tej rozmowie więcej stycznych punktów. Lena zdawała się lepiej rozumieć, że tylko na zdecydowanym trzymaniu się przez nią jednej drogi, na szczerym i jasnym stosunku, na zaufaniu i na zupełnym i bezpowrotnym wyrzuceniu przez nią z duszy buntu i niechęci do Justyna, a jak on to nazywał, powrotu do niego, nie tylko do dzieci, może opierać jakieś plany przyszłości.

Chcąc jej świadomość tych prawd pogłębić, Justyn uznał za odpowiedni do dania jej do przeczytania wszystkiego, co w związku ze sprawą jej odejście w dniach swojej samotności napisał, łącznie z nie dawno skończonymi „Rozważaniami” na temat jej ewentualnego powrotu. Przesłał jej więc te parę zeszytów na ręce ciotki Zofii z listem do ciotki, w którym motywuje to przesłanie, a potem, nawiązując do wczorajszej z Leną w obecności ciotki rozmowy oraz lepszych jej nastrojów, pisze dalej m.in.:

Gdyby między nami zaszły były tylko rozdzwieki, można by teraz myśleć o układaniu życia o b o k s i e b i e. Skoro życie rzuciło między nas przepaści, odbudowa z gruzów polegać może tylko na obudzeniu się w duszy nowych sił, umożliwiających nam życie z sobą. Tych rzeczy nakazać sobie nie można, ale można w tym względzie głęboko stan swej duszy zanalizować. To chciałbym, aby Lena po przeczytaniu moich uwag zrobiła. Bez pełnego jej co do tego uświadomienia łączenie naszego życia uważałbym za bezcelowe i zgubne.

Dobre postanowienia Leny nie trwały długo. Kiedy na drugi dzień Justyn poszedł do matki i zastał tam wuja Romana, wyjaśnienia jakich mu udzielili po widzeniu się z Leną, rozwiały znowu wszelkie jego złudzenia. Napisał po wysłuchaniu ich do ciotki:

Po wyjaśnieniach, jakie otrzymałem wczoraj od Mamy i wuja Romana, uważam wszelką dalszą wymianę zdań z Leną za bezcelową i stosunek nasz, niestety, za

skończony. Czekam tylko na przyjazd (chyba: Wicka – tekst zatarty – T.K.)…… aby formalności omówić i bieg jej dalszy nadać, po czym na początku przyszłego tygodnia chcę pojechać do dzieci. Żalu do Leny nie chowam. Robić może tylko to, na co jej siły pozwalają. Taka widać była wola Boża. Proszę Ciocię o odesłanie mi dziś moich czterech zeszytów.

Lena napisała jeszcze z wyjaśnieniem do Justyna, on jej odpisał, potem ona dała mu pożegnalny list do dzieci, z bólem donosząc im, że wrócić do nich nie może; Justyn był u adwokatów i u Arcybiskupa w sprawie rozejścia się z żoną. Arcybiskup skierował go do jednego z kanoników w Konsystorzu, ale z rozmowy z nim wywnioskował, że dla orzeczenia o rozwiązaniu małżeństwa byłyby wymagane takie zeznania, których by on w poczuciu prawdy złożyć nie mógł. Po krótkim jeszcze raz na życzenie Leny widzeniu się z nią wyjechał w pierwszych dniach sierpnia do Borowin. Lena została jeszcze miesiąc w Warszawie, po czym była krótko u rodziny Szablowskiego tuż koło Borowin, tam widocznie, nie mając gdzie się podziać, porozumiała się z Niemką Frydą co do ewentualnego zamieszkania Leny u jej rodziców w Zgierzu pod Łodzią i tam wkrótce potem z dzieckiem się przeniosła. Niefortunny to był, ze smutnej konieczności tylko powzięty, pomysł, choćby dlatego, że zamieszkanie w domu niemieckim podczas wojny z Niemcami i to w końcowym jej stadium jesieni 1918 roku, kiedy powszechna niechęć przeciwko nim kazała trzymać się od nich jak najbardziej z daleka, było podwójnie przykre. Fryda w domu swoim też nie okazała się dla niej dobrą, jak dawnej. Pisała Lena, że jest zaciętą Niemką, bardzo niemiłą i grubą w domu, zalewającą wszystkim sadła za skórę. Chciałby też jak najprędzej się stamtąd wydostać, bo jej jest tam bardzo źle i ciężko. Jeszcze jedno ogniwo w długim łańcuchu jej cierpień.

X

Skończyły się wakacje. Justyn już nie z dwoma, ale ze wszystkimi czterema chłopcami przyjechał do Warszawy i zamieszkał na Żurawiej. Miał tylko służącą, nikogo więcej przy dzieciach, więc ten rok był dla niego szczególnie ciężki i absorbujący. Na rok przyszedł postanowił zabrać już i dziewczynki, żeby mieć wszystkie dzieci przy sobie, ale wtedy już musi mieć przy nich jakąś kobiecą opiekę. Teraz oprócz ojcowskich musiał spełniać i obowiązki matczyne – dopilnować ich pacierza, ubierania, mycia, jedzenia, zająć się ich nauką, troszczyć się o ich sprowizację, odzież, bieliznę itp. Mając tyle zajęcia w domu przy intensywnej i absorbującej pracy zarobkowej, musiał zaniechać na razie pracy społecznej, zrzekając się na jakiś czas funkcji prezesa Koła Rodzicielskiego. Całe popołudnie i wieczory spędzał w domu z dziećmi, starając się im dać właściwy kierunek wychowawczy.

Dużym utrudnieniem w pracy Justyna była okoliczność, że chłopcy, na ogół zdrowi, często w tym roku chorowali. Był czas, że wszyscy czterej leżeli w łózkach, aż służąca, zdalna, ale nie umiejąca jak inne żyć z domem, w którym pełnią obowiązek, czuła się mocno niezadowolona, oświadczając, że „ona się do szpitala nie godziła”. Za to powiedzenie została niebawem pożegnana, a Justyn z rekomendacji p. Marii Śliwowskiej przyjął inną,

która choć miała niewiele więcej jak metr wysokości, spełniała wszystkie swoje funkcje jak najlepiej, a do chłopców się serdecznie przywiązała.

Tak poprzednie przejścia z Leną, jak i obecne samotne życie Justyna z chłopcami, odbywały się na tle wypadków wielkiej wojny. Aż żal czasem brał, że podczas, gdy w Europie rozgrywała się dziejowa epopeja otwierająca takie promienne perspektywy dla Polski, ich życie zamykało się w ciasnym kole spraw czysto osobistych. W obecnym momencie wojna miała się ku końcowi. Zwycięski huk armat koalicyjnych nad Marną, rewolucja w Berlinie, załamanie ducha żołnierza niemieckiego – przyspieszały koniec. 11 - listopada niedorostki na ulicach Warszawy rozbrajały będących w pełnym rynsztunku żołnierzy niemieckich. Polska po kilkudziesięciu latach niewoli była wolna. Na oczach współczesnych pokoleń odbywał się wielki cud zmartwychwstania.

Rozdział XXIII

Lena po wyjeździe z Warszawy, wrosła, zdawało się, już cała w tamto życie i po dotychczasowej szarpaninie zaznała nieco spokoju. Ale to były tylko pozory. W końcu października doszła do niej wiadomość, że chłopcy w Warszawie są bez opieki, zaniedbani, brudni, bo Justyn, będąc z nimi sam, nie może naturalnie wszystkiemu podołać. Inna rzecz, że te informacje były przesadzone, albo jej wyobraźnią dokomponowane. Ale wystarczyło to, aby napisała ze Zgierza do Justyna list z nową propozycją powrotu. Liczyła na to, że po tej próbie zamieszkania z chłopcami zmieni on swoje zapatrywania i pójdzie na to, żeby ona, pozostając przy tych dzieciach, mogła się opiekować jednocześnie tamtym. Ale Justyn stał niewzruszenie przy swoim stanowisku, uważał przy jej psychice powrót jej za bezcelowy; przeciwnie, nalegał na nią, żeby, celem przerwania obecnego stanu ciągłej niepewności i wahań, załatwiała prędzej należące do niej formalności rozwodowe.

Zamiast nich zapowiedziała w liście do ciotki swój przyjazd do Warszawy po świętach Bożego Narodzenia i prosiła, by o tym uprzedziła Justyna, bo chce się z nim zobaczyć.

Tymczasem zaszły dwie nowe nieoczekiwane okoliczności. Pierwsza – że powrócili z tułaczki Zygmuntovi Komarowie, młodsze braterstwo Leny, ta przemiała i bardzo rozumna Kocia, z którą podczas pobytu jej w Borowinach przed samą wojną Lena tak się zbliżyła. Druga, że w grudniu rozchorował się ciężko na tyfus mały 12- letni Jacek. Pozostałych trzech chłopców celem uniknięcia zarażenia się, Justyn wyprawił jeszcze przed rozpoczęciem się ferii świątecznych do Borowin, a sam z pomocą poczciwej malutkiej Tomciowej pielęgnował Jacka. Zanim się choroba zdeklarowała i przesiliła, wezwał do niego ni mniej, ni więcej, tylko 11- tu doktorów. Ponieważ stan był ciężki, a Lena Jacka najwięcej ze wszystkich dzieci kochała, czuł się w obowiązku zawiadomić ją o chorobie.

Przyjechała zaraz, przed samymi świętami. Zajechała z walizką do mieszkania Justyna. Ale on, uważając za niewłaściwe w obecnym ich stosunku, lokowanie się jej razem z nią i chcąc stosunek ten odpowiednio postawić, walizkę jej kazał odnieść do ciotki Zofii,

zaznaczywszy, że bardzo chętnie będzie ją widział u siebie całe dni i wieczory, ale na noc zechce już chodzić do ciotki. Gdy powiedziała, że noce chciała spędzać przy chorym Jacku, Justyn odpowiedział, że łóżeczko Jacka będzie stało w nocy, jak zawsze, przy jego łóżku.

Wigilię i całe święta spędzili razem przy dziecku. Rozmawiali dużo, ale rzadki wracając do drażliwych tematów. Justyn jednak i tak miał możliwość zdać sobie sprawę, że psychika Leny nie uległa zmianie. Tamto życie nie wahała się nazywać drugą swoją rodziną, a w razie powrotu o wyrzeczeniu się opieki nad tamtym dzieckiem słyszeć nawet nie chciała. Słuszne to może i piękne z punktu widzenia ogólnoludzkiego, ale rękojmi do odbudowy tego życia nie dawało żadnych, jak to Lenie słusznie p. Maria w swym pięknym wyluszczyła liście.

Gdy przyjechali Zygmuntowie, Lena zapragnęła – a Justyn chętnie na to się zgodził – aby w ich obecności ponowić jeszcze raz próbę dojścia ich do porozumienia. Może oni jakąś nową poddadzą myśl. W parę dni po świętach doszło do wspólnej z nimi decydującej rozmowy. Lena prosiła, nie podając powodu, żeby Justyn swoje stanowisko dał jej na piśmie. Nie miał nic do ukrywania – zgodził się i odczytał jej przy braterstwie swoje „Ostatnie słowo”. Zygmuntowie w swoje pośrednictwo włożyli bardzo dużo dobrej woli. Starali się skłonić do ustępstw jedną i drugą stroną. Ale kiedy Lena w pewnym momencie rozmowy z entuzjazmem oświadczyła, że tam jest jej słońce i życie, Zygmunt wstał, rozłożył ręce i powiedział, że w takim razie szkoda dalszych rozmów. Tych dwóch „rodzin” nie da się żadną miarą z sobą połączyć.

Że Justyn nie z jakichś animozji czy zawziętości względem Leny, ale broniąc słusznej zasady i przyszłości rodziny, trwał mocno przy swoim stanowisku, Zygmuntowie mieli dowód w zakończeniu jego odczytanego Lenie przy nich „Ostatniego słowa”, w którym po wyluszczeniu i uzasadnieniu swoich tez, idących w kierunku niemożności przyjęcia propozycji Leny takiego, jak ona je rozumiała, powrotu do dzieci, pisze m.in.:

Gdyby dziś Bóg zechciał duszę Twoją cudownie odmienić, i było możliwe takie przyjście Twoje, jak ja je sobie wyobrażam – z radością najwyższą wyciągnąłbym do Ciebie ręce, Twem pochylonej głowy nie potraktował z wyniosłym gestem łaski, ale ją przygarnął i osłonił. Dzieciom mógłbym wtedy oddać nie tylko ich, ale n a s z a drogą Mamusię i kładąc krzyż nad przeszłością, w rodzinie dawne jej miejsce przywrócić.

Dziś nie mam na to danych i prawa. Siła wyższa rozejść nam się każe. Żegnam więc Twoją głowę biedną i powtarzam: Wierz, bo ręka Boża, której moc wielką widzi się w tej sprawie, czuwa nad Tobą i nie opuści Cię.

X

I to było naprawdę ich ostatnie słowo, po którym już Lena wszelkich dalszych prób mówienia o powrocie do tych dzieci zaniechała.

A dalszy przebieg sprawy był taki, jaki zwykle w tego rodzaju sprawach bywa. Ponieważ stało się znów aktualne ich pobranie się, a w kościele katolickim ani unieważnienia małżeństwa, ani ślubu dostać by nie mogli, Szablowski zaś widocznie nie zdradzał chęci zmiany religii – słusznie zresztą, bo ona, a nie on, w całej tej sprawie od początku brała inicjatywę, - Lena przyjęła wiarę kalwińską i w małej parafii Gawłowie w Małopolsce uzyskała zaświadczenie, że „p. Leontyna Janta Boguszowa, urodzona Porzycka – Komar, wystąpiła z kościoła rzymsko – katolickiego i na łono kościoła ewangelickiego wyznania helweckiego przejęta została”. Potem – ściśle w myśl wskazówek adwokata Konsystorza Ewangelicko – Reformowanego – nastąpił proces rozwodowy w tempie przyśpieszonym, wszczęty dla ułatwienia sprawy Lenie przez Justyna w Sądzie Konsystorskim Ewangelicko – Reformowanym „z powodu złośliwego opuszczenia męża i braku chęci powrócenia do jego domu w celu kontynuowania pożycia małżeńskiego”. Była to czysta formalność. Żadne z nich nie było obecne na sprawie. Lena nie stawiała się, Justyn działał przez adwokata. W niedługim czasie zapadł, a potem uprawomocnił się zaoczny wyrok, orzekający m.in.:

1/ Małżeństwo, zawarte d. 10 lipca 1900 r, w rzymsko-katolickiej parafii Sławno ziemi Radomskiej między Justynem Jantą Boguszem, a Leontyną Walentyną Porzycko-Komar uznać za rozwiązane przez rozwód z winy żony.

2/ Leontynie Walentynie Janta Boguszowej zabronić wstępowania za życia męża w nowe związki małżeńskie w ciągu lat sześciu.

Dalsze punkty – czysto formalne. Lena była wolna. Justyn za wolnego się nie miał, bo wyznając wiarę katolicką uważał, że dopóki kościół katolicki małżeństwa jego nie rozwiąże, przysięga go po dawnemu obowiązuje, a cały proces rozwodowy traktował jako formalność, umożliwiającą Lenie ułożenie dalszego jej życia.

X

Starsi chłopcy odczuwali graniczący z rozpaczą stan duszy Justyna, ale mówić o sprawie matki z ojcem nie umieli czy nie chcieli. Łatwiej im jeszcze stosunkowo było w listach, czy w ogóle na piśmie, potrącić o ten temat.

Janusz na gwiazdkę 1918 roku przesłał ojcu z Borowin dość gruby, ozdobiony rysowanymi przez niego winietkami, zeszyt z przepisami, a częściowo z własnymi, dość jak na 15-letniego chłopca udatnymi wierszami pisanymi(wiersz zatarty – T.K) .. „Grot”. Wśród wierszy, w środku zeszytu znajdował się wpisana na jednej ze stron następująca dedykacja:

Najdroższy Tatusiu!

Dzień gwiazdki, dzień wigilii, dzień tak dla wszystkich wesoly i radosny, dla nas, a szczególnie dla Tatusia, jest dniem smutku. Już trzecia wigilia taka, już trzeci raz podczas wigilijnej uczyty kogoś przy wspólnym stole brakuje. Tatuś w wielkim pogrążony smutku, i już nawet nadzieję stracił. Lecz jej nigdy tracić, a tym bardziej

stracić nie powinien. Czy to w noc, czy w dzień Tatusiowi nasze wspólne nieszczęście z myśli nie schodził, ale my, dzieci, będziemy się starać osłodzić Tatusiowi nieszczęście. Niech Tatuś przyjmie ode mnie ten kwiat w dowód miłości i przywiązania, i niech Tatuś nigdy w nasze serce nie wątpi

*Zawsze kochający
Janusz*

X

W połowie maja, po wyzdrowieniu Jacka, Justyn pojechał do dzieci do Borowin. Był spokojny, ale głębokie cierpienie przeżarło mu duszę na wylot. Gdy spotykał na kolei jakieś obce pary małżeńskie, zbliżone ku sobie w serdecznej rozmowie, łzy mu napływały do oczu. On tego ciepła i serca w rodzinnym życiu więcej od innych potrzebował. A teraz został sam, taki strasznie sam.

Dziewczynkom powiedział, że mamusia nie wróci, z bólem patrząc na ich sieroctwo. Czteroletnia Teofilka mało je jeszcze rozumiała, mając przy sobie kochaną swoją Natalę i również prze nią kochaną „pannę Imalię” (Marię Śliwowską), ale ośmioletnia Martunia cierpiała bardzo, nie chciała tylko, zamykając ból w sobie, z nikim o tej sprawie mówić. W jej dziecinnym umyśle po prostu nie mogła się ona pomieścić. Kiedyś wieczorem, położona przez pannę Marję do łóżeczka, rozszlochała się tak, że jej przez długi czas uspokoić było niepodobna. Dlaczego płacze, również powiedzieć nie chciała.

I Borowiny, w tej porze roku cudne, smutku Justyna rozproszyć nie zdołały. Jako zakończenie dawnej napisanego, a im poświęconego wiersza, uzupełnił on go – pod tytułem „Pieśń na ruinach” zwrotkami następującymi.

I któż zbada Opatrzności tajne przeznaczenia?
Witana z taką radością, ze łzami wzruszenia,
Z całym swoim kras przemiłych tak wielkim zasobem,
Znów się stałaś, wiosko droga, pustynią i grobem.

Choć cię ominęły klęski, kule i pożary,
Widziałaś ty dość krzyżów i męki bez miary.
Nie cieszą dziś zbóż twych runa, ziemi hojne plony,
Stracił urok cudnej rzeki błękit wysrebrzony.

Sad twój – cały w śnieżnym płaszczu, bzy – w pełni rozkwitu
Łąki, pola – wszystko pełne słońca i błękitu,
Lecz w tych cudnych blaskach wiosny, niby w łez dolinach
Brzmi żałosna jakaś nuta – pieśni na ruinach.

Jak te boćki, niby jakimś przecuciem wiedzione
Opuściły stare gniazdo, w cudzą poszły stronę,
Jak ta wierzba, tam przy drodze, na swoje rozdarta,
Rozdarła się, dworku biały, życia twego karta.

Do przepisanej w styczniu 1972 roku „opowieści rodzinnej”, pisanej przez naszego Ojca w okresie II wojny światowej na podstawie wspomnień i dokumentów – ciekawym materiałem uzupełniającym są zebrane przeze mnie z dorywczych opowieści, wspomnienia naszej Niani – Natalii Rybak („Praniani”, jak ją kiedyś moje dzieci nazwały), urodzonej 28 czerwca 1889 roku.

Od momentu kupna Bobrownik przez Ojca – tj. od roku 1910 – przebywała stale w naszej rodzinie, stając się z czasem pełnoprawnym jej członkiem. W roku bieżącym – kiedy udało mi się ułożyć według możliwie chronologicznego porządku wspomnienia jej, starannie przeze mnie zbierane w ciągu ostatnich lat – mija więc sześćdziesiąt dwa lata od chwili, gdy jako młoda dziewczyna zaczęła u nas pracować.

Minęło wiele lat, przetoczyły się wojny i wielkie wydarzenia dziejowe, zmieniły się czasy i obyczaje... Dzieci, które Niania piastowała, opowiadała im niezliczone bajki, gromiła i pieściła – są już dziś starszymi ludźmi. Ich dzieci – drugie pokolenie – doszły też do wieku dojrzałego. Wchodzą obecnie w życie i w serce jej dzieci z następnego, trzeciego już pokolenia.

W tej epoce wielkich zmian, nie zmieniała się chyba tylko ... Niania. Na przekór wszystkim zmianom – ona jest zawsze taka sama. Zachowała swój – prymitywny może, ale oryginalny sposób myślenia, swoje zasady i poglądy, a nawet sposób ich wyrażania.

Postać jej zasługuje na poświęcenie jej odrębnego rozdziału kronik rodzinnych. Zamierzam to – o ile czas pozwoli – uzupełnić w przyszłości, włączając jej – tak bliską naszej rodzinie osobę – do rodzinnej „sagi”.

Obecnie, ze względu na to, że treść wspomnień Niani wiąże się ściśle z okresem opisywanym przez mego Ojca w pierwszym tomie opowieści, zatytułowanej „W rodzinie” – uważam za ciekawy do niej przyczynek to dość specyficzne naświetlenie wydarzeń przez osobę, której życie bezpośrednio było z nami wszystkimi związane.

Charakterystyczne jest, że wspomnienia swoje Niania snuła przede mną mając już ponad 80 lat, co świadczy o niespotykanej w tym wieku pamięci. Zadziwia czasem skłonność sądów i obserwacji.

Spisywanie tych nianinych wspomnień nie było łatwe – trzeba było w czasie wieczornych pogawędek wprowadzić ją w odpowiedni nastrój i dobry humor. Jeżeli się to udało, opowiadania płynęły już łatwo.

Staralam się zachować styl i język zgodny z oryginalnym sposobem mówienia mojej interlokutorki. Wszelkie wprowadzane zmiany czy korekty pozbawiłyby opowiadanie jego oryginalności i swoistego charakteru.

Dodać trzeba, że dużą część szczegółów – zwłaszcza z okresu pobytu na Litwie – konfrontowałam z informacjami osób, które jednocześnie z nami tam przebywały. Stwierdziły one całkowitą zgodność faktów ze stanem rzeczywistym.

Teresa Konarska
Warszawa, kwiecień 1972.

Wspomnienia Niani

Urodziłam się na Wygwizdowie. To była mała, złożona z paru tylko domów osada folwarczna, należąca do hr. Ostrowskiego. Mój ojciec był tam łącznym, pilnował łąk – wielkich, irygowanych, co to ciągnęły się daleko z tamtej strony Pilicy. Matka była córką owczarza – też na hrabskim. Jak matka wychodziła za męża, to hrabia dał jej krowę, a kiedy się polatowała i miała cielę, to krowę rodzice oddali, ale sami dochowali się potem sześciu krów rasowych, czarno – białych. Ojciec pracował jako łączny, a matka była w domu, przędła kądziel, wyrabiała płótno i zajmowała się dziećmi. Dzieci było sześcioro – Marcin, Józef, Jan, Franciszka, ja i młodsza ode mnie o dwa lata, Mania.

Rodzice umarli w jednym tygodniu jak ja miałam pięć lat. Oboje mieli tyfus. Matka jeszcze przed tym miała operację, bo dziecko nie mogło się urodzić, potem przyplątał się tyfus. Matka umarła pierwsza, ojciec chory także leżał w stodole i tam przyjechał do niego ksiądz z Sakramentem Świętym. I potem umarł.

Kiedy rodzice pomarli, to hrabia Ostrowski przyjechał na Wygwizdów i powiedział do najstarszego brata, który miał wtedy 18 lat:

- Żebyś mi tylko dzieciaków nie zmarnował!...

Brat objął po ojcu pracę jako łączny. Hrabia kazał sprowadzić z Łodzi siostrę mojej matki, żeby się nami opiekowała. A potem przyjeżdżał co miesiąc na Wygwizdów i pilnował, żeby się nam krzywda nie działa. Kazał też rządcy z Krzętowa, żeby nam przywoził nabiał i owoce.

Brat Józef uczył się za kowala w Bąkowej Górze. Był to też majątek hrabiego – miał 25 majątków – Krzętów, Wola Życińska, Ciszkowice, Rudka, Bąkowa Góra, Chrzastów, Radoszewnica i jeszcze wiele innych. Ale był bardzo dobry i dbał o ludzi. Nie był żonaty.

Wieczorami brat nas uczył. Do szkoły nie chodziłyśmy. Ja oprzątałam inwentarz, pasłam krowy, a Mania gęsi.

Ciocia była przy nas, ale potem pojechała do Łodzi, gdzie pracowała czterdzieści lat u państwa Markiewiczów.

Brat się ożenić z córką karbowego ze Stanowisk. Hrabia dał mu wtedy zapomogę – w rublach, bo to wtedy były ruskie pieniądze.

A potem moja siostra Franciszka, też wyszła za mąż, chociaż wcale nie chciała. Była przystojna, miała długie włosy i miała chęć wyjść za jednego takiego z Krzętowa. Ale moja bratowa miała w Stanowiskach brata i on właśnie chciał się ożenić z moją siostrą, no i ją przekonywali i namawiali, żeby za niego wyszła. Ona płakała, rozpaczała – ledwie szesnaście lat miała. Ksiądz też tłumaczył, że ona jest za młoda, ale ciotka i brat z bratową ją wydali za mąż za Polegaja, który miał wtedy już dwadzieścia dziewięć lat. Ślub siostry odbył się w Wielgomłynach. A potem pojechali do Stanowisk, bo tam szwagier był gajowym, a potem karbowym u państwa Czaplickich. Dostał potem mieszkanie i mieszkali osobno, bo najpierw to mieszkali u jego rodziców.

A myśmy z siostrą zostały na Wygwizdowie. Bardzo płakałyśmy jak siostra, Franciszka wyjechała. Pracowałyśmy obie z siostrą bardzo dużo – ja oprzątałam siedem krów, a Mania pasła gęsi. Nieraz jak pasłam krowy, to musiałam je gonić po łąkach, bo uciekały. A przecież wiadomo, jakie tam były na całych łąkach głębokie kanały – prawie do pasa mi było. To jak krowa przeleciała na łąkę, to przez te kanały ją goniłam, nieraz mróz był, to jak wiatr obciął mi nogi, to miałam do krwi posiekane.

Po wyjeździe siostry było nam dużo gorzej. Była dla nas bardzo dobra (ale nie bratowa, tylko siostra, Franciszka, co to za Polegaja poszła), szyła nam sukienki, nic dziwnego, że oczy wypłakiwałyśmy jak z Polegajem wyjechała do Stanowisk.

A bratowa, to najpierw była dosyć dobra dla nas, ale potem powiedziała, że przecież nie wyszła za wdowca, żeby się cudzymi dziećmi zajmować. A nie! Nie była dobra. Skarzyła na nas do brata, a potem brat nas bił.

Bo nie wolno nam było chodzić na lód. A myśmy chciały chodzić.

Butów porządnych nie było, pończoch – też. Kiedyś na święta Bożego Narodzenia znalazłam na strychy stare cholewki od pończoch. A stóp to wcale nie było. To kiedyś powiedziałam coś bratowej. A ona zaraz mówiła:

- To sobie zrób.

Brat wziął pole pod Krzętowem. Chodziłam do roboty na odrobki, kopala kartofle. Brat to korzystał z tego, bo przecież to szło na odrobek. Więc kazał mi chodzić w pole, a ja przecież musiałam. Ja dalej pracowałam przy gospodarstwie.

Kiedy już miałam dziewięć lat, trzeba było chodzić codziennie na naukę do Wielgomłyn. A to było od Wygwizdowa siedem kilometrów. To chodziłam najpierw do Krzętowa, a potem już z dziećmi szłam do Wielgomłyn. Wtedy pasłam krowy tylko do godziny jedenastej, a potem już wychodziłam na naukę do księdza. Wracałam o trzeciej.

U Pierwszej Komunii św. byłam w Wielgomłynach. Bratowa kupiła mi materiał, a moja siostra mi uszyła sukienkę. Pamiętam ją doskonale – miała niebieskie kółeczka na białym tle ...

A potem znowu było wszystko tak samo ... Zajmowałam się krowami, a moja bratowa, to nawet jeść mi nie bardzo dawała. Były przecież cztery krowy mleczne, a mnie to suchy chleb dawała, a nawet jak czasem posmarowała masłem, to tak, że nawet nie było widać.

Moja bratowa chciała, żebym poszła na służbę, bo miałam już piętnaście lat. Ale ja się bałam służby. Mania była na służbie u leśniczego z Rudki i miała bardzo niedobrze, miała dużo pracy, musiała oprzątać świnie. Gospodyni była niby to dobra, ale – choć to ona już jest na Boskim sądzie – ale dla służby to dawała tylko kapustę, barszcz i kartofle. Jak się siostra Polegajowa dowiedziała, że Mani jest tak niedobrze, to wzięła ją do siebie. Potem Mania poszła do Maluszyna, do dyrektora cukrowni. Tam też miała ciężko i też siostra ją odebrała. Później poszła do Silniczki do pokojów. Miała trzynaście pokojów do sprząwania, paliła w siedmiu piecach. Kiedy brat najmłodszy przyjechał z Rosji, bo tam odsługiwał wojsko, to Manię zabrał z Silniczki i zabrał ją do Rosji do drugiego brata Józefa. I tam Mania była przez jakiś czas. Podobno płakała bardzo, bo to nie знаła języka, a potem pracowała przy ochronce. A jak dorosła, to wyszła tam za męża za zakrystiana.

Ja ciągle byłam u bratowej, ale ona bardzo nastajała, żebym poszła na służbę, żebym już więcej nie była w domu.

W Bobrownikach, po drugiej stronie Pilicy, właściciele państwo Rogóyscy pomarli i zostawili dwoje dzieci – jeden chłopiec nie miał podniebienia. Rodzina wzięła dzieci do siebie, a Bobrownikami zajmowała się kuzynka, p. Czajewicz z ojcem. A ta pani Czajewicz to miała służącą, ale ona wyszła za męża. Wtedy karbowy Wojtczyk i taki drugi od lasu powiedzieli, że łączny na Wygwizdowie ma siostrę. No i tam Wojtczyk przyjechał na Wygwizdów konno i namawiał, żebym tam poszła na służbę. Co prawda ja byłam już na jednej służbie – w Wielgomłynach u jednych takich, co to mieli monopol, to znaczy się sprzedawali wódkę. Musiałam wstawać o czwartej rano, bo już o piątej przychodzili parobcy na śniadanie. Miałam być tam do pokojów, ale i do pola chodziłam, i podłogi szorowałam. Miałam tam tak niedobrze, że Polegajowa – niby moja siostra – nawymyślała bratu i on po mnie przyjechał. Pani nie chciała mnie puścić, ale brat zabrał rzeczy, a ja zostałam jeszcze do soboty. Śnieg wielki wtedy przyleciał, zawierucha i zamęt był wielki, ale wcale tego nie czułam kiedy wracałam do domu. Padałam w śnieg po kolana, ale szłam i szłam na Wygwizdów. Dobrze, że jechali jedni tacy do Rogów półkoszkiem. Zdziwili się, gdzie to ja tak sama idę w taki śnieg, kazali siadać do półkoszka i zawieźli mnie do Rogów. Od Rogów to już szłam znowu śniegiem pod lasem. Przyszłam zaszargana, zmarznięta... Ale tak się cieszę, tak się cieszę, że już jestem w domu, przy piecu! ... Boże, Boże, takam była rada, że już nie muszę wstawać o czwartej rano!

Po tygodniu znowu przyjeżdża Wojtczyk i namawia, i namawia i perswaduje, że mi będzie dobrze, żebym poszła do pani Czajewicz. No, i musiałam iść, chociaż bardzo nie chciałam. Przyjechała po mnie fozsman – niby furman od cugowych koni, bryczką przed wieczorem razem z Wojtczykiem. I już Wojtczyk wynosi moje rzeczy ...

Płakałam, płakałam przez całą drogę do Bobrownik. Wojtczyk to powiedział, że jeszcze nie widział, żeby ktoś tak płakał.

W Bobrownikach pani Czajewicz wychodzi przed ganek, rzeczy znoszą z bryczki, a ja płaczę i płaczę ...

Pani Czajewicz poszła, przyniosła mi bułkę, nakładła marmolady i mówi, że potem dostanę masła. To ja myślę sobie: „Będę miała chleba do sytości!...”. Ale płakałam ciągle do domu, a co wyszłam na dziedziniec i zobaczyłam Wygwizdów, to znowu zaczynałam płakać na nowo.

Na drugi dzień przychodzi Janowa – niby Wojtczykowa – bo ona robiła obiad. Była zupa szczawiowa, to pamiętam. Przychodziła też Kazimierzowa ze wsi, co to paliła w piecach. Pokazała mi jak trzeba sprzątać. Kazimierzowa otwierała też co dzień okiennice, ja już nie musiałam po śniegu chodzić je otwierać; obierała też kartofle.

To ja myślę w końcu sobie: Patrzcie państwo, jak to jest dobrze, czego ja właściwie tak rozpaczam ... Byłam pojętna, robota dobrze mi szła. Kiedyś pani Czajewicz wyjechała i ja panu starszemu zrobiłam cielęce nóżki – okropnie mu smakowało!! Na drugi raz pani Czajewicz wyjeżdża i mówi:

- Trzeba Janową zawołać, żeby ugotowała obiad.

A stary pan mówi:

- Daj mi spokój z Janową, ta dziewczyna lepiej gotuje.

A potem robiłam babki. Nie miałam pojęcia jak się to robi. Jak się one upiekły, to sama nawet teraz nie wiem ...

Pani Czajewicz była dobra, tylko jak się opila, to była ostra. Śpizarnia była wielka – czego tam nie było! Wódki, jakie tylko mogą być na świecie, wędliny, szynki – wszystko było. A ja miałam klucze od tej śpizarni.

Było w Bobrowinkach moc czereśni – zrywał je chłopak i przynosił. Co tam z nimi robiłam – nie pamiętam ... chyba rozdawałam.

Potem nauczyłam się piec bułki na zsiadłym mleku i chleb i jakoś ten przykład wszystko mi jakoś dobrze wychodziło.

A pani Ozajewicz to lubiła pić wódkę. A mnie też mówiła:

- Moje dziecko, jak sobie z rana wypijesz wypijesz kieliszek wódki, to zaraz robota lepiej ci pójdzie ...

Wypiłam tam ze dwa, czy trzy razy, ale potem już nie chciałam, ani mnie nawet myśl nie zawiedła ... Otrząsało mnie od tej wódki i już więcej nie słuchałam, żeby sobie wypić.

Byłam u państwa Czajewiczów pięć chyba miesięcy. A po pięciu miesiącach Bobrowniki wystawili na licytację, że to niby nie miał się kto nimi zajmować i gospodarstwo prowadzić, bo dzieci małe były. No i kupił Bobrowniki Pan Starszy. Bo to pani Konarska z Kluczevska, co to była przyjaciółką Pani Starszej, tak namawiała i namawiała, że to sobie będą blisko mieszkać, że to majątek dobry, tylko zaniedbanym, ale jak ktoś zadba to i na pewno dobrze będzie.

Pani Czajowicz pojechała do siostry do Silniczki, a jej ojciec do córki, do Chrzastowa. Jak wyjeżdżał – pamiętam – przyszedł do mnie i powiedział:

- Niech ci dziecko, Bóg twoją rękę błogosławi...

A jak Pani Czajewicz wyjeżdżała, to dała mi klucze i mówi:

- Masz klucze i pamiętaj, nie wolno ci ich oddawać nikomu, póki mebli nie zabiorę!

A potem przyjeżdżał Pan Starszy. Bo państwo byli w Kluczewsku u państwa Konarskich z dwoma młodszymi chłopcami, Jerzykiem i Antosiem. Pani była w ciąży z Marychną.

Pani Czajewicz zabrała meble – a bardzo miała meble stare i zniszczone.

A potem przyjechała Pani Starsza – w długiej, takiej pięknej sukni! Przyjechała z panną Atoniną i chłopcami czterema arabkami, wolantem. Była wspaniała i bardzo przystojna! Pamiętam, przychodzi do garderoby, a ja tam kartofle obierałam, i mówi:

- Moje dziecko, a może ty zostałąbyś u nas?

A ja mówię, że nie, że jak tylko pani Czajewicz mnie weźmie, to do niej pojedę. Bo wtedy nie miała posady.

Przyjeżdża później Pan Starszy, przywozi tapeciaryzy, malarzy, stolarzy ... Odnawiają wszystko bardzo wspaniale, przerabiają. Pan Starszy to przyjeżdżał zawsze na koniu, ja

potem palto podawałam... A Pan Starszy dawał mi zawsze 50 groszy. I tak stale namawiał mnie żebym została. A ja nie i nie.

Pilnowałam tapeciarzy, nocowałam w kuchni czeladnej w oficynie. Oficyna wtedy była mała – tylko jeden pokój i kuchnia, nie tak jak później co to miała tyle pokoi ...

W końcu przyszły meble z Radomia. Bardzo ładne to były meble.

No i potem państwo wprowadzają się. Nie mieli kucharki, była tam przedtem Teofila, ale wyszła za męża. To ja mówię, że ja mam ciocię w Łodzi, co to bardzo dobrze gotuje. Pracuje w Łodzi u państwa Markiewiczów. No, to Wojtczyk znowu jedzie do Łodzi do mojej ciotki. Ciocia przyjechała, ale od razu powiedziała, że tylko na dwa tygodnie. Pani Starsza znowu mówi do Cioci, żeby mnie namówiła na zostanie w Bobrownikach. To ciocia zaczyna mi tłumaczyć, perswadować: że to państwo porządni, a że tamta pijaczka – zostań i zostań!...

To i w końcu zostałam do pokoi. Mogłam niby iść do brata, ale sobie powiedziałam:

- Kiedy mnie wypędzili, to do nich nie pójdę.

Już nabrałam odwagi. I powiedziałam sobie, że wcale nic już od nich nie chcę, kiedy tacy... A jeszcze pani Czajewiczowa, to dawała mi nieraz po siedem litrów piwa dla brata i bryczką się tam wozilo.

W czerwcu i lipcu tapetowali i malowali pokoje, a państwo sprowadzili się jakoś w sierpniu. Bo to i w końcu sierpnia miała się Marychna urodzić. Przyjechała arkuszerka z Warszawy, a jak się tylko trochę bóle zaczęły, to poszły konie do Przedborza po doktora Masłowskiego. Drugie konie poszły na połowę drogi, żeby można było prędzej przyjechać. Doktor Masłowski przyjechał gdzieś koło piątej po południu, a na drugi dzień o szóstej urodziła się Matychna. A przedtem jeszcze to arkuszerka przyleciała do kuchni i woła:

- Palcie szybko pod płytą i wstawcie dużo gorącej wody!

Rano przychodzi Pan Dziedzic i mówi:

- Mamy panienkę!

Bo to przedtem sami chłopcy byli – pięciu po kolei, tylko ten pierwszy to umarł jak był jeszcze malusinki – a państwo chcieli koniecznie córkę, nawet Jerzyka to ubierali w sukienkę i kokardę mu na głowie wiązali ... co to on wcale tego nie lubił.

Przyjechała do dziecka pielęgniarka z Warszawy, ewangeliczka, ale dobra i religijna. Tak się bardzo martwiła, jak ten Macoch okradł kościół w Częstochowie, bo to i też cały świat o tym wiedział! Co prawda, żałował potem bardzo i pokutował, a na koniec życia, to

kazał się pochować na rozstajnych drogach, gdzie najczęściej chodzili, żeby po nim deptali... A podobno to on miał jakąś panienkę i dla tej zmiernoty tak wszystko robił ...

Pielęgniarka była do tego czasu jak Marychna miała jedenaście tygodni. A potem państwo szukali kogoś do dziecka, ale umyślili, że nie chcą obcej. No, i ja poszłam do dziecka, a do pokoiów sprowadzili Dorotkę, co to jej matka była w Kluczewsku do drobiu. Dziecko to było Pana Konarskiego, tak wszyscy mówili, ale on już na Boskim sądzie, to i nie chcę o tym mówić... Miał podobno i wiele innych ... Ale potem to był bardzo porządny pan i żonę kochał. Dorotka miała 15 lat, była bardzo miła i ładna.

Chłopcy starsi, Janek i Tadzio, byli u matki Pana Dziedzica w Lipniku, przyjechali dopiero jakoś wtedy jak już pielęgniarka pojechała. A pani z Lipnika, to chciała, żeby państwo tam byli i chciała majątek dać, ale Pani Starsza nie chciała tam mieszkać i dlatego Pan Dziedzic kupił Bobrowniki. Bo to Pan Starszy tak uwielbiał Panią Starszą, że robił wszystko co to ona tylko chciała... A przedtem to mieszkali w Pasztovej Woli i tam się wszyscy chłopcy urodzili. A Lipnik to był bogaty majątek... ziemia pszenna była i bardzo bogata! Ale jak się Panie Starszej tak zażądało, to Pan Starszy Bobrowniki jej kupił. A pani z Lipnika to była zaczości wielkiej i lubiła Panią Starszą, ale ona nie była dobra, zawsze jej jakąś łatkę przypięła ... A potem jak pani z Lipnika przyjeżdżała, to zaraz Pani Starszej mówiła, że ją żołądek boli, albo coś innego.

Młodszy chłopcy, co to razem z państwem przyjechali z Kluczewska, mieli włosy tak równiutko ucięte, a Jerzyka to w kokardki czesali, że to niby córeczka. Panna Antonina była z chłopcami w tym pierwszym pokoju od ganku, a chłopcy wszyscy w kancelarii mieszkali. A czego to tam nie było! I sowy, i jastrzębie i psów dużo i nawet żmiję zmiernoty kiedyś chowali. A okno w kancelarii było takie niskie, co to oni zawsze przez nie wychodzili, bo drzwiami było im za daleko.

Ja z dzieckiem byłam w tym małym pokoju od ogrodu, przy sypialnym.

Jak mi powiedzieli, że mam być do dziecka, to całkiem nie wiedziałam co robić. No i tak siedem lat pokutowałam z małymi dziećmi ... Marychna to miała takie coś, że wcale nie chciała spać. A z nocy to było chyba ze sześćdziesiąt pieluch ... Pieluszki prała kobieta w czeladnej i każdą prasowała. Mnie też wszystko prała, bo ja byłam tylko do dziecka. W pokoju był taki duży stół z poduszką, prześcieradłem i ceratą. I na tym stole to się przewijało dziecko.

Marychnę karmiła matka – żona kowala, co przyjechała z państwem z Pasztovej Woli. Miała dziecko w tym samym wieku. Doktor przyjechał, zbadał mleko – czy zdrowe. Karmiła Marychnę do siedmiu miesięcy, a potem już była na śmietance, co to się z wodą rozrabiało. Była dla Marychny jedna osobna krowa, żeby mleko było to samo. Potem jadła już przecierany szpinaczek, zupki jarzynowe, a potem kotlet z przecieranej kury.

Jak Marychna miała już dwa lata, a gruba była bardzo – jak to i widać na tych fotografiach co to zostały, to zaczęły się różne rzeczy. Bo i zawsze w karnawale każdym przyjeżdżali, żebym za męża wyszła. Jeden z Przedborza koniecznie chciał się ze mną żenić i rodzina chciała mnie wydać. I aż się bałam, co to znowu w tym karnawale będzie ... A przecież nie miałam posagu, a za innymi dawali 150 czy 200 rubli posagu ... brat przecież nic za mną nie chciał dać. A ten z Przedborza to myślał, że ciocia jest bogata i mnie wywianuje, a ja przecież wcale tego nie wymagałam.

Ani jeden mi się nie podobał, bałam się tylko, że zostanę starą panną. Jeden Kubik tylko trochę mi się podobał, był zamożny, pracował też jak zdun i miał gospodarkę – on i Bąk to byli najbogatsi w Bobrownikach. Kubik miał ładny dom, naprzeciwko pachciarza, i koni parę miał ...

Przysyłał Kaśkę Grzybkówkę, żebym za niego wyszła, że pójdzie do brata. Rodzicie jego też chcieli, żebym za niego wyszła. Podobał mi się, ale żeby ze wszystkim – to nie. Dziewczyny mu swatali, co za nie dawali po 200 rubli, ale on nic, tylko mnie chciał ... Ja wychodzę z kościoła, patrzę – on już jest! I tak zawsze. Albo jak muzyka we wsi była, to też tylko za mną chodził. Nawet Grzybkówka zła była, że to niby ona taka tancerka, a on mnie woli. Powiedział, że ani razu z nią nie zatańczy, i – chociaż go namawiałam – dotrzymał słowa i nie zatańczył z nią. I z tym mi się podobał...

I doszło do tego, że nic tylko się chce żenić. A ja – że nie, i nie, że nie mam pieniędzy i nie chcę, żeby mi potem kto wymawiał. A on mówi, namawia, że będzie mi dobrze, że nie będę ciężko pracować, że on wszystko zrobi ...

Jak mu z Dorotką szły na muzykę, to najwięcej z nami chłopaki tańczyły... Miałyśmy takie sukienki ładne, ładnie uszyte, wąskie, nie takie jak miały inne dziewczyny na wsi. Takie – z klinów były uszyte – bardzo ładne! To inne siedziały, my tańczyły! I takie złe były, że z tej złości nazwały nas „opięte d...”!

A z tymi zabawami na wsi to było tak.

Jak dzieci poszły spać, to ja pomagałam Dorocie wycierać talerze, a potem to niby nad rzekę, a z nad rzeki – na muzykę. A potem – choć trzymałyśmy się płota – to chłopaki do tej izby, gdzie muzyka u Łączka była, nas wnosili. I jeszcze taniec, i jeszcze taniec!...

A był w Bobrownikach taki stróż, Kot się nazywał, i on był strasznie zły na nas – naumyślnie spuszczał wcześniej psy, jak poszłyśmy na muzykę. Był taki jeden zły pies – Szprynt mu było – co to mógł człowieka bardzo pogryźć. To kiedyś Dorota jeszcze została, a ja wróciłam i myślę sobie:

- Co to teraz będzie, jak te psy spuszczone – jeszcze mnie pogryzą ... Bo to były złe psy, spuszczone tylko na noc.

Ale jakoś wróciłam. Jak wychodziłyśmy z Dorotką na muzykę, to zawsze zostawialiśmy uchylone okno w garderobie, żeby wejść.

Tego dnia szła burza – łyssało się i grzmiało. A stróż poskarżył zmierzota Panu Starszemu, że my chodzimy na muzykę. Kiedy wróciłam – a to była chyba już jedenasta – to zaraz wszedł Pan Starszy do garderoby i mówi:

- Natałko, weź dzwonek i podzwoń.

To ja myślę sobie: jak to dobrze, że już jestem, co to byłoby jakbym jeszcze nie wróciła do domu.

Wzięłam dzwoneczek – taki loterański, bardzo poświęcany – dzwoniłam, zęgnalam i ludzie się wtedy nie bali. Bo ten dzwoneczek w burzę, to chmury się rozchodziły. Ale tylko jedna ręka może dzwonić.

Dzwonię, dzwonię, a Dorota dopiero idzie. A to małe noce były wtedy. Dorota to prędzej mogła później wrócić, bo spała w garderobie, a ja w pokoju z dzieckiem.

Pani Starsza, to żebyśmy z Dorotą nie chodziły na muzykę do wsi, wezwała Basię z czeladnej kuchni, i kazała żeby zaprosiła chłopaków i dziewczęta do garderoby na przyjęcie takie dla nas. To tak zawsze było raz do roku. Była wtedy muzyka z Krzętowa – Włóska grał. Bylebyśmy tylko na wieś nie chodziły na muzykę. Z dziewczyn była też Kaśka Grzybkówka, co to dwóch braci miała – Stasiiek chodził do roboty, a Jasiek Grzybek był formalem. A Stasiiek potem to z tego strachu, żeby go do wojska nie wzięli – całkiem zwariował i tak chodził po wsi i po podwórzu, coś gadał bez sensu, a kamieniami rzucał. Czasem to on się do goła rozbierał. Potem to był jakimś tam zakładzie dla wariatów, ale uciekł i zaraz umarł w oborze, na tym miejscu, co to i Grzybkowa stara umarła...

Potem to zaczęli znowu mówić, żebym za mąż wyszła – niby za tego z Przedborza. Mam wrócić niby do brata na Wygwizdów, ale wcale nie chciałam iść ... A pani starsza rozpacza ... rozpacza ...

Mój chrzestny ojciec, z Krzętowa, nie chciał pozwolić, żebym za mąż wyszła za tego z Przedborza, bo podobno pijak. Ale odeszłam na Wygwizdów i już nawet na pacierzu poszłam, to niby na zapowiedzi. Przychodzą to wtedy na pacierz trzy, albo cztery pary. Ksiądz pytał z katechizmu. Spytał jego o cztery prawdy – a on zamiast powiedzieć, że Pan Jezus stał się człowiekiem i umarł na krzyżu, to powiedział, że to Bóg Ojciec ...

Podobno to ten z Przedborza to co dwa tygodnie przychodził na pacierz z innymi. Szukał pieniędzy, a za mnie to myślał, że ciocia da. Chciał założyć masarnię. Ciocia też była na tym pacierzu wtedy, akurat była na Wygwizdowie. Jak on z tymi czterema prawdami pomylił, to ciocia mówi:

- A to może panna młoda powie...

Ale ksiądz mówi, że on nic nie ma do panny młodej, a on niech się pacierza nauczy. Mój chrzestny ciągle mówił, że nie pozwoli na ten ślub, a on był opiekunem po rodzicach kiedy zmarli ...

Tymczasem Marychna, że to była bardzo przyzwyczajona, ciągle mnie szukała po wszystkich kątach i wołała: „Talu, Talu!”. Co zobaczyła coś mojego, to mówiła: „A to bluzka Tali wisi...”. Pani Starsza chciała koniecznie, żebym wróciła, a ja – że niby miałam swój upiór – nie chciałam, bo się wstydziłam wracać. A dziecko ciągle płakało, bo to i bajki jej opowiadałam, no i przyzwyczało się do mnie bardzo. I ja też byłam przyzwyczajona...

No i dziecko rozchorowało się, dostało 40 stopni gorączki. To Janek – bardzo się tym przejął – wziął kucyk i chciał przez rzekę jechać do mnie. Byłby się jak amen w pacierzu utopił, bo powódź wtedy była i rzeka bardzo wylała. Dobrze, że chłopcy zobaczyli i go zatrzymali.

Do Marychny przyszła potem Józia, co to miała synka Marianka. A Marychnie już szło wtedy na trzeci roczek.

Wtedy kiedy to byłam na Wygwizdowie przyjechała dyrektorowa z Silniczki, żebym ja poszła do niej za Manię, co to do Rosji z bratem pojechała. Poszłam, a to było późną jesienią – trzeba było w piecu palić o piątej, krowę doić, a także bieliznę, co to ją prała jedną kobieta, wykańczać. W niedzielę poszłam do brata i płakałam, że mi tak ciężko. A brat powiedział mi, że to nie dobrze, ale to co źle jest na świecie ...

To i wracam do tej Silniczki przez las od Życińskiej Woli. A tam po lesie chodził taki chłop, co to dziewczyny zaczepiał. I chyba łaska Boska byłam że jechał do Woli Życińskiej Szczepański, taki co to z nim siostrzenicę Stefkę, tę z Wygwizdowa, do chrztu podawałam. Jedzie on, a ja zapłakana ze strachu. Mówi do mnie:

- Proszę siadać!

A ja, że nie.

To on – niby żartem – powiada:

- Siadać, bo batem dam!

I mówi, i tłumaczy, że chłop po lesie chodzi i mogą mieć przykrości.

No i pojechałam z nim do Życińskiej Woli.

W Silniczce, znowu chodzę, sprzątam, pani dobra, ale roboty dużo bardzo! Widać brata coś ruszyło, przyszedł za tydzień i powiedział, że jak mi tak źle, to żebym rzuciła służbę. Ale jeszcze wtedy nie poszłam.

Pałałam w piecu, specjalnie się nachylałam do pieca, żeby zachorować, aż dostałam takiego szumu w głowie ... Myślałam nawet rzeczy wziąć w tobolek i iść do domu, ale bałam się tego co chodzi po lesie i gania dziewczyny. No i zachorowałam, dostałam gorączki i miałam zamęt wielki głowy! Przyjechał doktor pałacowy z Koniecpola.

Ten doktor to przyjeżdżał co tydzień dla zbadania dworskich – nic to nikogo nie kosztowało, bo hrabia za to płacił. Doktor przepisywał receptę, jechało się z tym do Maluszyna, gdzie w pałacu była apteka i tam robili te lekarstwa. Nie płaciło się za lekarstwa nic.

Dla biednych były ochronki dla dzieci i szpital dla ludzi dworskich. Hrabia płacił za wszystko, a ludzie nie płacili. A majątek to był też wielki – dwadzieścia pięć majątków w to wchodziło. I lasy strasznie wielkie były i łąki ogromne i bogactwa wiele, ale hrabia ludzki był człowiek i dbał o ludzi bardzo.

Ten doktor akurat przyjechał do dyrektora na herbatę, podawałam herbatę, wieszałam płaszcz, a potem kazali mu mnie zbadać. Mówię, że mam zawrót głowy, wielki szum w głowie i gorączkę. To ten doktor mi dwa tygodnie leżeć i żeby nikt do mnie nie mówił. Mówię dyrektorowej, że pójdę do brata, a ona na to, że mogę przecież tu leżeć w ciszy i nikt nie będzie do mnie mówił. Ale ja chciałam na Wygwizdów. Konie kazali założyć, wolancik taki był i tym pojechaliśmy do Maluszyna po lekarstwo, a potem na Wygwizdów. Rzeczy zostały. Pani pytała:

- Czy ty, dziecko, wrócisz?

A ja, że wrócę. Dostałam wysypki, ale czwartego dnia przeszła.

Proszę wtedy ciocię, żeby po moje rzeczy przyjechała i powiedziała, że choroba przeciągnie się przez dwa, trzy miesiące. Pojechała, a tam dyrektorowa mówi, żebym koniecznie wróciła. Ciocia mówi, że jestem teraz słaba, ale że daje słowo, że jak wyzdrowieję, to wrócę. Ale rzeczy zabrała.

Bratowa znowu robiła wszystko, żebym u nich nie była. Przyjechał leśniczy z Rudki. Miał żonę i trzy córki w Piotrkowie i chciał, żebym do nich przyjechała. Brat mnie namawiał i bratowa, bo to nie chciała, żebym była.

Leśniczy przyjechał z Rudki wieczorem po mnie końmi. Mróz wielki był – chyba więcej jak trzydzieści stopni. A ja nic ciepłego nie miałam, tylko chustkę. Potem z Rudki jechaliśmy pięć godzin do Gorzkowic, a potem do Piotrkowa pociągiem. Byłam przemarznięta jak lichy. Nogi mi zamarzły, że ruszyć nie mogłam.

W Piotrkowie było jedenaście osób, pranie. Wodę do pralni musiałam przynosić z ulicy, było dwa pokoje do sprzątanania i szorowania podłogi i gotowanie też. Była jeszcze druga dziewczyna do dziecka. Był tam drugi stół – dla służby. Dostawałyśmy chleb i zalewajkę. A jak prałam to dawali mi chleb i sypali na chleb pokrajane białko, bo żółtko wyjęli przedtem. Była tam kobieta druga co prała i powiedziała mi, że nie mogę tu zostać i że ma dla mnie bardzo dobre miejsce do dwóch osób i że będzie mi tam dobrze. Powiedziałam żonie leśniczego, że brat pisał i że muszę jechać. Leśniczyna bardzo płakała. Ta praczka wzięła mnie do siebie na dwa dni, wyspałam się pod pierzyną.

U tych państwa było mi bardzo dobrze. Były dwie osoby. Pani dawała mi pieniądze, rano szłam do miasta na prymarję, wracam, a tu pani zrobiła już kawę ze śmietanką, bułeczkę smaruje śmietankowym masłem. Pani gotowała, a ja byłam „wszystkiego”. Przyzwyczaiałam się – dobrze mi było.

Ale Pani Starsza, jak znów zaszła w ciążę z Terenią – to niby z panią – to co przejeżdżała przez Piotrków, to płakała i mówiła, że jak Natała wróci, to ona się uspokoi. I Pan Starszy pojechał na Wygwizdów i prosił ciocię, żeby mnie przywiozła do Bobrownik znowu. I Wojtczyk też raz i drugi przyjeżdżał i mówił, że pani dziedziczka prosi, żeby pojechała. I mówiła Pani Starsza:

- Przyjechałam po ciebie i musisz moje dziecko jechać, bo jestem słaba i sama nie dojadę. A ciocia pani powiedziała, że za mąż wychodzę. Był tam zresztą taki wdowiec z Ciemiętnik, co to chciał się żenić.

To Pani Starsza powiedziała, że bardzo jej żal, że ja nie chcę pojechać, ale że jeżeli mam wyjść za mąż, to nie chce mi życia związywać.

No, i pojechałam. Nijako mi było jechać, myślę: - jak ja wrócę?...

Przyjechałam do Bobrownik. I byłam znowu do dzieci – Marychna już miała prawie cztery lata. A tu już pani starsza ma znowu mieć nowe dziecko. Przeniosłam się do salonu z Marychną, bo tam w pokoju od ogrodu było za blisko od sypialnego. Więc przenieśli łóżka do salonu. I tu już znowu przyjeżdża doktor Masłowski z Przedborza i arkuszerka Habisiewicz z Wielogomłyn.

Dziecko, - to niby pani – urodziło się też o szóstej rano. I znowu Pan Dziedzic przychodzi do salonu rano i mówi:

- Mamy drugą panienkę!

Arkuszerka wykapała dziecko, zawinęła, a potem już od pierwszej godziny ja byłam z dzieckiem w małym pokoju, a Marychny łóżeczko przeniosło się do sypialnego. A taka pani była malusinka, że nawet w beciku nie było widać. I co pięć minut lała pani w pieluszki i tak

całą noc. Dopiero rano nogi sobie zagrzałam... I tak to dotąd z panią się tak morduję, a pani mi ciągle skandały robi, że niby kurze zetrę czy coś... albo że ciasto chcę piec, to pani mi nie daje. A przecież dla malutkiej Patrycji chcę coś słodkiego, albo dla Joanny zrobić. A i pan Andrzej też lubi i mówi, że dobre ...

- A co to ja z panią miałam, jak pani już w Warszawie nie chciała chodzić, że niby nogi panię bolały. A przecież miała pani już chyba z sześć, czy siedem lat. To co miałam robić – nosiłam, a takie długie nogi pani wisały, a ludzie wydziwiali, że takie duże dziecko noszę...

Ale wtedy, to jak się pani urodziła, to mówili, że dziecko słabe i nie wiadomo czy się wychowa... tamte dzieci jak hamany, a pani taka była malusinka ...

To już ja się panią zajmowałam, i kąpałam i przewijałam ciągle. Bo Pani Starsza to strasznie była rozpieszczona.

Pan Starszy uwielbiał Panią Starszą, a Pani Starsza to też oczy za Panem Starszym wypatrywała. Jak kiedy Pan Starszy pojechał do Rączek, czy do Kluczewska i tam się do kogoś uśmiechnął, to Pani Starsza zaraz mówiła:

- Józeczku, już ty mi tylko tego nie rób...

W domu to Pani Starsza dużo nie robiła. Panna Antonina szyła, i bardzo ładnie szyła. Szyła dla chłopców fartuszki i inne rzeczy. Bieliznę dla dzieci przysłała Pani Koziół Poklewska, niby matka Pani Starszej. Szyli też pościel – bardzo wspaniałą – webowe czy z madapolamu. Koszule nocne to były haftowane i wykańczane мережками. Bieliznę pościelową to prali raz na miesiąc, czy raz na kwartał – tyle tego było. Prały dwórki w czeladnej kuchni, a Dorota pilnowała. Magiel był w wozowni.

Szlafroki i inne rzeczy Pani Starszej to szyła krawcowa z Kielc, co to w Kluczewsku była i Pani Konarska przysyłała ją do Bobrownik na dwa czy trzy tygodnie. Szlafroczyki były różne – tło białe w jakieś różyczki czy inne. Pani Starsza do obiadu chodziła w dwa warkocze spuszczone, siedziała sobie pod kasztanem czy pod gruszką. Na drugie śniadanie kucharka piekła placki na blasze, z masłem. A do obiadu Pani Starszej ładnie się ubierała. Chłopcy do obiadu siadali razem, ale śniadania i kolacje jedli w pokoju panny Antoniny w tym pokoju od ganku. Była w kubeczkach kawa mleczna, polędwica wieprzowa na chlebie, a chleba – to zjadali chłopcy po kilkanaście kawałków. Tądzie, to zawsze najpierw jadł, a potem dopiero pił kawę. W oficynie mieszkał nauczyciel z Radomia, co to uczył chłopców. Antoś spał w łóżeczku w pokoju panny Antoniny i taki był, co to nikogo nie uważał, tylko pannę Antoninę – ani Pana Dziedzica, a ni Pani Dziedziczki, tylko ciągle wołał: „Toniusiu!” A panna Antonina, jak tylko ktoś krzyczał na Antosia, to mówiła:

- Co też oni chcą od tego dziecka!?

A potem panna Antonina wyszła za tego nauczyciela z Radomia – ślub był w Radomiu. A przedtem to jeszcze była panna Zofia, była chrzestną matką Antosia, niby uczyła też języka chłopców. Groźna baba była. Pamiętam, jak byłam przy pani doktorowej i dostałam dyfterytu i leżałam w garderobie, to Panna Zofia jak przechodziła, to tylko ręce podniosła do góry, żeby się nie zarazić. A potem wyjechała do Kielc i wyszła za męża.

Chłopcy dla mnie byli dobrzy, nie mogę powiedzieć. Tylko jak byłam przy dziecku, to jest niby przy pani, to nieraz brałam z szafy jakąś książkę i pani pokazywałam, a pani to tylko trzask, trzask i już karta była wydarta. Jak chłopcy nie widzieli, to schowałam, książkę przekręciłam, ale jak widzieli to skarżyli zmierzoty do Pana Dziedzica, a Pan Starszy powiedział, że to nie dziecko, tylko ja powinnam dostać w skórę. Że to niby jakieś tam wartościowe książki były ...

Chłopcy bawili się w kancelarii i na dworze do w pół do ósmej, to nieraz opowiadałam im bajki, bo bardzo lubili słuchać, ale potem przychodziła Józia po chłopców. W kredensie była woda ciepła i wanna, to chłopcy nogi myli i całe. Józia ich myła. A pani i pani doktorowa to były kąpane w małym pokoju. To było wtedy mycie, kąpanie, pudrowanie, przebieranie i dopiero do spania. Pokój musiał być przewietrzony. Kolacja, mycie i do łóżka. Wtedy ja szłam na drugą stronę domu. Dla młodszych dzieci było inne jedzenie, a dla chłopców panna Antonina przygotowywała kotlety z kury, czy co innego. Obiad był o wpół do dwunastej dla nas, a chłopcy w stołowym o dwunastej. Pani Starsza ubierała się bardzo wspaniale do obiadu – kokardka, broszka... Pan Starszy przychodził dopiero jak zadzwonili na południe, mył ręce i zaraz Dorota podawała obiad. Z początku to gotowała moja ciocia, a potem kucharka z Rudki. Były zawsze dwa mięsa, najczęściej kurczęta. My z Dorotą jadłyśmy zawsze to samo co państwo. Kucharki się kłóciły, że i pokojowa i do dzieci jedzą to samo, a w Kluczewsku nawet lokaj i kucharz nie jadł tego. Było okrzyknięte, że pani nas rozpuscita. Panna Antonina dzieliła, a jakby kiedy było za mało, to można było dogotować coś. Jedzenia to już miałyśmy do syta!...

Na podwieczorek było nakryte, samowar stał na takim stoliku, pod spodem taca, a na tym samowar. Wszystko była zastawione, śmietanka stała w dzbanku. Pan Starszy na śniadanie jadł zawsze kluski lane na mleku, a na kolację zsiadłe mleko i kartofle, czasem żurek ze śmietaną i kartofle ze słoninką. Chłopcy też jedli to samo i jeszcze coś. Ja dopiero szłam na kolację, kiedy dziecko, to niby pani, usnęło. Jak kucharka nie była na mnie zła, to wstawiała mi wszystko do piecyka.

My obie z Dorotą chodziłyśmy jednakowo ubrane – szyla nam ciocia Dorotki i spódniczki i bluzki. Pani Starsza przeciwna była temu, żeby nie było dekoltów, tylko chodziłyśmy w sukienkach z kołnierzykami. Wszystko musiało być czyste i ukrochmalone, to i wyglądałyśmy jak z igły.

Przyjechała potem do Bobrownik panna Fryda, niby Niemka. Najpierw to była jej siostra Lota, ale potem poszła się uczyć, a na jej miejsce przyszła Fryda. Rozumiała, a potem to nawet mówiła już po polsku, ale pani starszej chciała, żeby nie mówiła po polsku, żeby

dzieci uczyły się języka. Panna Fryda miała dwadzieścia cztery lata. Kochał się w niej nauczyciel, Kusiński. On uczył w szkole, co to ją Pan Starszy dla dzieci wiejskich założył. Szkoła była u Bąka. Pan Starszy szkołę założył, bo dzieci przedtem chodziły do szkoły siedem kilometrów, do Dobromierza, a zimą to sobie nogi i ręce odmrażały... To Pan Starszy jeździł, jeździł i w końcu dali taki papier, że szkołę można założyć. Kusiński, ten co to był nauczycielem, to mieszkał na wsi, a Pan Starszy opłacał go. Dużo Pan Dziedzic na tę szkołę wypłacał, a i pilnował sam czy dzieci się dobrze uczą i chodził ich przepytywać. I chłopców bobrowskich to Pan Starszy uczył jak to powinni gospodarować, i takie lekcje dla nich miał – i o zbożu i o bydłe, i o wszystkim. Dużo dobrego z tego nie było, bo to naród ciemny był i byle co siał, a potem na przednówku to nic nie mieli i do dworu przychodzili i Pan Starszy im musiał i zboże na chleb dawać, a jak nie mieli czym siał, to też im dawał. Dobry pan był..

Pan Czech przyjechał na trzy miesiące na wakacje i uczył chłopców, płacony był, i oprany był, i życie miał dobre, i był u nas na świeżym powietrzu. Był studentem i bardzo był uczony, uczył wszystkich czterech chłopców. A przedtem to był taki nauczyciel z Radomia, co to Janek w niego kałamarzem cisnął. Straszna hece była! Pani Starsza skandaly robiła, gniewała się na Pana Starszego, że Janka i Tomka zbił. Dostali bicie! Nie chcieli się uczyć, tylko siadali na kuce i uciekali, i nie można było ich znaleźć. Wszyscy czterej mieli swoje kuce. Jerzyk to miał taką karą kucę, co to ją dla Marychny kupili, ale potem za jakiegoś cukierka, czy czekoladę Jerzykowi ją oddała. Bo to takie głupie było ...

A my z dziećmi jeździliśmy do lasu linijką. Powoził Tadzio. A wtedy przy koniach cugowych był Mirecki, jeszcze foszman z Mniszkowa – ulubiony, poważny, wypasiony – wszystko mu było wolno! Hardus był!

A Pan Czech uczył chłopców. Kiedyś się jakoś zgadało i pan starszy mówi tak, że może by pan Czech mógł uczyć Dorotkę i mnie. On powiedział, że bardzo chętnie. I myśmy chodziły. Czytałyśmy książki – „Mały Jezus”, „Królowa Niebios” i inne, a potem to pisałyśmy dyktanda. Jak ja czytałam, to Dorota musiała opowiadać. Było tak pięć czy sześć tygodni. I później pan starszej myślał, że Dorota będzie zdolniejsza, bo to niby córka pana Konarskiego, świeć Panie nad jego duszą. I pytał pana Czecha, kto się lepiej uczy, a pan Czech na to, że Natalia lepiej, że Natalia płynnie czyta. No, to Dorota się obraziła i nie chciała dalej chodzić. A ja chodziłam i dostawałam coraz trudniejsze dyktanda... I dostawałam i cztery i pięć ... Poszłam raz i znowu jeszcze raz. Ale kiedyś pan Czech dyktuje, że... ale siedział daleko, na tapczanie! – tak jakoś powiedział:

- Piec rozpalony do dziewczyny...

To ja mówię, że nie chcę i nie będę tego pisać. I na tym się skończyło. A gdybym jeszcze ze trzy miesiące pochodziła, to bym się dużo nauczyła... A pan Czech był bardzo przystojny i wesoły... Jak my kiedyś z Dorotą wyszły, to on się ubrał za dziewczynę. Bardzo ładnie wyglądał!

A po wakacjach to był taki, co to potem był z nami na Litwie. Ale to ciapcia był! Duchami straszylismy go, ale potem on się zmiarkował.

A potem była wojna, Niemcy szli, a Rosjanie byli tu. Pani Starsza nic tylko mówiła:

- Józieczku, wyjedźmy, wyjedźmy ...

I tak stale. Kluczewsko nie wyjechało, Rączki też nie, tylko Stanowiska. A ci co wyjechali, to źle zrobili, bo wszystko zabrali dlatego. W Bobrownikach na gospodarstwie został Szołowski, co to miał wtedy osiemnaście lat. Miał potem wyżej się uczyć, bo skończył dopiero szkołę. I został też Habisiewicz z Wielgomłyn, akuszerka, to ona opiekowała się domem. A jak Niemcy wyszli, to wszystko pozabierali – obrusy, bieliznę, krowy – tylko sześć krów zostało. A krowy to w Bobrownikach były jak hamany ... Karbowym był wtedy Wojtczyk, i był gajowy, co to go potem kamienie przycisnęły.

Wyjechaliśmy końmi. Poszły cugowe i formalskie. Cugowymi jechał Michał Mirecki. I pan, i pani, czterech chłopców, dwoje dzieci, Panna Fryda, korepetytor, Dorota i ja. Przyjechaliśmy najpierw do Radomia i odpoczywaliśmy u pani Pomorskiej, co to przedtem miał się Pan Starszy z nią zenić. Gabriela jej było. Pani z Lipnika, matka Pana Starszego, to wolała Panią Starszą, chociaż tam dwie ładne córki były. A potem tamta pani to bardzo dobra gospodyni była. To może i szkoda, że się Pan Starszy z tą Panną Gabrielą nie ożenił, bo gospodyni była dobra, a może i nie było by potem takiego zamętu i nieszczęścia ...

Ze dwa dni byliśmy w Radomiu, a potem taką małą kolejką, pamiętam dojechaliśmy do Warszawy. W Warszawie byliśmy u państwa Klawer, co to pani matką chrzestną pani było, chociaż to już wtedy starsza ta pani była. Takich oboje starych chrzestnych pani dali, bo i ten pan Bzowski z Kielc, to też już staruszek wielki był. Mówili, że to on jeszcze w jakimś powstaniu, czy czymś takim był. Przez tydzień byliśmy u państwa Klawer na Erywańskiej. Wielkie mieszkanie państwo Klawer mieli i bardzo wspaniałe, pokoje takie wielgachne były... i dwie służące były i dwoje państwa. Pani Heli wtedy nie było, bo akurat za mąż wyszła. Podobno to bardzo bogaty był ten jej mąż. A mieli potem dwoje dzieci – dziewczynkę, a potem chłopca – Tadzio chyba mu było...

Bardzo dobrzy i zacni ludzie byli oboje. A pan Klawer to bardzo ładnie grał na fortepianie.

A potem wyjeżdżaliśmy samochodem, takimi wielkimi platformami ciężarowymi. Pani Starsza dobrze mówiła po niemiecku. A my uciekaliśmy przed wojną, to i dawali nam jechać, bo tam byli Rosjanie (?). A potem do zatrzymywaliśmy się koło Słonimia u państwa Tyszkiewiczów, co ta pani była jakąś ciotką pani Starszej. Nazywało to się chyba Jagnieszycy, czy coś takiego... Ale najpierw to byliśmy w Nowojelni. Dzieci były pomęczone, to żołnierze naleli zupy i wszyscyśmy jedli. Pani Starsza prosiła o jakiś pokój i oficerowie – grzeczni jacyś – ustąpili swój i materace nam dali, ale to tylko głowy mieliśmy na materacach, a tak to na podłodze. Dzieci wymiotowały. O praniu wcale nie było mowy.

A potem jedziemy dalej. Pani posłała depezę do Łopusznej, żeby przysłali do Nowogródka konie. No i wysłali konie. Była tam już pani Patocka – niby siostra Pani Starszej – z Krysią i Zbytkiem. Pan Patocki, co był doktorem, był w jakimś szpitalu. Przy dzieciach pani Patockiej była taka Julcia, co to wyszła za mąż na Litwie, bardzo dobrze.

Jak zajechaliśmy do Łopusznej to dali nam oficynę – 5 pokoi, a kuchnia szósta. Dzieci się umyło i do łóżek. Pani Jodko Narkiewicz ładnie nas przyjęła, ale powiedziała:

- U nas i lokaj i kucharz jedzą w czeladnej kuchni i dla twoich dziewcząt nie będą wyróżnienia robić.

Jedzenie z pałacu przynosili, a panna Fryda robiła w kuchni wszystko dla małych dzieci. Pan Starszy i Pani Starsza razem z korepetytorem jedli w pałacu. Dla dzieci przysłali całe wielkie pudła takich bułeczek posypywanych cukrem, żeby było od soboty do soboty. A dla chłopców przynosili całe półmiski mięsa i trzecie, albo sago, albo kisiel, no i zupę. Chłopcy to nawet połowy nie mogli zjeść, bo to tłuste i cebulaste. I my z Dorotką jadłyśmy, i jeszcze zostawało, tośmy w krzaki resztę wyrzucały, aż się wszystkie psy złatały. Potem to już oddawałyśmy to jednej kobiecie. A komisarz, czyli taki karbowy, myślał, że my jesteśmy głodni, a myśmy mieli wszystkiego za dużo i zjeść nie było można. Tam na dwóch parobków biło się jedną dużą świnię co trzy miesiące, czy może i na dwa, to oni tam ciągle szynki, polędwice, kielbasy i wszystko. To żona komisarza przynosiła nam całą pęta kielbasy, śmietaną i bliny w niedzielę. A do blinów to była słonina rozpuszczona na spodeczku, a na drugim spodeczku śmietana. A pani Jodko – niech jej Pan Bóg wszystko da, bo już na Boskim sądzie – to mówiła:

- Co te twoje dziewczyny jedzą, kiedy wcale na obiady nie przychodzą?

Pani Starsza mówiła, że nie mogą jeść, bo nie mają apetytu, a my się śmiały, bo miałyśmy wszystkiego za dużo. Jedna kobieta przynosiła jajka po groszu. Pani Starsza robiła nam jajecznicę z sześciu czy ośmiu jaj z chlebem, a bardzo dobry był tam chleb razowy. W wielkie puszki z bułeczkami dla dziewczynek – bardzo dobre! Chociaż tak jadłyśmy i jadłyśmy, aleśmy mizernie wyglądały...

Wózka dla dziecka nie było, to ja brałam panią na rękę i szłam do ogrodu. A ogród to był taki, że można było długo czwórką koni po nim jeździć... Była dwóch ogrodników i bardzo było wspaniale ...

Córka państwa Jodko, Terenia, umarła i oni byli nie do pocieszenia. Ona poszła kąpać się do łaźni i potem umarła. Była już dorosła, studentka, malowała portrety i obrazy do kościoła. Na kościół to państwo Jodko dawali bardzo dużo. To jak ona przyszła z tej kąpieli, to mówi, że głowa ją boli. To rozesłali po doktorów konie na wszystkie strony, ale i tak po paru dniach życie zakończyła. Była straszna rozpacz! Pan Jodko zdjął krzyż ze ściany i mówi do pani:

- Masz przykład – Matka Boska też miała jedyne Syna i na męki go wydała, więc się uspokój...

No i została pochowana w kaplicy w ogrodzie, od pałacu było chyba kilometr. Były tam wysadzone drzewa zagraniczne w rząd, słupy z kamienia i taki łańcuch gruby, i były klomby i kwiaty rozmaite... Jak się skręcało z tej alei, to była figura świętej Teresy i żywy płotek i było napisane coś takiego: „Nic dla mojej duszy, tylko Bóg”. Co miesiąc przyjeżdżał ksiądz i odprawiał. A ona była pochowana pod kaplicą, a przy tej kaplicy ona była wyrzeźbiona i patrzy na pałac... W pałacu była tam weranda, to oni sobie na niej siedzieli i patrzyli. A jak przyszła rocznica śmierci, to na dziedzińcu musiała być taka cisza, że nie wiem. Jak dziecko zapłakało, to pani Jodko była bardzo niezadowolona. Byli niepokieszeni... A że ich córce było Terenia, tośmy do pani mówili Martusia, żeby to nie przypominać im o córce...

Państwo Jodko byli dobrzy, ale obliczalni. Mięsa nie kupowali, tylko rzli i pod pałacem była piwnica, a w niej wszystkiego mięsa i innych rzeczy bardzo dużo!

Przez dziesięć czy ileś tam miesięcy to było spokojnie, ale w jedenastym zaczął się niespokój. Jak przyjechaliśmy to byliśmy pod Rosją, bo oni zmierzoty zawsze takie byli... To była gubernia Mińska, a Nowogródek to był jak u nas Dobromierz – poczta.

A w Łopusznej to rządcę nazywali komisarzem, a karbowego to jakoś tam inaczej, pracujące dziewczyny nazywali dziewczkami. I był taki stary, co pasał żrebaki, a było ich bardzo dużo. Wilki podchodziły, to trzeba było pilnować. Były tam też osły, jednemu to wilk wyjadł cały zadek, potem miał zarośnięty, ale jeden wyższy miał, a drugi niższy. I był taki, co go nazywali „Staryńki” i pilnował przed wilkami żrebaków i owiec. I była taka co była przy świniami, a świń było bardzo dużo! I Staryńki i ogrodnik to byli na stole, a ogrodnik to był w takim baraku. Tam mieszkał. A tam to były w mieszkaniach prycze na takich kołkach, nie było niczym nakryte, tylko poduszka i słoma. Chodziłyśmy tam czasem z Dorotką do krawcowej, co to jej brat był kowalem.

Kaplica to była w lasku, takim w ogrodzie, chyba były modrzewie, a o kilometr był wielki las. Tam nie krzesali lasu jak u nas, tylko jeżyny, trzęsawy... I straszne były zarościa... I w tym lesie to było dużo wilków. Kiedyś szłam i na rękę miałam panią, a Marychna była przy mnie, a chłopcy biegali z takimi wielkimi pikami. Zmierzoty zawsze niezdolne były i słuchać nikogo nie chciały... i wyszłam na łąkę – dobrze, że karbowy był niedaleko, bo akurat siano grabili, to z tego modrzewiowego lasu wyleciało czterech wilków – leciały tak hopkiem – nie tak jak pies. Przeleciały z jednego lasu do drugiego. A w nocy to się podciągali blisko, jak widzieli konie. To i temu osłowi zadek wygryźli...

Mówili to tam całkiem inaczej. Nie mówili „prać”, tylko „pomyć”. Nie składali bielizny jak u nas, tylko jak z magła w takie wałki. Dorotka prała tylko dziecinną bieliznę, a ja już tylko przy dzieciach byłam.

Póki nie było wojska, to było spokojnie. Przyjeżdżał do Państwa Jodko znajomy ksiądz z Warszawy – chyba ksiądz Sekulski się nazywał. Ślicznie odprawiał!... To jeszcze był znajomy ksiądz z Mniszkowa, w tej kaplicy ślicznie śpiewał. I my śpiewaliśmy pieśni, jeszcze w maju, to dzwonili w kaplicy i wszyscy szli. Pani Jodko też, ale pan Jodko pracował jako urzędnik bardzo wysoki. (Wuj Jodko Narkiewicz kończył szkołę Junkrów – był w Izbie Panów w Rosji – z wiadomości rodzinnych – przyp. T.K.). Zawsze końmi z Borysem wyjeżdżał. Były cztery ładne cugowe konie, uprząż cała była taka wspaniała, konie miały takie medale... wyjeżdżał codziennie. Do Nowogródka to było pewno... tak jak do Dobromierza z sześć czy siedem kilometrów. Borys nic nie robił, tylko był przy tych cugowych koniach i jeździł z państwem. To i niejeden hrabia to nie miał tak dobrze jak on miał tam u państwa Jodko... I w ogóle ludzie dobrze tam mieli...

Wiem, że potem – cały ten niespokój zaczął się w jesieni. Śnieg przyleciał duży jak przyszli Niemcy, a Rosjanów odepchli. Bo Niemcy odepchli Rosjanów. Weszli do pałacu i chcieli Pana Starszego wziąć na rozstrzał, ale przyszli znowu Rosjanie i nie zdążyli. (Ojciec jako jedynak miał tzw. „biały bilet” i z wojska był zwolniony – przyp. T.K.).

A potem był duży atak. Kozacy wjeżdżali. Nie bombardowali, tylko pociski były. Jak się bili, to my szli z oficyny do pałacu – do piwnicy. Kiedyś wszyscy poszli – a był straszny cios!! – tak było ze dwadzieścia cztery godziny – i leciał pocisk taki długi – jak stąd do kuchni chyba, a jak leciał, to aż rzegotało! Upadł w ogrodzie koło oranżerii. A ja chciałam panią ubrać, i wszyscy poleciecieli, a ja zostałam, to chustką się okryłam, a zaraz Pan Starszy po wrócił, wziął mnie pod rękę i prowadził, a ja płakałam. A pani Jodko to nie lubiła jak ktoś płakał. A pani to była jeszcze malusinka i nic się na tym wszystkim nie rozumiała, to i dziecko się nie bało. To myśmy siedzieli w piwnicy, a te kulki tak były w ścianę... a potem Rosjanów Niemcy znowu odepchali – przyszli oficerowie niemieccy, a panna Fryda się bała, bo Niemcy nie lubieli, żeby Niemcy u polskich pracowali. To się nie przyznawała, a nos miała podniesiony do góry i nic nie mówiła. Kiedyś poszłyśmy z Dorotką do studni – to było chyba w styczniu, czy w lutym ... A tam te wszystkie dziewczyny to były takie usmotruchane, że strach było patrzeć, a my zawsze byłyśmy czyste i ładnie ubrane. To ci żołnierze niemieccy mówili:

- Skąd się takie białe wzięły przy tych czarnych?...

I nosili nam wodę. A my mówiły: „Danke sehr” – bo panna Fryda nas tak nauczyła. To oni mówili, że my umiemy mówić po niemiecku, tylko nie chcemy.

Potem Pani Starsza poszła po przepustki, że to my chcemy wracać do siebie. Oni dali przepustki. A oni nie przepuszczali brudnych, tylko czyste. I mówili, że białoruscy brudni, to by ich nie przepuścili. Białoruskim kazali się kąpać.

Pani Starsza dobrze mówiła po niemiecku. A był taki oficer, co to pomógł nam i mówił, że dzieci ładne i pani też. To i bardzo pomagał. Dali nam samochody, a potem

pociągi. Wyjechaliśmy chyba w kwietniu, bo pamiętam, że to wiosna była. A przedtem jeszcze, to pani starsza wygadała się, że ma do dzieci Niemkę. A oni byli spragnieni, żeby z kimś mówić po niemiecku. Widzieli jak przenosiła kotka do pałacu. Szła tak elegancko ubrana. Spytali:

- Gdzie mieszkasz?

A ona:

- Tam.

Bo nie chciała się przyznać, że jest Niemką. A wtedy co to szła z jakimś obiadem do pałacu, to oni ją zaczepiali. A jak się Pani Starsza wygadała, że ona jest Niemką, to wtedy oni przepraszali ją, że jej ubliżyli. I po niemiecku mówili. I mówili jej, że oni są dobrzy chłopcy.

A potem odjechali dalej na koniach. I jeszcze raz przyjechali i kłaniali się i robili nieraz jakąś robotę za nas. Ale nachalni nawet nie byli, nie można powiedzieć.

Tym dziewczynom białoruskim, to kazali się myć, bo brudne. A potem jak Niemcy odjechali, to mówiły, że szkoda, że już im się nie każą myć... Ale brudasy to były okropne – domy słomą kryte, czarne, z drzewa, niepobielone. Dla dzieci opałki pod sufitem, i nic pod głową, że aż dzieci na głowie kółka takie miały wytarte. Dzieci to tak kobiety nosiły jak cyganki. A gotowanie?! W powszedni dzień, to wszyscy szli w pole. A kobieta zagotowała czajnik wody i wzięła razowy chleb przetrzynięty na połowę. I do tego wędlina – strasznie dużo tych wędlin jedli, bo były naprawdę bardzo dobre. I mieli tego dużo, bo wielka świnia na dwóch parobków na trzy miesiące...

Kiedyś to się bardzo przelinkłam... Byłam na werandzie w oficynie – taki zakąt był – patrzę... luna. A tam jak świnie zabijają, to jej nie parzą, tylko ją się na takim wielkim ogniu opala. Dopiero potem skrobią nożami taką opieczoną skórę. Potem biorą nad staw, przekrajają na połowę, wnętrzości do wody, łeb na pół, i robią szynki i takie kiełbasy – pyszne!!... Bardzo dobre są te litewskie wędliny! Kartofle to nazywają „kartoflana kasza”. Na półmisek kładą taką górę kartofli, robią w środku dziurę i wlewają w tę dziurę topioną słoninę – bardzo dużo. Bardzo to tłuste, chłopcy tego jeść nie chcieli, a my z Dorotą w krzaki wylewały. A ci białoruscy ludzie na wsi, to jak utłuką kartofle, to potem nawet tłuczka nie myją i powieszają... a muchów tyle!... W pałacu to pani Jodko pilnowała, żeby było czysto, ale u siebie to robili jak chcieli – to i było brudno. W niedzielę jedzą bliny z gryczaną kaszą. Robią w piecu chlebowym.

Borys Rosjan był, ale dobry. Napisał to takiego biura adresowego do Rosji i stamtąd przysłali adres mojego brata i siostry. Siostra to chciała, żebym do niej jechała, ale nie chciałam.

No więc – jak wyjechaliśmy – najpierw powozem i bryczki szły – dojechaliśmy do stacji (Nowojelnia – przyp. mój), potem samochodem ciężarowym, co to Niemcy przez tego głównego przydzielili dla tych ładnych dzieci. Jechaliśmy kilkanaście godzin, mieliśmy szynki i różne rzeczy i to jedliśmy. Ale dzieci wymiotowały... Przyjechaliśmy – chyba do Słonimia – i państwo poszli do jakichś tam starszych niemieckich, bo to był wojenny czas. Jak oni zobaczyli tę przepustkę od kogoś tego starszego to salutowali bardzo i dali nam pokój. Potem odesłali nas ciężarówką do pociągu i dali salonkę. I już tym pociągiem przyjechaliśmy do Warszawy do państwa Klawer. Tam byliśmy dwa czy trzy dni, bo dzieci były po tej drodze chore, to tam odpoczywały sobie na tej Erywańskiej. Bardzo zacni ludzie byli ci państwo Klawer.

Potem znowu do pociągu – i tak przyjechaliśmy do Kielc, co cioci Brońci, co to później opiekowała się dziećmi jak w Warszawie były, ale krótko bo to rady sobie dać ze zmierzotami nie mogła. Ale i ona też fanaberie miała i zazdrosna była, co to dzieci woła mnie jak ją... Ale to była potem. A z Kielc to już pociągiem pojechaliśmy do Włoszczowy, a ze stacji dorożkami do księdza, co to później był w Kurzelowie (ks. Rzepczyński – przyp. T.K). Jak my przyjechaliśmy, to zaraz był obiad, a potem ksiądz posłał kościelnego na wieś po podwody. I zjechał trzy podwody wiejskie. Podjechali, włożyło się wszystkie rzeczy, wsiedliśmy i pojechali. A potem to już prosto do Kluczewska.

Ksiądz we Włoszczowie to opowiadał, że w Bobrownikach mówili już, że Pana Starszego i wszystkich w czasie wojny zabili i że już nie wrócimy. Wojtczyk wypędził Szołowskiego i zabrał klucze od śpichrza. Bo ksiądz był w Bobrownikach jak nas nie było i stąd to wszystko wiedział.

Jak myśmy przyjechali do Kluczewska to już była noc. To te wiejskie podwody jak zaturkotały na dziedzińcu, to pan Konarski kazał głośno lokajowi – Antoni było mu na imię:

- Antoni, zobacz no, kto to się tak tłucze po nocy, to pewnie te cholerne Żydy!

A był deszcz i psy były puszczane i czekały koło nas. No, i z tych wózków wiejskich wychodzi Pan Starszy i Pani Starsza. Pani Konarska strasznie się ucieszyła, bo już słyszała też, że coś się z nami stało, a że to z panią Starszą była zawsze w wielkiej przyjaźni – jeszcze jak dziewczynkami były. Pani Konarska, jak była panienką jeszcze, to w Radomiu mieszkała – bardzo to zamożni ludzie byli! A Pani Starsza wtedy była w Mniszkowie zanim za mąż wyszła, i tak sobie do siebie jeździły.

Pani Konarska zaraz zaczęła szykować pokoje, przynosić herbatę. Ja byłam przy dzieciach i zaraz mi przynieśli jedzenie. Dorotka poszła do ciotki, co to w Kluczewsku mieszkała. A ja byłam we dworze.

Na drugi dzień rano Pan Dziedzic pojechał do Bobrownik. Wychodził Wojtczyk, a Pan Starszy mówi:

- No, widzicie, wisielczych przyjechał!

Bo to już mówili, że wszystkich zabili i że już nie wrócimy. A właśnie, żeśmy wrócili!

Zobaczył Pan Starszy, że mało co zostało. Z takich pięknych krów, to chyba tylko parę zostało, a resztę zabrali. I duża znista była przez ten czas. Bo to w ogóle źle się zrobiło, że się wyjechało, bo jak nikogo nie było, to Niemcy wszystko zabierali, bydlę rzli jak sami chcieli. To tylko Pani Starsza tak naciągała Pana Dziedzica na ten wyjazd i źle zrobiła. Bo ci co zostali, to lepiej zrobili i nic im nie zabrali, tylko trochę. A jak ktoś wyjechał to się mścili.

A teraz jeszcze powiem jak to było z ty powrotem do Bobrownik, bo jeszcze nie wszystko powiedziałam.

Więc to tak było, że w Bobrownikach już wiedzieli, żeśmy wrócili, bo już tam powiedział pachciarz z Bobrownik, co to właśnie był u swojego brata w Kluczewsku tej nocy cośmy przyjechali. To tam byli w strachu co to będzie, bo jak nas nie było, a pan Szołowski pilnował wszystkiego, to Wojtczyk jak się dowiedział, że nas wszystkich wymordowali, to klucze mu zabrał i jego wyrzucił. I on wtedy pojechał do Ciemiętnik, ale jeszcze przedtem pojechał do księdza Rzepczyńskiego do Włoszczowy i powiedział, co to się tam narobiło. Wtedy ksiądz Rzepczyński przyjechał do Bobrownik i powiedział:

- A co żeście zrobili najlepszego?

A oni, że nas – niby państwa wymordowali i że oni teraz będą się dzielić. To teraz jak się dowiedzieli, że państwo wrócili, to całkiem pobaranieli. A najwięcej ten Wojtczyk. A inni to się bardzo cieszyli, bo poważnie bardzo Pana Dziedzica i że to do wszystkich byli przyzwyczajeni – i do państwa i do dzieci. Bo to i zawsze mogli jakąś pomoc dostać i radę, a tak to nie.

A w Bobrownikach to wszystko bardzo poniszczone było – i meble, i porcelana i pościel cała, bo to Niemcy rabowali i Ruscy też, bo to wtedy taka kołyska była – raz ci, a raz tamci. A każdy brał. Domu to niby pilnowała ta akuszerka z Wielgomłyn, Habisiewicz, ale i tak wszystko pozabierali, chociaż ona ich karmiła. A jak zostawili taki wielki obrus na dwadzieścia cztery osoby, to i tak ona potem ukradła. A Niemcy to szli aż do Litwy, bo to przecież do Gubernii Mińskiej doszli, jak my tam byliśmy. A potem znowu Ruscy przyszli i byli we dworze. I jak my już byli z powrotem, to też jeszcze ta kołyska była. Kiedyś pamiętam, to akurat Ruscy byli i Pan Dziedzic grał na fortepianie „Wołga, Wołga”, a oni śpiewali. Nawet bardzo ładnie oni śpiewali i na głosy. Ale chyba wszystkiego się bali, bo jak kiedyś święta kowal przebrał się za świętego Mikołaja – niby tak dla dzieci – to jeden tak się spierzyl, bo myślał, że ta jaki podstęp. I o mało co kowala nie postrzelił, tylko Pan Starszy za rękę go złapał. A dwóch to było takich starszych i w salonie mieszkali.

No, ale to było już potem. Ale jeszcze przedtem, jak myśmy wrócili, to tylko Pan Dziedzic był w Bobrownikach, a myśmy wszyscy parę tygodni w Kluczewsku mieszkali, bo to trzeba było wszystko odnowić, bo wielka zništa była. I Panna Fryda dojeżdżała do Bobrownik, żeby pomóc doglądać tych co tam we dworze robili. A nam w Kluczewsku to było dobrze. Pani Konarska to bardzo dobra była. Służba miała tam drugi stół, ale mnie to sama pani Konarska do pokoju jedzenie przynosiła.

Jak już wszystko było odnowione i przygotowane, to już wszyscy pojechaliśmy do Bobrownik. Dwórki przyjmowały chlebem i solą, była i Grzybkowa, i Dudkowa, i Leonowa i Raczyńska, a także był Mirecki, bo on żył i nadal był. On był wierny państwu, ale jak się chcieli dzielić, to co ona miała robić? I jak wszystko zabierali Niemcy, to też nie było co robić. Zostało tylko sześć krów i koni coś ze cztery, a resztę zabrali.

Jak wróciliśmy do Bobrownik, to pani już chyba na trzeci roczek szło. Jeździliśmy sobie końmi na podwieczorek do Rączek, albo do Kluczewska. Ale zawsze tylko z małymi dziećmi, bo chłopcy to bujali sami i na podwieczorki nie chcieli jeździć.

A czasem to przyjeżdżała pani Konarska z Kluczewska w odwiedziny. A jak przyjeżdżała – to i pantofle z klamerkami miała, i pierścionki, i aż pachniało od niej i błyszcząca – wspaniale i bogato była ubrana. Ładna to nie była, bo chuda i wcale nic ani z przodu, ani z tyłu nie miała, i zęby miała duże, ale bardzo była mądra i powodzenia to duże miała podobno. A pan Konarski, to najpierw podobno chciał się żenić z panną Marysią Czaplicką, siostrą pani Laskowskiej ze Stanowisk. Przyjeżdżał do niej wolantem w cztery konie, ale ona ojca w rękę pocałowała i powiedziała, że nie chce za męża iść. No to pan Konarski bardzo był zły i zaraz wyszedł na ganek i zawołał:

- Borek, zajeżdżaj!

I bardzo był zły.

A potem pojechał do Radomia i oświadczył się tam. A matka pani Konarskiej, pani Fulde, to bardzo ładna była i elegancka! Ja pamiętam – takie buciki wysokie, sznurowane zamkowe nosiła i dużo pierścionków bardzo wspaniałych. A córkę to bardzo kochała i wozila ją po całym świecie. To i bardzo uczona była i mądra. I z panem Konarskim bardzo dobrze żyła i bardzo byli do siebie przyzwyczajeni.

Do Bobrownik przyjeżdżała i przywoziła ze sobą Stasia. Tak się to wtedy mówiło, że to będzie narzeczony Marychny, tak się to wszyscy prześmiewali. Ale Staś złał się w majtki i chłopcy śmiali się, że do narzeczonej przyjechał i w majtki się złał.

Pani Konarska przyjeżdżała czwórką wolantem. I czasem to wołała Borka i ja siadałam z dziewczynkami, a on obwoził nas aż pod Ciemiętniki. I wszyscy we wsi mówili, że tej Natalce to dobrze, bo że tak sobie wolantem jeździ! Ale ja miałam dużo pracy przy

dzieciach, chociaż nie prałam, tylko mnie wszystko prali, bo ja byłam tylko do dzieci. W kościele byłam co trzy tygodnie, a czasem szłam na Wygwizdów, albo do Łapczynej Woli.

Chłopcy to czasem niedobrzy byli. Najlepszy to był Jerzyk. A Tadzio to tak się śmiał: „Ha, ha, ha, ha!” – zmierzota, ja im bajki opowiadałam, a oni zmierzoty skarżyli do Pana Dziedzica, że ja dziecku, niby pani, książki daję do zabawy.

Chłopcy uczyli się, pan Szołowski ich przyspasabiał do szkoły. Lubili go i nazywali jakoś tak – Pamutek.

Szołowski to nawet był miły i wesoły, taki sobie, ale nie był zły. Mnie to mówił tak:

- Pamiętaj, Niańka, że jak się coś ze mną stanie, to żebyś się modliła, przyrzekasz?

To i nie wymawiając, modłę się czasem, że to przecież przyrzekłam. A to wszystko co było to nie była jego wina, bo on miał 18 lat i takie głupie to było. Ale Pani Starsza się przyczepiła. Zaczęli wyjeżdżać do lasu na spacer i tak sobie rozmawiać po obiedzie.

A potem to Pani Starsza powiedziała Panu Starszemu:

- Józeczku, ja go bardzo kocham!

A Pan Dziedzic się najpierw śmiał, bo nigdy nie przepuszczał, żeby co miało być. Bo i nie można było przypuszczać – to on miał 18 lat, a Pani Starsza 38 i miała sześcioro dzieci. Kobieta była już starszą, a on przecież lubił być z młodymi, że to i sam młody. A ona szalała. I mówiła, że nie chce nic więcej, tylko być z nim. To przyjeżdżała jego siostra, Rózia. Pan Szołowski miał cztery siostry, jedna była za rządcą w Krzętowie. A ta druga, Rózia, to dostała spłatę z Ciemiętnik i kupiła taki kawałek w Łączkowicach pod Przedborzem. A potem zakochała się w swoim foszmanie. A ten, co to miał się z nią żenić, jak się o tym dowiedział, to się z jej młodszą siostrą ożenił. Proste ludzie to byli i wcale do państwa niepodobni. Ale ta Rózia, to nie była taka zła – jak Pani Starsza mówiła, że jest zakochana, to ona mówiła, że takiego kochania nie chce znać. I wszyscy tak mówili i za tym stali, co też ona robi. A ona tylko:

- Niech piorę – mówi – niech drwa rąbię, byle z nim. A w domu to przecież jak królowa chodziła, tylko warkocze sobie pletła i pod gruszką siedziała...

Potem to już i on też był zakochany. Z Bobrownik wyjechał i pojechał do Krzętowa. A jak jeździł nad rzekę z Ciemiętnik do Krzętowa, to tak się umówili, że jak on będzie jechał, to strzeli – że to niby jedzie. Kiedyś to się i od obiadu zerwała.

Pan Starszy męki przechodził i całe noce nie spał, tylko pilnował. Pani Starsza sypiała wtedy w kancelarii, a chłopcy w oficynie, to tam duże pokoje były. A jak Pani Starsza zupełnie już miała w głowie przewrócone, to Pan Starszy mówił:

- Wandziuniu, dam ci pieniądze, pojedź z ciotką na trzy lata za granicę, to ci wszystko przejdzie...

Aż klękał, a ona – nie i nie.

To już nawet nie wiem, co to się wtedy działo – starach nawet mówić!...

Chłopcy to takie barany głupie były – że niby jak mamusi lepiej, to niech jedzie do Pamka. Lubili go, a przecież nic nie rozumieli, bo głupie to było. A jak ja mówiłam:

- Co on wam robi ten wasz Pamek? – to oni – rzuć ognia – na mnie.

No i w końcu Pani Starsza wyjechała. Pani to malusinka była i nic jeszcze nie rozumiała, ale Matychna to aż się wiała na kanapie i okropnie płakała, bo to dziecko spało w sypialnym i przyzwyczajone było. A ja z panią w drugim pokoju od ogrodu.

Jeszcze zanim Pani Starsza wyjechała, to wzięła mnie ze sobą i do apteczki mnie prowadzi, żeby to widziała, co w razie czego dzieciom dawać. I wtedy mi mówiła, że niby dzieci, to tylko ciebie Natalko kochają, i ty nie masz męża i jesteś jak rezerwistka. Dzieci cię lubią, to się nimi zajmiesz. A tu masz lekarstwa dla dzieci. To ja na to, że matka powinna być przy dzieciach i to jest matki prawo. A ona, że nie i nie, że dzieci mają dobrego ojca i ciebie – że niby mnie – ot, licho opętało i poszła... I powiedziałam jej jeszcze, że gdybym nawet po cierniach musiała iść, to bym poszła, żebym zrobiła tak, żeby do dzieci wróciła. Ale nic z tego – jak diabeł duszę opęta, to już nic nie można zrobić.

A potem to jeszcze Pan Starszy pieniądze jej posyłał i to dużo, żeby miała z czego żyć, bo i z serca jej nie umiał wyrwać, choćby się to należało. To i majątek zadłużył, a potem to posag cały oddał i wszystkie rzeczy. A sam ciężko zachorował z tego wszystkiego, bo też to już za dużo było dla jednego człowieka.

Potem do Bobrownik przyjechała panna Maria Śliwińska, co to była nauczycielką Pani Starszej jeszcze w Mniszkowie, i zajmowała się dziećmi. Ja byłam wciąż do małych dzieci i Dorota do pokojów, ale potem za męża za Bąka wyszła – czwórka koni do kościoła jechała i wolantem, że to we dworze była. Były jeszcze takie dwie panienki – panna Wacia i panna Natalcia – co pracowały przy kilimach, bo panna Śliwińska robiła na takich wielkich warsztatach bardzo wspaniałe kilimy i one przy tym pracowały.

Potem chłopcy pojechali do szkół do Warszawy i Pan Starszy był z nimi i do Bobrownik przyjeżdżał tylko, żeby dojrzeć wszystkiego. Mieszkali z chłopcami na Żórawiej. To był dom pani Konczkowskiej, siostry pana Klawera, co to jego żona, pani Klawerowa otrzymała panią do chrztu. Zaczyna pani była.

Pani Starsza to czasem widywała się z chłopcami jak przyjeżdżała do Warszawy, potem to do panny Marii Śliwińskiej jak już do Warszawy wróciła. I raz była jak Jerzyk na tyfus zachorował i prosił żeby przyjechała. A dzieci młodszych, to nie chciała widzieć, bo mówiła, żeby jej serce pękło. Kiedyś Pan Starszy posłał mnie z listem na Nowowiejską do pani Koziół Poklewskiej – niby matki Pani Starszej. Powiedziała wtedy, że Pani Starsza jest właśnie w Warszawie i tak właśnie powiedziała, że jakby dzieci zobaczyła, to by jej serce pękło. To ja powiedziałam:

- I powinno pęknąć! Bo ja gdybym nawet pasierbów miała, to bym przysięgała i nigdy bym ich nie rzuciła!

To nawet i zła była pani Koziółowa na mnie, że ja niby tak mówię. Bo rodzinna Pani Starszej, to też sobie dobrze ręce od wszystkiego umyła. Matka Pani Starszej to raz na rok na Boże Narodzenie przychodziła i przynosiła dzieciom owoce i słodycze. A dzieci to zawsze Pan Starszy prowadził na Nowowiejską do babki. Ale Pani Koziółowa to bardzo Pana Dziedzica poważała, bo i trudno było nie poważać. Braci Pani Starszej, Witolda i Zdzisia, to też to wszystko nic nie obchodziło – tacy egoiści byli, nawet się nigdy dziećmi nie zainteresowali, co to ich siostra je porzuciła. A pani Patocka, co za doktorem była, to tylko w swoje dzieci wpatrzona była. Chociaż prawdziwie, to jak dzieci chorowały, to doktor Patocki zawsze przychodził – dobry człowiek był i mądry.

I tak to Pan Starszy się sam z dziećmi mordował. Dzieci musiały się uczyć, to Pan Starszy wydzierżawił Bobrowniki i wziął duże mieszkanie na pierwszym pięttrze, co to sześć pokojów było i wziął do Warszawy wszystkie dzieci i mnie też, bo kto by się dziećmi zajął i wszystkim?

Jak to wszystko było, to już nie pamiętam. Ale wiem, że wieczorem przyjechaliśmy do tej Warszawy. I wojna z bolszewikami wtedy była i Janek, taki malusinki i drobny do wojska poszedł, takiego dużego ogiera z Bobrownik mu dali, bo w takim konnym wojsku służył.

A potem to była do opieki nad dziećmi pani z Kielc, pani Brońcia, kuzynka pana starszego. Ona już w Bobrownikach jakiś czas była, a potem w Warszawie. Chłopcy to jej wcale nie słuchali, a dziewczynki chociaż małe też nie bardzo słuchały i wcale jej nie lubiły, tylko mnie. A ona mówiła, że ja dzieci bałamucę i cukierki im daję. Kiedyś w Bobrownikach straszna była heca, bo to niby chłopcy mieli iść spać, a oni nic sobie z tego nie robili, tylko poszli łapać raki w Stoczkach z łuczywem. Bo oni wcale nie nauczeni byli słuchać i robili co chcieli. A pani to zaraz spazmów dostała, a oni się prześmiewali.

I na mnie zła była, że to niby dziewczynki mnie wolą od niej. A co tam mówić – przyzwyczajone do mnie były od małości, to i ze wszystkim do mnie szły. A ja z nimi chodziłam do ogrodu na Nowogrodzkiej, czy do Łazienek...

Ale prawdziwie to ta pani z Kielc to nie była przyjemna... Ja miałam pracy bardzo dużo, bo to i ugotować, i uprać, i posprzątać. Choć to niby byłyśmy we dwie, bo i Mania była. Ale i tak dużo roboty było. A pani była wymagalna i fiomy duże miała. Jak z nią rachunki z całego dnia robiłam, to mi się oprzeć nie dała, że to niby szacunku dla niej nie mam. Stara panna była, to jej się wszystko nie podobało, a najwięcej to to, że dzieci mnie lubiły.

I wcale oszczędna nie była i dużo pieniędzy na dom od pana starszego wyciągała i zawsze mówiła:

- Józeczku, bo ja potrzebuję na to i na to...

A przecież pan starszy też się mordował, żeby taki wielki dom utrzymać i nie miał dużo pieniędzy. Niby to z początku to przychodziła z Bobrownik i mąka, i kasze, i kartofle, wędliny i jabłka i inne rzeczy. Ale i tak trzeba było dużo kupować, a drożyzna to wtedy była wielka i pieniądź był nie wart... I ubrać dzieci trzeba było, bo to na nich wszystko się paliło, a na pani to chyba najgorzej! Wszystkie pani darła okropnie. A dom też był wielki przecież – chyba 10 czy 11 osób była na stole.

To Pan Starszy mówił:

- Moja Brońciu, skąd ja ci wezmę pieniędzy, jak ja nie mam. Trzeba bardziej oszczędzać...

To i tak było i było. Ale się obrażała i szlochły wielkie wyprawiała. I już chyba chciała jechać do siebie.

No i w końcu to tak się skończyło. Kiedyś przy obiedzie coś tam Antoś powiedział, a pani Brońcia dostała hysterii i spazmów i poleciała do pana Władysława, niby jej brata, co to odnajmował od Pana Starszego dwa pokoje, i bardzo się skarżyła. Że to dzieci jej nie szanują, a pan starszy na to.

- Moja Brońciu, ja swoich dzieci dla ciebie nie zabiję...

No i pojechała, a Pan Starszy to jeszcze dużo pieniędzy wydał na platformę, co to jej rzeczy do Kielc odwiozła.

Ja tam nie żałowałam, że sobie pojechała, bo i niespokój był z nią ciągle. Jak ja się po niesporach położyłam, to też coś tam mówiła. Albo, że na chór chodzę. Bo chodziłam do kościoła świętego Aleksandra i śpiewałam w chórze. Bardzo ładnieśmy tam śpiewali i nawet po łacinie i na głosy też. I na prymarię chodziłam, i na roraty i na niespór też często. To ona mówiła, że to za dużo.

Potem jak pani z Kielc wyjechała do była do panienek taka panna Wąsowicz, co to miała z dziećmi po francusku rozmawiać i lekcji dopilnować i w domu też coś. Ale to wariatka była i tylko do łazienki ciągle z ręcznikiem biegła, a z dziećmi to nie lubiła być, tylko w swoim pokoju, że aż kiedyś pan starszy zrobił jej uwagę. To potem siedziała z dziećmi i na zegarek patrzyła, kiedy to już pójdzie do siebie. Dzieci nijakiego szacunku dla niej nie miały i nie chciały jej słuchać, tylko się prześmiewały. Tylko do mnie i do mnie. To i w końcu Pan Starszy zobaczył, że nic z tego nie będzie i szkoda jej płacić pieniędzy. No i jej wymówił. Nawet jej rzeczy do domu odnosiłam.

A potem to już nikogo nie było. Bo też i chłopcy byli w Korpusie, a ja odprowadzałam dziewczynki do szkoły czy na komplet i na spacer z nimi chodziłam.

Potem to zaczęła przecież przychodzić pani Skotnicka. Ona to chyba chciała się wydać za Pana Dziedzica, ale nic z tego! Ona z jednym mężem się rozwiedła, co to z nim miała jednego syna, a drugi mąż jej umarł i wdową została. Mieszkała na Brackiej koło Placu Trzech Krzyży i prowadziła taką stancję dla chłopców, co to ich rodzice na wsi mieszkali, a oni w Warszawie do szkoły chodzili. I ona się nimi zajmowała.

To przychodziła i przychodziła, że to niby dziewczynkami się opiekowała. I przynosiła różne budynie czy leguminy, a dzieci to wszystko przez okno wyrzucały, że aż strach był, żeby to komu na głowę nie zleciało. A paskudne to wszystko było, że aż strach! Ale dzieci wyrzucały i tak, bo – mówią – po co nam to, mamy co potrzeba w domu i nie chcemy żadnych leguminek od nikogo. Bo i prawdziwie przecież wszystko w domu było, bo i ciasto upiekłam i kisielek miały i kompot, to po co miał im kto przynosić!...

Kiedyś to jakoś wieczorem – cichutki dzwonek. Otwieram drzwi i wchodzi pani Skotnicka, że to niby chce dziewczynkom dobranoc powiedzieć. Ale nawet do gabinetu nie weszła.

Pan Starszy to wiedział, że ja nie mam przyjaźni dla pani Skotnickiej. Ale wtedy – zdawałam rachunek panu starszemu, bo zawsze wszystkie sprawunki dawałam do rachunku – i mówię, że pani Skotnicka przylepiła się do tego domu, i że już w podwórku mówią, że ona pewnie chce się żenić z Panem Starszym.

A Pan Starszy powiedział mi coś tak: że moje dzieci miały jedną matkę, a teraz ja jestem i ojcem i matką i żenić się z nikim nie będę i że ta pani też tego wcale w głowie na pewno nie ma.

Może i nie miała, ale po co ciągle do dzieci przychodziła?

A potem pani Skotnicka urządziła dla Marychny bal u siebie na Brackiej. A pani to była wtedy w Rabce, a zresztą też jeszcze była za mała na bale! Więc był ten bal, byli tam uczniowie i studenci też. A u pani Skotnickiej to była taka do pokoi – Lipińskiego córka – Aniela. Ona wszystko na ten bal szykowała, a potem i ona i ja podawałyśmy do stołu. A ta

Aniela to była taka złośnica, że jak się zezłościła, to nożami na ziemię rzucała! A na tym balu to pani doktorowa – niby Marychna – to miała granatową welwetową sukienkę, taką kloszową, co jak ona tańczyła to się rozwiewała.

Ale pani doktorowa to już wtedy była zakochana w Kociu. Miłość była straszna!... Ale jego matka i Pan Starszy namówili się, że to niby oni mają się uczyć, a nie o żadnych miłościach myśleć. Ale pani doktorowa przyszła do Pana Starszego i mówi, że przecież oni mogą się zaręczyć i dalej się uczyć. A Pan Starszy na to:

- Marychno, idź odrabiać lekcje!

Bo to przecież w szkole jeszcze była i lat żadnych nie miała do tego.

A pan Kocio taki był zły, że to starsi się ujednali, że podobno aż krzesłami rzucał.

Pani Skotnicka to potem chciała, żeby jej syn ożenił się z Marychną. A on łajdus był i dużo starszy, a ona młoda była i z porządnego domu, a on jakiś tam Węgier czy Cygan... Nawet przystojny to on był...

Marychna to nawet to sobie do głowy wzięła i zawróciła sobie głowę tym złodziejem... I znowu poszła do Pana Dziedzica i coś tam o tym mówi, a Pan Starszy znowu ją posłał, żeby lekcje odrabiała, i o żadnych miłościach nie myślała i żeby wybiła sobie z głowy jakieś małżeństwo, bo jest za młoda, a i ten syn Pani Skotnickiej to nie jest taki człowiek, żeby za niego za męża wychodzić. A chłopcy się prześmiewali z Marychny i mieli rację, bo i to sensu żadnego nie miało. A potem to jakoś to było, że pan Jan wywiózł ją na jakąś zabawę czy bal i ona tam zaraz o tym Jurku zapomniała i skończył się niespokój.

A pani to wtedy był chyba dwa lata w Rabce, że to niby dziecko było wątłe i chorowite i doktor kazał, żeby jechało w góry. I chociaż tam niby podobno dobrze dziecko miało, to ja się martwiłam bardzo i płakałam, że daleko od domu i tylko na święta przyjeżdżało. Miejsca sobie znaleźć nie mogłam...

Na wołowej skórze by nie spisał, jak to wszystko było.

Ale teraz... to już wszystko opowiedziałem i więcej niech mnie pani nie namawia, bo nic więcej nie opowiem... Co to zapisywać to głupie gadanie... I tak to nikomu na nic...

Spisywałam w okresie 1970 - 1972. T.K.